

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/529

1991



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. UNGER:

„KIEDY SŁYSZĘ SŁOWO «KULTURA»...”

St. KOZAK: **„DNIEPR I WISŁĘ ZWIĄZAĆ
PIEŚNI STUŁĄ...”**

J. MORAWSKI: **CHARKOWSKIE MEMENTO**

A. BUCHNER: **WSPOMNIENIE O MOZARCIE**

K. WOLICKI: **RÓŻNICA CZASÓW**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Inż. Tadeusz Knapkiewicz (Vesslingen, Szwajcaria) — po raz 16-y — FS 40,00	F.	155,00
Bolesław T. Łaszewski, Nowy Jork — po raz 24-y — dol. US 87,00	F.	492,00
W 9-tą rocznicę śmierci Jerzego Jana Piórkowskiego, zmarłego 1-go października 1982 r. od żony i córki z Nowego Jorku	F.	330,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL — po raz 26-y dol. US 20,00	F.	112,00

DZIĘKUJEMY!

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) na pomoc dla Polaków w Rosji — £ 10,00

F. 100,00

PRENUMERATA „KULTURY” W POLSCE

Krajowe wydanie *Kultury* można zamawiać w prenumeracie w

FUNDACJI WSPIERANIA EDYTORSTWA
I CZASOPISMIENICTWA W POLSCE „MYŚL”:

00-873 WARSZAWA
ul. Ogrodowa 51 (IV p.)
tel. 24 39 91 lub 24 91 71

Cena prenumeraty rocznej zł 100.000 (wraz z przesyłką);
cena jednego egzemplarza zł 10.000

Widziane z Brukseli... i z Warszawy

„KIEDY SŁYSZĘ SŁOWO «KULTURA»...”

I. CZĘŚĆ SUCHA I OFICJALNA

12 września 1991 roku, w Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza przy Rynku Starego Miasta w Warszawie, odbyło się otwarcie wystawy «W kręgu paryskiej *Kultury*». Wystawa trwać będzie sześć miesięcy. Otwarcia wystawy dokonał dyrektor muzeum, dr Janusz Odrowąż-Pieniążek. Odczytany został następnie list Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Na prośbę Jerzego Giedroycia w imieniu *Kultury* organizatorom wystawy i gościom podziękował Leopold Unger. Dyrekcja muzeum podejmowała następnie licznie zebranych gości lampką czerwonego i białego szampana produkcji winnic bułgarskich.

Autorami scenariusza są kustosze muzeum, panowie Kazimierz Dąbrowski i Łukasz Kossowski. Sponsorami są: Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie, wydawnictwo «PoMost», Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim i Fundacja Kultury Polskiej. Z okazji wystawy wydany został folder zawierający słowo wstępne pana Odrowąż-Pieniążka, szkice Macieja Poleskiego i Andrzeja Oseki oraz kalendarium *Kultury* opracowane przez K. Dąbrowskiego.

Celem wystawy, według słów dyrektora muzeum, jest „próba przedstawienia — w formie właściwej dla ekspozycji muzealnej — działalności Instytutu Literackiego i miesięcznika *Kultura*, a przede wszystkim grupy osób z Jerzym Giedroyciem na czele Kulturę tworzących. Autorzy obecnej wystawy zdawali sobie sprawę, że solidna monografia *Kultury* jest jeszcze sprawą przy-

szłości... Zdecydowali się więc na przedstawienie dziejów Kultury widzianej z Kraju. Powstała ekspozycja ukazująca bardzo silne związki miesięcznika z Polską... Mamy więc przedstawione dwie strony polskiego losu — gorzki smak emigracji i nie mniej trudne drogi pozostałych w kraju niepokornych... Ta swoista «summa» wykazuje ogrom dokonani niewielkiej grupy ludzi, przez wielu Polaków nadal nieświadomianych...»

W szkicu drukowanym w folderze Maciej Poleski wyznaje: „*Obcowanie w kręgu Kultury nauczyło mnie poruszania się w płaszczyźnie czynów politycznych, woli i pracy. Kultura uczyła, aby słowa możliwie ściśle do nich przylegały... Kultura paryska była i pozostanie znaczącym ośrodkiem politycznym dlatego, że jej słowa zaowocowały czynami... Rodzinę polityczną Kultury spaja wola. Bez niej nie ma wolności*”.

Andrzej Osęka swój esej zatytułował „*Lekcja Kultury*”. Szczególna atrakcyjność Kultury i książek przez nią wydawanych — pisze m.in. Osęka — polegała na tym, że „*można w nich było znaleźć odpowiedzi i na to, co nas interesowało, i na to, co nas gryzło... Ludziom paryskiej Kultury pułapki nihilizmu nie zagrażały. Dlatego, sądzę, że w zainteresowaniach swoich i w praktyce pisarskiej skupili się nie na spekulacjach politycznych i konstrukcjach światopoglądowych, lecz na losach zbiorowych i jednostkowych oraz na tym, co ludzi łączy, a co dzieli. Z tego — z opisu życia Polaków, ze sposobu, w jaki chcieli lub nie chcieli korzystać z wolności, z ich stosunku do religii, tradycji, do własności, pracy, do obcoplemieńców — nie zaś z układania klocków ideologii — dowiedzieć się można JAK BYŁO, i wysnuć pewne prawidłowości, rządzące życiem w tym tutaj miejscu na ziemi... Publicyści Kultury, opisując kruszenie się komunizmu i zanikanie jego sił żywotnych, nie czekali na moment, kiedy upadnie on i się rozleci, lecz wcześniej zaczęli wskazywać niebezpieczeństwa wolności, która miała wybuchnąć w Polsce, wśród Polaków... Kultura odegrała wielką rolę w walce z komunistycznym totalizmem, to prawda, lecz — nie cała prawda. Rola tego pisma, jego ośrodka intelektualnego, nie skończyła się bynajmniej. Jeśli nawet «jesteśmy wreszcie we własnym domu» i o narzuconej doktrynie możemy zapomnieć — o nas samych, ukształtowanych przez ostatnie dziesięciolecie, zapomnieć nie możemy. A właśnie o tym kształtowaniu, o związanych z nim problemach, możemy znaleźć w pismach i książkach Instytutu Literackiego być może więcej, niż gdziekolwiek indziej*”.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI NA OTWARCIU WYSTAWY

U progu półwiecza Instytutu Literackiego i Kultury najpierw liczby, bo one mają na ogół szczególną wymowę. W chwili, gdy w imieniu instytucji polskiej w Maisons-Laffitte piszę ten tekst na otwarcie wystawy w Muzeum im. Mickiewicza w Warszawie, 7 sierpnia 1991 roku, mamy w dorobku 227 numerów Kultury i 468 tomów Biblioteki Kultury, w tym 96 Zeszytów Historycznych. Nie widzę na Zachodzie miesięcznika, który mógłby poszczycić się takimi liczbami i taką wysokością nakładu. A mam na myśli nie miesięczniki emigrantów, lecz miesięczniki angielskie, francuskie, włoskie, niemieckie. Kultura z przybudówkami jest fenomenem w historii i teraźniejszości czasopiśmiennictwa zachodniego.

Jest, chcę to od razu powiedzieć, dziełem jednego człowieka. Rzecz jasna, należy przez to rozumieć, że w ciągu 45 lat Jerzy Giedroyc — 24 godziny na dobę, jak ktoś żartobliwie, ale niezbyt daleko od prawdy zauważył — kształtował ideę, linię, orientację Instytutu Literackiego z pomocą wielu ludzi, których dzieje i osiągnięcia można w skrócie zobaczyć na obecnej wystawie. Nie będę ich tu wymieniał, zajęłoby to zbyt dużo czasu. Wymienię tylko dwie osoby: Zofię Hertz, prawą rękę Redaktora w codziennej, żmudnej pracy; śp. Juliusza Mieroszewskiego, którego wieloletnią symbiozę polityczną z Jerzym Giedroyciem dobrze opisał Krzysztof Pomian w szkicu *Redaktor i publicysta*, otwierającym katalog paryskiej wystawy „*Kultura i jej krąg*” z przełomu lat 1986-1987. A pisarze — padnie pytanie — a literatura? Odpowiem — i zobaczcie to Państwo sami na wystawie — że wszystkie ważne nazwiska literatury polskiej — w pierwszym rzędzie na obczyźnie, ale okresami także w kraju — przewinięły się przez Kulturę i jej Bibliotekę.

Na czym polegała i dalej polega idea, linia, orientacja Instytutu Literackiego z Kulturą na czele? Nie unikaliliśmy nigdy uroczystych słów, ciężko pracując aby stały się ciałem, więc wymienię je również tutaj: niepodległość, wolność, demokracja, patriotyzm wyprany z jakichkolwiek naleciałości nacjonalizmu, szacunek dla cudzych poglądów jeśli są inteligentnie uzasadnione, liberalizm w życiu politycznym i społecznym, rozdział Kościoła od Państwa przy całym podziw i respekcie dla dokonani Kościoła pod panowaniem komunistycznym, normalizacja stosunków z Niemcami, przyjazne stosunki z narodem rosyjskim, stawka na ULB czyli na Ukrainę, Białoruś i Litwę, ostrożny i nie bałwochwalczy stosunek do Zachodu oparty na pilnowaniu polskich interesów. Gdyby ktoś zarzucił nam, że zapomnieliśmy o naszych sąsiadach z Europy środkowej, niech pamięta, że to my wydaliśmy numer specjalny po czesku dla zmażania hańby udziału wojsk polskich w inwazji z sierpnia 1968. Do cech orientacji Kultury dorzucę wreszcie jedną jeszcze, dziś zwłaszcza aktualną w Polsce: sojusz inteligencji z robotnikami. Redaktor

Giedroyc, zapytany z jakich osiągnięć *Kultury* jest najbardziej dumny, odpowiada zawsze: ze współpracy polsko-ukraińskiej i deklaracji katyńskiej, podpisanej wiele lat temu na obczyźnie przez wszystkich znaczących intelektualistów rosyjskich.

Zmarła niedawno pisarka amerykańska Mary McCarthy zestawiła *Kulturę z Kotokolem* Herzena. Miała, według mnie, rację. W obu wypadkach odbiorcami, pilnymi czytelnikami pisma wydawanego na emigracji byli przede wszystkim ludzie w kraju. I jeśli z biegiem lat coraz częściej zdarzało nam się spotykać czytelników z Polski, deklarujących że „wychowali się na *Kulturze*”, to coś podobnego słyszał zapewne wielki Herzen podczas potajemnych wizyt rosyjskich gości w jego londyńskim domu. Prestiż *Kotokoła* zafamał się, jak wiadomo, po opowiedzeniu się Herzena po stronie Powstania Styczniowego z 1863 roku. Czy *Kultura* popełniła również w swoich dziejach jakiś ciężki, choć nie tak „fatalny” błąd? W jednym z wywiadów Redaktor Giedroyc za poważny błąd uznał udzielenie kredytu Gomułce w roku 1956. Jestem w tej sprawie innego zdania. Popełniliśmy polityczny błąd, skoro Gomułka okazał się niebawem tym czym naprawdę był, ale dając mu kredyt w 1956 roku, potwierdziliśmy w jakiś sposób w oczach naszych czytelników polskich w kraju, że żyjemy na obczyźnie nadziejami kraju, nawet jeżeli z czasem miały odsonić swoją prawdziwą twarz złudzeń.

Słyszysz się ostatnio pytania, czy ma sens dalsze istnienie *Kultury* w podparyskim miasteczku, czy nie nadszedł czas jej powrotu do domu. Nie, nie nadszedł jeszcze. Po pierwsze dlatego, że jako absolutnie niezależne obserwatorium polityczne, nie podlegające żadnym układom personalnym i naciskom politycznym w Polsce, często zbikowanej po czterdziestu przeszło latach panowania komunizmu, może wciąż spełniać należycie swoją rolę i spełnia ją. Po drugie dlatego, że sytuacja w Europie daleka jest od stabilizacji, a sytuacja w ZSSR ma wszelkie cechy pola minowego, lepiej więc mieć za granicą instytucję, której nikt — prócz praw biologicznych — nie zdoła zamknąć ust.

Kończąc, chcę poprosić zwiedzających wystawę, by pamiętali o tegorocznym wielkim jubileuszu: twórca *Kultury*, wkrótce doktor *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, skończył niedawno osiemdziesiąt pięć lat.

Tekst odczytany na otwarciu wystawy.

II. CZĘŚĆ SENTYMENTALNA

Trzy akcenty graficzne znaczą początek wystawy. Są to, kolejno, portret Jerzego Giedroycia, dużą czcionką drukowany tekst jego cytatu z 1975 roku: „*Z góry zakładam, że na dłuższą metę formy organizacyjne na emigracji nie istnieją, że liczy się tylko słowo*”, i dwie wersje (czarno-biała i kolorowa, oryginalna) afiszu „*Z pnia narodowej zdrady*”.

Pierwsza sala, zatytułowana „Z kraju”, to wyjątki z zapisów cenzorskich na temat *Kultury* i jej autorów (Giedroyc, Mieroszewski, Czapski, Herling, Orłoś, Kisiel). To również co celniejsze cytaty z prasy «anty-kulturowej» („*Mizerniutka konduita dywersyjnych naganiaczy*” — z *Prawa i Życia*, albo „*grupa dywersantów ideologicznych zorganizowanych wokół tzw. Instytutu literackiego «Kultura» w Paryżu, będących najbardziej zastużonymi agentami kół imperialistycznych, których nazwy w Polsce są synonimami zdrady narodowej*” — z *Trybuny Ludu*, albo „*Ludzie z «Kultury» są po prostu garstką sprytnych facetów, dla których wszystko co polskie stało się już w gruncie rzeczy zupełnie obce*” — z *Życia Warszawy*...).

A potem kserokopie dokumentów sądowych z procesów *Kultury* («taternicy» i inni). Wszystko ilustrowane ilustracjami Lebensteina do «Folwarku zwierzęcego» Orwella.

Sala następna nosi tytuł „Rodowody” i zawiera zdjęcia i dokumenty sprzed wojny. Można tu obejrzeć świadectwo maturalne Giedroycia i wpis uniwersytecki Mieroszewskiego (gdzie słowo „dojrzałość” napisane jest przez przyszłego publicystę przez... samo „z”), Herlinga w klasie maturalnej, rękopis życiorysu Marii Czapskiej, bal prasy krakowskiej z udziałem Mieroszewskiego i Ksawerego Pruszyńskiego, ale przede wszystkim kopie i powiększenia arykułów z *Buntu Młodych* i *Polityki* (przedwojennej), deklaracje ideowe *Mysli mocarstwowej*, artykuły przedwojenne Kisielewskiego, Pruszyńskiego, Bocheńskiego itd.

Trzeci segment wystawy zatytułowany jest „Drogi do Maisons Laffitte” i przedstawia wojenne losy Giedroycia, Czapskiego, Herlinga, Zygmunta i Zofii Hertz, Mieroszewskiego, Jeleńskiego i Stempowskiego, ilustruje szlak z Polski poprzez gwałę czy Rumunię do 2-go korpusu, a potem Włoch i Francji. I cytat z Czapskiego z 1944 roku: „*Ta młodzież... stara się utrzymać, nie zagasić płomyka kultury polskiej... chce ten święty ogień przewieźć z powrotem do Polski*”.

Etap następny otwiera obraz Czapskiego „Maisons Laffitte”, wypożyczony przez Muzeum Narodowe. Znakomite zdjęcia „lokatorów mezonu”, samych lub z gośćmi, w tym z Dąbrowską lub Hłaską, a w gablotach kopie dokumentów. Potem egzemplarze specjalnych numerów *Kultury*, m.in. numer ufundowany przez Witolda Małcużyńskiego i przez czytelników pisma, listy wpłat na „Dom” i na „Fundusz *Kultury*”, wykazy laureatów nagród *Kultury* plastycznych (z reprodukcjami), literackich, publicystycznych (ze zdjęciami). Następnie cała ściana autorów *Kultury* w rozmaitych formatach, „po uważaniu”: Miłosza i Gombrowicza, Kołakowskiego, Bieleckiego, Skalmowskiego, Hellera, Ungera, ze świetnie dobranymi cytatami. Ten np. Mieroszewskiego: „*Celem zarówno pisarzy emigracyjnych, jak*

i pisarzy wolnego świata nie jest antykomunistyczna splendid isolation, lecz docieranie z wolnym słowem tam, gdzie buduje ono opór przeciw totalizmowi". I w gablotach inne historyczne egzemplarze *Kultury* i numery jubileuszowe, 10, 20, 25 lat lub numer 50, 100, 500, pismo w małym formacie, książki z fałszywymi okładkami.

Następna sala: „*Kultura w kraju*”. I w podziemiu, w drugim obiegu. Zdjęcie Zygmunta Mycielskiego, autora pierwszego listu z Polski do *Kultury* podpisanego nazwiskiem. Jest tam także powielacz skonfiskowany przez milicję oraz kopia umowy między Instytutem Literackim a „Nową”. Do fotografii z najważniejszych wydarzeń w Polsce dołączone są kopie komentarzy *Kultury*. I znowu uwaga Czapskiego: „*Polska, o którą walczy Kultura, nie jest utopią*”. Lub Kisielewskiego: „*Jeśli dobry stwórca zesłał na nas komunizm, to nie po to, abyśmy się dali temu komunizmowi zgnoić. Przeciwnie, aby nas wypróbować, czy damy sobie radę. Dawanie sobie rady nie jest niczym hańbiącym*”. No i, dla niezbędnego międzynarodowego uzupełnienia i kontekstu, obok są zdjęcia i cytaty m.in. z Nicola Chiaromonte, deklaracja *Kultury* w sprawie ukraińskiej, dokumenty Kongresu Wolności *Kultury* itd.

Dla ilustracji, że to wszystko nie było takie proste i nie działo się w próżni, dodane są, cóż za znakomity pomysł!, krótkie wypowiedzi: Tomasza Manna i przede wszystkim nieocenionego w tej branży Sartre'a, proroka poputczyków, na temat tego, że „*w Związku Sowieckim panuje absolutna wolność*”. Lub taka sartrowska perleńka z 1956 roku: „*Błędem niewybaczalnym był raport Chruszczowa (chodzi o pierwsze ujawnienie zbrodni stalinowskich — dop. LU), gdyż szaleństwem było publiczne oskarżenie postaci o cechach sakralnych*”. Dla równowagi należy dokładnie obejrzeć numery takich trzeźwych czasopism jak *Encounter* czy *Prewves*, a przede wszystkim książki pisarzy rosyjskich wydane przez *Kulturę*. Wreszcie jest „*summa*”: najpierw duże portrety historycznych postaci *Kultury*, a potem wielki portret Jerzego Giedroycia otoczony dwiema wielkimi ścianami wypełnionymi setkami książek wydanych przez *Kulturę*. Jest także mapa Litwy z zaznaczoną miejscowością „Giedroyciowo”, obok medalion z Piłsudskim, a na stylowym biurku trzy dokumenty: tekst depezy Forum *Kultury* Niezależnej w Warszawie z 1 kwietnia 1989 do Jerzego Giedroycia z podpisanymi Lecha Wałęsy i Andrzeja Wajdy, tekst uchwały Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie o nadaniu Jerzemu Giedroyciowi tytułu doktora *honoris causa* (bez informacji, kiedy nastąpi wręczenie insygniów — nikt nie wie jeszcze) oraz list Vytautasa Landsbergisa z okazji 85-tej rocznicy urodzin redaktora *Kultury*.

CZĘŚĆ III, PRYWATNA

1. Nieobecni w atrium

List Landsbergisa nieprzypadkowo znalazł się na najbardziej honorowym miejscu wystawy. Litwin Landsbergis był bowiem jedynym prezydentem, który uznał, że miejsce Giedroycia w historii warte jest depezy i który napisał, po polsku: „*Wielce Szanowny Panie. Mam wielką przyjemność przekazać, z okazji wspianiałego jubileuszu, uścisk dłoni Przyjacielowi odradzającej się Litwy. Sto lat. Vytautas Landsbergis*”.

Sto lat dla 85-letniego Giedroycia to nie jest może wyjątkowo wspaniałomyślna prognoza, ale Litwinowi chodziło bardziej o staropolskie hasło niż o arytmetykę. Depesza Landsbergisa nie jest jednak jedynym międzynarodowym akcentem otwarcia wystawy *Kultury* w Warszawie. Drugim takim, może nawet bardziej frapującym, był także unikalny, jedyny w dniu inauguracji, oficjalny wpis do księgi honorowej wystawy. Oto jego treść:

„*Gorące podziękowania za wystawę, która daje głęboką i obiektywną informację o działalności wydawców Kultury, o ich związkach z przedstawicielami rosyjskiej inteligencji w ciężkich latach totalitaryzmu. To istotny wkład w odświeżeniu historycznej prawdy o naszym życiu, życiu naszych narodów. Dziś po sierpniu 1991 w Moskwie szczęście się i do nas uśmiechnęło. Warszawa 12 X 1991*”.

Tekst był napisany po rosyjsku, a podpisany: Fryderyk Loginow, *attaché* do spraw kultury, radca Ambasady ZSSR w Warszawie. Jest nawet telefon, podają go, gdyby ktoś chciał sprawdzić: 21 34 53.

Co ma wspólnego prezydent Landsbergis z radcą Loginowem? Tylko to, że obaj wystąpili *ex officio* i oficjalnie obecni byli na otwarciu wystawy *Kultury* w Warszawie. Otóż fakt ten zasługuje na uwagę, albowiem byli to jedyni przedstawiciele oficjalnych instytucji, jacy się w ogóle przy tej okazji ujawnili i zmanifestowali raczyli. Z władz demokratycznego państwa polskiego, które mogłoby mieć kilka powodów do szacunku dla Jerzego Giedroycia i jego dzieła, może nawet więcej niż prezydent Litwy i radca sowiecki, nikt się nie pofatygował. Ja wiem, naturalnie, że władze polskie były bardzo zajęte czym innym i gdzie indziej, no ale w końcu, bez przesady, można było posłać kogoś mniej ważnego, tak, po prostu, aby jedyny wpis honorowy do księgi wystawy *Kultury* nie ostał się tylko po rosyjsku.

No ale nie bądźmy małostkowi, to naprawdę nie jest zmartwienie. Z kilku przyczyn. Po pierwsze być może, że właś-

nie w przewidywaniu takich despektów Giedroyc sam nie przyjechał, a posłał specjalnego wysłannika, który z uwagi na tylko 22-letni staż z „Maisonem” jest mniej czuły na zewnętrzne przejawy wielkoduszności i bogactwa uczuć autorytetów w Warszawie.

Po drugie, na otwarcie przyszło naprawdę mnóstwo ludzi zupełnie do tego nie zmuszonych ani funkcją, ani urzędem, a kierujących się wyłącznie sympatią dla pisma i jego ludzi, podziwem dla jego redaktora. Ja wiem, że muzeum nie ma doświadczenia w *public relations*, że były trudności z, jak się to teraz mówi po polsku, „nagłośnieniem” wystawy. Pozostaje jednak dręcząca mnie wątpliwość, jak to się stało, że tysiące „zwykłych” ludzi o otwarciu wiedziało, a interpelowani potem przeze mnie oficjele o niczym nie mieli pojęcia.

Po trzecie, Giedroyc nie lubi władz w ogóle, a niektórych władz w szczególności. Stąd brak ich właśnie na otwarciu wystawy sprawił Giedroycowi raczej przewrotną przyjemność, niż prestiżową przykrość.

Nie da się jednak tego powiedzieć o nieobecności niektórych czołowych przedstawicieli polskiego ruchu wydawniczego. Tych przede wszystkim, a będzie ich chyba setka, którzy wyrosli z ruchu podziemnego, którzy w pewnym, a nawet może dużym stopniu, korzystali z pomocy *Kultury*. Tu nawet nie chodzi o wdzięczność, choć prywatnie ktoś powiedział w atrium Muzeum Literatury, że „zapomnieli o długu honorowym”, a chodzi o rodowód. Nie o rodowód Giedroycia, a o ich własny. Kiedy będą kiedyś pisać swoje życiorysy, to może im tej nieobecności zabraknąć.

2. Sposób się znalazł

Wystawa będzie otwarta sześć miesięcy. Jest tak opracowana, iż stanowić może wyjątkowej wartości instrument pedagogiczny. Nie trzeba wszak się ludzić. Całe pokolenia Polaków nie mają pojęcia o tym, czym była i jest *Kultura*. Nie ma też co liczyć na nowe podręczniki. Nie powstaną tak szybko i *Kultura* nie będzie tam najważniejszą sprawą do rewizji. Tym bardziej więc należy podziękować organizatorom wystawy za ich trud, wysiłek i opór. Dokonali czegoś imponującego. Zrobienie porządnej wystawy o *Kulturze* nie było, wydawało się, możliwe bez wielomiesięcznego pobytu w Maisons Laffitte. Otóż panowie Dąbrowski i Kossowski wykazali, że to nieprawda, że można. Pokazali nie tylko rzeczy współczesne, to było prostsze, ale trafili do „prehistorii”, do rodowodów, dosłownie i w przenośni, założycieli i twórców *Kultury*. Sięgnęli do archiwów szkolnych, uniwersyteckich, urzędowych. Piszę o tym z takim naciskiem, albowiem (ubóstwa nie trzeba się wstydyć) dokonali tego nie

DZIĘKI, a WBREW, nazwijmy je, „okolicznościami”, które sprawiły, że żaden z wielkich potencjalnych i, powiem od razu, logicznych, naturalnych na pozór, sponsorów nie otworzył ani serca, ani kasy. Poza instytucjami wymienionymi na wstępie, spontanicznie na apel kustoszów odpowiedziało chyba tylko Ministerstwo Spraw... Wewnętrznych, otwierając niektóre ze swych tajnych ciągle zbiorów. W słowie otwierającym pan Odrowąż-Pieniążek stwierdzić zechciał, że „po obejrzeniu wystawy narzuca się wniosek, iż nie sposób przecenić zasług *Kultury paryskiej dla kultury polskiej*...”. Jak wynika z listy nieobecności na otwarciu wystawy, niektórym udało się ten sposób znaleźć. Ale, to prawda, oni wystawy nie obejrżeli.

3. Czyje miejsce?

Atrium muzeum w dniu 12 września to, naturalnie, nie było miejsce moje. Przedstawicielem *Kultury* na otwarciu wystawy w Warszawie powinien być tylko Jerzy Giedroyc. Ale nie chciał przyjechać. Ani on, ani żaden z jego bliskich. Co sprawiło, że pierwszym pytaniem jakie mi zadano było: „Co pan tu robi, gdzie jest redaktor Giedroyc?” Odpowiadałem w trzech tempach. Po pierwsze, że Giedroyc prosił, żebym przyjechał. A jak Giedroyc mnie o coś prosi, to ja, mam własne powody, nie odmawiam.

Po drugie, Giedroyc nie chce przyjechać. Kiedy uparty jak Litwin Giedroyc czegoś nie chce, to nikt na to nic nie poradzi.

Ponieważ jednak przewidywałem taki obrót sprawy, więc się uzbroiłem w elementy odpowiedzi. Zapytałem redaktora, co mam odpowiadać. „*Niech pan powie, że się nie wybieram, bo czekam na demokratycznie wybrany sejm, na nową demokratyczną konstytucję i na wyjazd ostatniego żołnierza sowieckiego z Polski*”. No a, zapytałem, jak już będzie sejm i konstytucja, a nie będzie Sowietów, to czy wtedy Pan przyjedzie? „*Wtedy*, powiada Giedroyc, *niech pan powie, że zobaczymy*”. Ale, po trzecie, przypuszczam, że są i głębsze powody. Nie znam prawdy, ale sędzę, powiedziałem to na dziedzińcu muzeum, że Giedroycowi się ta Polska nie podoba, że on uważa, iż nie o taką się bił przez pięćdziesiąt lat. Nie wiem, czy w ogóle Polska giedroyciowa jest możliwa, ale on z niej nie zrezygnował. Nie wiem, czy wszystkich przekonałem, ale wielu się ze mną, to znaczy z nim, zgadzało.

4. O pukaniu się w czoło

Tekst, który został zacytowany na wstępie, Herling-Grudziński pisał 7 sierpnia. Od tego czasu coś nie coś się na

świecie zmieniło, m.in. jak pisał sowiecki radca, „szczęście uśmiechnęło się także do Moskwy”. Uznałem więc, że wobec przyjaciół *Kultury* posłanie należy uzupełnić posłowiem. Przypomniałem więc, że wśród niepisanej ewangelii programu *Kultury*, obok demokracji, tolerancji, niepodległości, walki z konformizmem, szowinizmem, antysemityzmem, był także punkt o wyjątkowej aktualności, to znaczy miejsce Polski w świecie, a przede wszystkim w środku Europy. Jest tam wizja Giedroycia, Mieroszewskiego i *Kultury* wolnej Polski w sojuszu z wolną Litwą, Białorusią i Ukrainą, w przyjaźni z wolną Rosją. Przypomniałem, że czytając te, jak je nazywano, mrzonki i majaczenia, przez bardzo długi czas i jeszcze niedawno niektórzy pukali się w czoło. „Szkodliwy fantasta”, mówili. No a dziś? Dziś, powiedziałem, warto pomyśleć o wydaniu specjalnego, wschodniego numeru *Kultury*. Nie, nie z prognozami na przyszłość. To dziś łatwe. Ten numer powinien zawierać nie prognozy, a wybór starych artykułów *Kultury*, wypowiedzi „Redaktora”, fragmenty „Od redakcji”, artykuły Mieroszewskiego, wszystko na temat unii wolnych wschodnich narodów. Nie po to, aby się chwalić, choć i to byłoby akurat teraz na miejscu, ale aby wykazać, że można pogodzić poczucie godności i odpowiedzialności z prawidłowym, wyprzedzającym czas, myśleniem politycznym. Nie wiem, mówiłem do przyjaciół *Kultury*, co dziś, w tej chwili, czuje Jerzy Giedroyc. To człowiek zapewne próżny i zarozumiały, więc wyobrażam sobie, że w duchu triumfuje. To przecież tylko on chyba wierzył, że dożyje zwycięstwa swoich idei. Ale, jeżeli triumfuje, to nie daje tego po sobie poznać. Odwrotnie, narzeka bardziej niż kiedykolwiek na to co się w Polsce i na świecie dzieje. Przypuszczam więc, że zamiast triumfować, raczej się w tej chwili zastanawia co robić dalej. „Postępowy książę-pan. Z ludem trzyma...”, dowcipnie, tak zapewne myślała, kpiła dziennikarka w *Prawie i Życiu* po procesie „taterników”. No, a kto trzymał? Ona?

5. Zamknąć sklepik?

„Nie wybieram się umierać, ponieważ wierzę, że mam jeszcze wiele do zrobienia”. Ten słynny cytat Jerzego Giedroycia, który figuruje naturalnie na wystawie, adresowany był do tych wszystkich licznych w kraju i na emigracji, którzy już zaczęli dzielić schedę i wpisywali się tłumnie na listę kandydatów do objęcia interesu. Pochodzi on z roku 1985 ale, przypomniałem, jest ciągle aktualny. Giedroyc wie, że pewna liczba ludzi uważa, że czas *Kultury* się skończył, że wybiła jej godzina i że pora zamknąć „sklepik spożywczo-papierniczy”, o którym z taką bez-

mierną głupotą i złością pisał kiedyś sowiecki *Krokodil*. Wśród sceptyków są nawet jego przyjaciele. Kisiel np., który ostatnio niedomaga, więc życzyć mu trzeba przede wszystkim powrotu do zdrowia, bo z chorobą mu nie do twarzy, powiedział mi: „*Kazaleo zawiadomić Giedroycia, że mamy ten sam problem: jak się wycofać?*”. Giedroyc nie ma tego problemu: na razie się nie cofa. Ludzie z jego kręgu są tego samego zdania.

W dzień po otwarciu wystawy podpisywałem moją książkę „Z Brukseli” na kiermaszu w Warszawie. Na stoisku wydawnictwa PoMost leżały jego książki, a wśród nich niewielki tomik „Arabowie i Żydzi”. Podeszła młoda para. Przyjrzeni się tytułom, spojrzeli na mnie, wzięli do ręki „Arabów i Żydów”, spokojnie, bez wrogości powiedzieli: „Ech, za dużo tych Żydów”, odłożyli, nie kupili i z godnością odeszli. I wtedy ktoś mnie zapytał: „W tytule było przecież „Arabowie i Żydzi”. Dlaczego ten pan powiedział, że za dużo Żydów, a nie za dużo Arabów?”. Dobrze pytanie. *Kultura* na nie już nieraz próbowała odpowiedzieć. I będzie próbować nadal, uzasadniając w ten sposób jeden z cytatów (MON) przytoczonych na wystawie: „*Mit polskiego antysemityzmu konsekwentnie lansuje głównie Kultura*”.

Stąd, powiedziałem do gości muzeum, mój komentarz jest prosty: wystawa nie powinna mieć charakteru ani bilansu, ani hołdu. Na bilans — za wcześniej, na hołd — za późno. Ale przede wszystkim, powiedziałem, Giedroyc hołdów nie lubi. Ani składać, ani przyjmować. Jest na wystawie kopia matury Giedroycia. Ze sprawowania bardzo dobrze. Z języka polskiego: dostatecznie. Dziś na szczęście jest odwrotnie: z polskiego bardzo dobrze, a zachowuje się bardzo niepokornie. I niech tak będzie dalej. Sto lat, jak chce Landsbergis. Jest na wystawie cytat Nicola Chiaromonte, poety włoskiego, przyjaciela *Kultury*. Powiada on: „*Pierwszym pytaniem, jakie należy sobie dziś stawiać, nie jest «Co robić?», lecz «Co myśleć?»*”. Stąd ogromna odpowiedzialność intelektualistów”. Pod tym względem nic się chyba nie zmieniło. W 1936 roku, przypomniałem, wybory we Francji wygrał Front Ludowy. Obejmując urząd premiera, socjalista Leon Blum powiedział wtedy: „*Enfin, les difficultés commencent*”. Giedroyc nie jest socjalistą, ale także myśli, że trudności dopiero teraz się zaczynają. Giedroyc uważa, że się jeszcze przyda. I *Kultura*. I on sam także. Giedroyc bowiem to człowiek o wybujałych ambicjach. Nie dla siebie...

6. Ostatni wpis

Ostatni wpis, jaki przed opuszczeniem Warszawy mogłem przeczytać w honorowej księdze wystawy, brzmiał: „*Warto*

pomyśleć o tym, jak dorobek ideowy zespołu Kultury przenieść pełniej na grunt Polski lat 90-tych”. Ano... No i napisane to było po polsku.

Pisane w Warszawie i w Brukseli
15 i 16 września 1991

Leopold UNGER

W KRĘGU PARYSKIEJ KULTURY

Organizator wystawy: Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie

Scenariusz i projekt wystawy: Kazimierz Dąbrowski, Łukasz Kossowski

Asystent wystawy: Lech Gołębiowski

Konsultacja plastyczna i etaląż: Agata Kwinto

Plakat: Tadeusz Szczepkowski

Fotografie: Lech Charewicz, Anna Kowalska

Wykonanie elementów graficznych: Tadeusz Szczepkowski, Zygmunt Jakubowski, Leszek Kuligowski

Montaż wystawy: Leszek Mozolewski, Zbigniew Boguta, Marek Góreczny

Prace intrologatorskie: Stefan Mleczek, Franciszek Krupa

Skład tekstów: ATEXT S.C.

Ekspонатów na wystawę użyczyli:

Institut Literacki, Paryż

Elżbieta Anderman, Czesław Bielecki, Aleksander Bocheński, Tadeusz Burchacki, Andrzej Friszke, Irena Furnal, Stefan Kisielewski, Piotr Kłoczowski, Wojciech Kochlewski, Danuta Mostwin, Kazimierz Orłoś, Agnieszka Osiecka, Mirosława Pałaszewska, Mieczysław Pruszyński, Andrzej Peciak, Stanisław Rodziński, Małgorzata Szpakowska, Barbara Wendołowska.

Arch. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Arch. Uniwersytetu Warszawskiego, Arch. Urzędu Ochrony Państwa, Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Archidiecezjalne w Warszawie, Muzeum Niepodległości w Warszawie, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Muzeum Literackie im. Józefa Czechowicza w Lublinie, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Oficyna Literacka w Krakowie, Stow. „Wspólnota Polska” Oddz. w Krakowie, Wydawnictwo FIS w Lublinie, Wydawnictwo PoMost w Warszawie, CAF, WAF, Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza.

Autorzy fotografii: P. Avez, E. Ciołek, J. Campens, Z. Dłubak, T. Abramowicz, F. Gładysz, S. Rodziński, W. Szostak, M. Turek, A. Turowski, J. Zapała, Archiwum Dokumentacji Mechanicznej, Bohdan Paczowski, Janusz Odrowąż-Pieniążek.

Sponsorzy wystawy:

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim, Wydawnictwo PoMost, Fundacja Kultury Polskiej, Wyd. Kultury Urzędu Woj. w Warszawie

„Dniepr i Wisłę związać pieśni stulą”

Rozmyślając nad tytułowym zagadnieniem i nad znalezieniem najodpowiedniejszego doń klucza, odżyła mi w pamięci strofa ze znakomitego utworu Józefa Łobodowskiego pt. „Pieśń o Ukrainie”:

*Zapomnieć, co mi gorzkie serce strulo,
znów Dniepr i Wisłę związać pieśni stulą,
wyprostować ścieżki młodym dziejom;
twardo w ziemię wbić zwycięską stopę
pod Kluszyńcem i pod Konotopem
i sztandary rozprostrec...
Niech wieją!*

Ta chęć, by „Dniepr i Wisłę związać pieśni stulą”, wodziła piórem tego ostatniego i najwybitniejszego przedstawiciela „szkoły ukraińskiej” w poezji polskiej i towarzyszyła mu przez całe jego tułaczne życie, jakże bogate w dokonania zwłaszcza jeśli idzie o prezentowaną problematykę. Duża w tym zasługa redakcji *Kultury* w Maisons-Laffitte, która tę problematykę hołubiła na swoich łamach, inspirowała oraz ukierunkowywała.

Właśnie z tych łam zaczęło się „prostowanie ścieżek młodym dziejom”; od samego początku, a więc od 1949 roku, na szpaltach *Kultury* polską *Ostpolitik*, w szczególności polsko-ukraińskie stosunki, poddano zasadniczej rewizji. Była to zasługa Jerzego Giedroycia, Jerzego Stempowskiego (Hostowca), przede wszystkim zaś błyskotliwego eseisty politycznego Juliusza Mieroszewskiego oraz Józefa Łobodowskiego. Podejmując próbę rozliczenia własnej historii oraz stosunku do Ukrainy, środowisko *Kultury* poddało ostrej krytyce polskie koncepcje „idei jagielloń-

skiej”, której konfliktogenny charakter przyczynił się do jej całkowitego bankructwa. Za podstawę współistnienia Polaków i Ukraińców uznano zasadę suwerenności.

W obliczu powojennej rzeczywistości Juliusz Mieroszewski postulował, iż „pierwszym punktem polskiej polityki wschodniej winno być uznanie prawa do samostanowienia i niezależnego bytu państwowego wszystkich narodów ciemiężonych przez Sowiety. Z polskiego punktu widzenia w szczególności ów punkt dotyczy Ukraińców, Białorusinów i Litwinów (...) Winniśmy nie tylko zapewnić Ukraińców i Litwinów, że nie zgłaszamy roszczeń rewindykacyjnych do Wilna i Lwowa, lecz że nie sięgniemy zbrojnie po te miasta, nawet gdyby w danej sytuacji okoliczności nam sprzyjały”.

Wolno sądzić, że właśnie te zasady i poglądy legły u podstaw interesującej nas współczesnej polskiej myśli politycznej i polityki wschodniej, że z tego kręgu myślowego wywodzi się krajowy ruch opozycyjny, którego program polityczny poczynszamy od połowy lat 70-tych formułowany był przez Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Przed dziesięcioma laty na fali programowych poszukiwań i „solidarnościowej gorączki” Porozumienie ogłosiło deklarację „Polska — Ukraina”, której rolę i znaczenie dla kształtowania się w Polsce proukraińskiej orientacji i ruchu trudno przecenić.

Najbardziej uderzający jest fakt, że wskazując na konieczność pojednania między Polakami i Ukraińcami, obopólnego zrozumienia i szacunku oraz pracy nad lepszą przyszłością poprzez odpowiednie wychowanie młodych pokoleń, deklaracja podkreślała, że:

„ze strony polskiej będzie to wymagało wyrzeczeń, choć — powiedzmy sobie szczerze — wyrzeczenia te będą dotyczyły przede wszystkim tradycji i sentymentów historycznych, nie zaś aktualnych realiów politycznych. Polacy muszą zrozumieć, że ziemie etnicznie ukraińskie, które do roku 1939 należały do państwa polskiego, winny wejść w skład nowo powstałej Republiki Ukraińskiej. Jest rzeczą zdumiewającą, jak wielu jeszcze ludzi w Polsce i wśród emigracji nie zrozumiało tej podstawowej prawdy (...) Zmiana mentalności i świadomości politycznej obu narodów jest w dzisiejszej sytuacji jednym z najważniejszych i najpilniejszych do załatwienia problemów polsko-ukraińskich. Wydaje się, że konieczne jest przeprowadzenie czegoś, co nazwalibyśmy publiczną spowiedzią lub dniem oczyszczenia”.

Bardzo to słuszny, ważny i aktualny postulat, albowiem szukanie wspólnego języka jest jednocześnie szukaniem trwałych i pewniejszych zasad współistnienia. Nie powinny one być obciążone unijnymi ciągotami, zarówno jagiellońskiej jak i prometejskiej proveniencji, ani rozbiorowymi traktatami na wzór andruszowskiego z 1667 r. czy analogicznie traktowanego przez

Ukraińców ryskiego z r. 1921. Ten proces będzie wymagał ponadto wielkiej czujności, aby nie zakłóciły go pogłosy barwnej sienkiewiczowskiej trylogii, pobudzające narodową wyobraźnię „Myśli nowoczesnego Polaka” Dmowskiego czy chwytliwe hasła Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów oraz komunistyczne prowokacje autorów takich jątrzących książek, jak np. „Pid czużymy praporamy”, „Jich remesło zrada”, „Łuny w Bieszczadach”, „Herosi spod znaku tryzuba” czy „Kto zabił profesorów lwowskich”.

W tym kontekście próżno się łudzić, że szukanie wspólnego języka może się obyć bez zgrzytów i zadrażnień. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że proces ten będzie wymagał wysiłku kilku pokoleń. Zresztą po raz pierwszy podjęli go z całą determinacją polscy i ukraińscy romantycy. Przypomnijmy gwoli pedanterii federalistyczne koncepcje kijowskich cyrylometodyczków, szewczenkowski wyciąganie „do braci Polaków” zgodnej, bratniej dłoni czy słynne zawołanie Mykoły Kostomarowa (po antycarskich wystąpieniach Polaków):

*Chwała, cześć wam, bracia Lachy,
Wieczne pojednanie!
Zginą pany, obłudnicy,
Wolność zmartwychwstanie!*

Ze strony polskich romantyków te pojednawcze akty były jeszcze wymowniejsze, czego jaskrawym przykładem była proukraińska „gorączka romantyczna”, która wykształciła się w całą „ukraińską szkołę” w literaturze polskiej, nazwaną drugą — po religijnej — unią polsko-ukraińską, tym razem literacką. Należeli do niej wybitni twórcy z Juliuszem Słowackim na czele. To właśnie oni dali własną interpretację polsko-ukraińskiej tragedii. Seweryn Goszczyński w „Zamku Kaniowskim” interpretuje ją jako krwawą zapłatę za polskie krzywdy:

*Syny mej ziemi, o rodacy mili!
Wy szczerzej wiary nie dacie poecie
I sami spojrzeć na przyszłość nie chcecie,
Na ucztę długo tłumionej swobody.*

Alte byłoby błędem sądzić, iż w owym czasie polska myśl polityczna pozostała nadal wierna „idei jagiellońskiej” i nie wyszła z utartego szlacheckiego zaścianka. Właśnie po klęsce powstania listopadowego w polskim politycznym myśleniu o Ukrainie nastąpiła radykalna zmiana, czego jaskrawym przykładem jest ideologia emigracyjnych organizacji rewolucyjno-demokratycznych. Na potrzebę polsko-ukraińskiego pojednania wskazał w swoim przemówieniu w Paryżu w drugą rocznicę listopa-

dowego powstania Tadeusz Krępowiecki, natomiast dalszym, zdecydowanie radykalnym krokiem na tej drodze myślenia była słynna odezwa powstańców-tułaczy z gromady Humani (jedna z gromad Ludu Polskiego w Anglii), w której czytamy: „nam godziło się przybrać nazwisko Humania, abyśmy z ludnością Ukrainy zawarli przymierze odrodzenia, sojusz przyszłości, abyśmy w wspólnej pamiętce zatarli wspólne cierpienie, abyśmy za przesładowania ludu Ukrainy, za wywołane najstraszniejsze reakcje tym samym nazwiskiem obmyli wspólną nienawiść, zamazali krwawe pamiętki”.

Są to piękne stronicze polskiego myślenia o Ukrainie. Nie były one odosobnione, albowiem do stanowiska tego nawiązywała polska publicystyka emigracyjna przed wojną krymską i powstaniem styczniowym; znalazło to dalsze rozwinięcie w ideologii kijowskich chłopomanów na czele z Tadeuszem Rylskim, Paulinem Święcickim i Włodzimierzem Antonowiczem, którego słynna „Spowiedź” była utrzymana w duchu odezwy humańskiej i za którą został przez rodaków okrzyknięty zdrajcą. Natomiast wśród Ukraińców cieszył się dużym autorytetem, był razem z Drahomanowem, Franką i Hruszewskim (jego uczniem) najwybitniejszym przedstawicielem umysłowości ukraińskiej drugiej połowy XIX wieku. Ich rola w kształtowaniu polsko-ukraińskich stosunków politycznych w XIX i na początku XX wieku jest decydująca, ale niestety czeka wciąż jeszcze na swojego badacza, zaś interesujące ich pisma, polemiki i dyskusje na wydawce.

Konieczność przyswojenia dzisiaj tego dorobku myśli polsko-ukraińskiej jest pilniejsza aniżeli kiedykolwiek. To pomoże wzajemnemu zrozumieniu i porozumieniu, wyzbyci się uprzedzeń, mitów i ignorancji, na co wskazywał w roku 1894 we Lwowie na zjeździe literatów i dziennikarzy polskich Iwan Franko: „W całej Słowiańszczyźnie nie ma dwóch takich narodów, które by pod względem życia politycznego i duchowego tak ściśle zrosły się ze sobą, tak licznymi były połączone węzłami, a mimo to ciągle stroniły jeden od drugiego, jak Polacy i Ukraińcy”.

Zadaniem współczesnych i potomnych jest usilna praca nad tym, aby powyższe słowa wreszcie przestały być aktualne. Jest to wyzwanie współczesności, któremu musimy sprostać. Pamiętać przy tym trzeba, że historia bez polityki nie wydaje owoców, zaś polityka bez historii nie ma korzeni.

A przecież od wieków Polacy i Ukraińcy współżyli ze sobą — choć nazbyt często obok siebie — wypowiadali o sobie sądy wypływające z ich wzajemnych stosunków społecznych, politycznych, religijnych i kulturalnych. Poglądy te znalazły swój wyraz w kulturze obu narodów, w literaturze pięknej, publicz-

stycie, historiografii, myśli politycznej, w pieśni i tradycji ustnej. I w zależności od tego, jakie każdorazowo były owe stosunki, takie były też sądy i opinie. Wywierały one bezpośredni wpływ nie tylko na kształtowanie się zdroworozsądkowych postaw intelektualnych i emocjonalnych odruchów, lecz i na powstawanie destrukcyjnych mitów i stereotypów, a także przyczyniały się do ich upowszechniania, więcej — do osłabienia lub zdynamizowania wzajemnych stosunków zarówno na płaszczyźnie społecznej, politycznej, religijnej, jak i na polu literatury, nauki i kultury. Nie ulega więc wątpliwości, że sfery te były swoistym papierkiem lakmusowym i sejsmografem rejestrującym wszystkie procesy, zdarzenia i nastroje zachodzące na linii wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich i że powinny one być poddane wszechstronnemu naukowemu oglądowi.

Chciałoby się wierzyć, że polsko-ukraińska współpraca na tym polu będzie się odbywała bez zakłóceń i da dobre wyniki. Nie przypadkiem więc w deklaracji „Polska-Ukraina” kwestie te zaliczono do najważniejszych i najpilniejszych.

Na jeszcze jeden ważny aspekt tego dokumentu chciałbym zwrócić uwagę. Otóż jego sygnatariusze stoją na stanowisku, że „bez ściślej współpracy obu państw — Polski i Ukrainy — na arenie międzynarodowej zaistniałoby znowu możliwości bliższego lub dalszego zagrożenia ich niepodległego bytu”.

Czytając ten dokument dzisiaj, po dziesięciu latach po jego ogłoszeniu, nasuwa się refleksja, jak przewidujący byli jego autorzy, którzy w warunkach komunistycznego totalizmu zdolni byli odpowiedzieć na wyzwania przyszłości.

Przywołując powyższy kontekst chciałbym najpierw stwierdzić, iż ten europejski aspekt polsko-ukraińskich stosunków jest niesłychanie intrygujący i ważny. Ale o tym za chwilę, natomiast teraz pragnę zwrócić uwagę na fakty i wydarzenia. Te zaś budzą nadzieję. Myślę, że nie będzie przesadą twierdzenie, że w stosunkach Polska-Ukraina rysują się obecnie nowe perspektywy, że w dziejach tych stosunków otwiera się nowy rozdział. Zdecydował o tym przede wszystkim rozpad komunistycznego imperia- lizmu oraz szereg wydarzeń i procesów, wśród których do najważniejszych należy zaliczyć reorientację polskiej myśli politycznej i polityki wschodniej, nawiązanie bezpośrednich stosunków między parlamentarzystami polskimi i ukraińskimi (z demokratycznego bloku), uwieńczonych pierwszym historycznym spotkaniem w Jabłonie (w maju 1990 r.), ogłoszenie przez parlament Ukrainy 16 lipca 1990 roku deklaracji suwerenności, wizytę ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego w Kijowie i podpisanie w październiku 1990 r. międzypaństwowej umowy, rewizytę (grudzień 1990 r.) dyplomatów ukraińskich w Warszawie w celu omówienia kwestii akredytacji i utworzenia

placówek konsularnych, a także niedawną rewizytę delegacji Ministerstwa Oświaty Ukrainy (kilka miesięcy wcześniej odwiedziła Kijów delegacja MEN), uwieńczoną podpisaniem umowy o bezpośredniej współpracy w zakresie oświaty i szkolnictwa. Polski kierunek w ukraińskiej polityce zagranicznej jest wyborem świadomym, stanowiącym dla Kijowa swoistą odszkodnię w podejmowaniu dyplomatycznych inicjatyw i działań na rzecz wejścia Ukrainy na arenę polityki europejskiej; świadczą o tym niedawne wizyty kijowskich dyplomatów w Paryżu, Strasburgu, Genewie, Wiedniu oraz intensywne kontakty z Budapesztem i Pragą w sprawie uczestnictwa w Grupie Pentagonale.

Jeśli będziemy pamiętać, iż Ukraina dopiero co zadeklarowała suwerenność państwową i że droga do jej odzyskania będzie niesłychanie trudna, to bez wahania stwierdzimy, że jest to aktywność widoczna. Może jeszcze mało skuteczna i nieco nieporadna, ale wychodzenie z wielowiekowej izolacji nie jest sprawą łatwą. Dlatego też ze zrozumieniem należy odnieść się do pierwszych kontaktów Ukrainy z Europą, bo to właśnie Europa ze swoimi demokratycznymi instrumentami stanowi dla Kijowa wielką opokę i nadzieję.

Aczkolwiek Ukraina jest w nieporównywalnie gorszej sytuacji od postkomunistycznych państw Europy Środkowo-Wschodniej, wszelako na owej drodze myślenia o Europie jest ona bardzo blisko, jeśli nie najbliższej, koncepcji Polski. Jest to zrozumienie w kontekście wspólnych doświadczeń historycznych, wspólnych obecnych interesów i racji stanu obu państw. Grupa Pentagonale jest pierwszym krokiem ku zintegrowanej Europie, trudno się więc dziwić, iż Polska i Ukraina chcą do niej przystąpić, wszak jest to realna szansa stworzenia nowoczesnej infrastruktury dostosowanej do wymogów Zachodu, wprowadzenia najnowszych zachodnich technologii oraz obowiązujących w wysoko rozwiniętych krajach systemów prawnych, podatkowych, finansowych, nie mówiąc już o instytucjach demokracji parlamentarnej i strukturach politycznych.

Zasygnalizowany tu szerszy, europejski kontekst stosunków Polska-Ukraina ma jeszcze jeden istotny aspekt: oba kraje spełniałyby rolę stabilizatora w Europie Środkowo-Wschodniej. Dostrzegając tę stabilizującą rolę polityczną Zachód będzie szczególnie zainteresowany, aby stosunki między Polską i Ukrainą układały się pomyślnie.

Jest to wielkie wyzwanie współczesności, tej szansy historycznej nie można zmarnować, albowiem historia takich grzechów nigdy nie przebaczy. Zwłaszcza, jeśli miałyby temu stać na przeszkodzie stare urazy i obciążenia historyczne, odświeżone dla podgrzania temperatury graniczne kłótnie i przebrzmiałe dyskusje geopolityczne, puszczone w obieg propagandowe prze-

klamania, jątrzące animozje, stereotypy i mity, podsycające wzajemną wrogość i nienawiść oraz sprowadzające oba narody w ślepy zaulek nacjonalizmu i szowinizmu.

Recydywy tych zjawisk są bardzo niepokojące; pomijając prasowe wysoki, nasilające się zwłaszcza na obrzeżach Polski, wystarczy dla przykładu wskazać chociażby kilka tytułów ostatnio u nas wydanych publikacji książkowych, jak np. „Atamania UP A”, „Kto zabił profesorów lwowskich”, „Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu w latach 1939-1945” czy pierwszy numer czasopisma *Semper Fidelis* (organu Towarzystwa Miłośników Lwowa), w którym obok rozszczeń wyrażano żal, iż obecnie trudno liczyć na rozwiązanie międzysąsiedzkiego konfliktu „na drodze sprawiedliwej regulacji granic”.

Łatwo zgadnąć, jaki model stosunków między Polską a Ukrainą zawierają powyższe propozycje. Nie będzie także sprawą kłopotliwą udzielenie odpowiedzi, czy rozsądnie jest rozpoczynać układanie wzajemnych stosunków od różnego rodzaju rozszczeń, waśni granicznych, nie wolnej od kłamstw statystyki ofiar i krzywd, przedstawionej przez jedną stronę konfliktu. Jeszcze łatwiej przewidzieć, jaką to wywoła reakcję i jak bardzo podsycać będzie emocje, antagonizować wzajemne stosunki czy wręcz je brutalizować. Trzeba bowiem pamiętać, iż w przypadku stosunków polsko-ukraińskich mamy do czynienia z niesłychanie delikatną materią, wymagającą obopólnej mądrości, skrucy, przebaczenia, a przede wszystkim zrozumienia, niekoniecznie miłości. Wszak podstawą cywilizowanej ludzkiej egzystencji jest zgodne współzycie jeśli nie ze sobą, to przynajmniej obok siebie — to po pierwsze, a po drugie — właśnie wzajemne zrozumienie.

Jest to najprostsza droga do przezwyciężenia obciążen historii, zarówno dawnej, jak i współczesnej. Zrozumiała sprawa, że dzisiejsze tempo wydarzeń, zagęszczenie faktów oraz ich nieoczekiwane zderzenia i napięcia są szczególnie niepokojące. Sowiecki wulkan wrze, rosną nasze obawy i z troskanie rozwojem sytuacji na Ukrainie. Wszak rozkład imperium, stan jego gospodarki i puste półki w sklepach są czynnikiem pogłębiającym i poszerzającym polityczne, narodowościowe i wyznaniowe napięcie, zaostrzającym napięcia i powodującym konflikty. Stąd obawy, że w tej sytuacji o recydywy nacjonalizmu nie będzie trudno, łatwo także sprowokować antypolskie nastroje, szczególnie na Ukrainie Zachodniej i Wołyniu, gdzie nadal są żywe w pamięci obrazy pacyfikacji ukraińskich wsi i palenie cerkwi, gdzie rywalizacja między Cerkwią grekokatolicką a prawosławną oraz Kościołem katolickim może być łatwym zarzewiem konfliktu. Pomijam dawne urazy i uprzedzenia, idzie tu o zabiegi o wier-

nych, a także o odzyskanie świątyń. Na te zagrożenia trzeba zwrócić szczególną uwagę, albowiem są to sprawy trudne i delikatne. Wszak skargi księży rzymskokatolickich, iż na Ukrainie Kościół traktuje się z nieufnością jako instrument polonizacji, należą właśnie do takich spraw. Mimo to Polakom zwrócono i zwraca się nadal dziesiątki kościołów. Natomiast innego podejścia wymagają informacje o kościele bernardynów we Lwowie, który zamiast Polakom przekazany został lwowskim bazylianom, a także skarga o cofnięciu decyzji oddania Polakom kościoła św. Elżbiety we Lwowie. Te decyzje nie powinny być zaskoczeniem, wszak katedra greckokatolicka w Przemyślu — mimo reaktywowania przez Jana Pawła II diecezji i ustanowienia jej ordynariuszem biskupa Jana Martyniaka — pozostaje nadal w rękach Kościoła rzymskokatolickiego. Nie należy także zapominać, iż ukraińscy grekokatolicy w Polsce mimo od lat trwających usilnych starań nie odzyskali do tej pory ani jednej ze swoich cerkwi, utraconych wskutek akcji „Wisła”.

Zresztą sytuacja prawna Kościoła greckokatolickiego w Polsce również nie została dotychczas unormowana. Odnosi się to także do ukraińskich wiernych Cerkwi prawosławnej. W licznych pismach do władz państwowych, włącznie z Sejmem, Związek Ukraińców w Polsce zwracał uwagę na liczne zagrożenia wypływające z takiego stanu rzeczy. Na dzień dzisiejszy sprawy wyglądają następująco: przygotowany jest projekt ustawy o stosunku państwa do polskiego autokefalicznego Kościoła prawosławnego (kiedy wejdzie pod obrady Sejmu i będzie uchwalony — nie wiadomo), natomiast sprawę statusu Kościoła greckokatolickiego pozostawiono bez zmian, gdyż uważa się, że te kwestie reguluje ustawa uchwalona przez Sejm poprzedniej kadencji. Idzie tu o ustawę z 17 maja 1989 r. o stosunku państwa do Kościoła katolickiego; nie uwzględnia ona jednak odrębności Kościoła greckokatolickiego w Polsce.

Przedstawiono tu tylko jeden aspekt skutków akcji „Wisła”. Jeśli do tego dodać prawdziwy cel deportacji, sposób jej przeprowadzenia, obóz w Jaworznie, straty — w ludziach, dobytku, kulturze, setki tysięcy spalonych domostw — wówczas zrozumiemy tragedię wielosettysięcznej społeczności ukraińskiej i straszliwy — wedle określenia Tadeusza Olszańskiego — bilans akcji „Wisła”. Ale, jak uwydatnił Kazimierz Podlaski (Bohdan Skaradziński w swojej głośnej książce „Białorusini — Litwini — Ukraińcy nasi wrogowie czy bracia?”, trzeba pamiętać, iż pacyfikujący Polacy szli „z nienawiścią do Ukraińców i, walcząc oraz wysiedlając, umacniali w sobie tę nienawiść, by później roznieść ją po całym kraju”.

Wiadomo, jak komunistyczna propaganda po obu stronach granicy nienawiść tę podsycala, jak — wzorując się na takich

mistrzach, jak Bielajew, Czeredniczenko, Dmytruk — polscy specjaliści w tej dziedzinie swoimi masowo wydawanymi książkami typu „Łuny w Bieszczadach”, „Ślady rysich pazurów”, „Kryptonim bastion”, „Atamania UPA” nienawiścią tą systematycznie zatruwali społeczeństwo, stwarzając między Polakami i Ukraińcami ogromną przepaść. Powiększoną — nie zapominajmy — zastosowaniem zasady zbiorowej odpowiedzialności wobec ludności cywilnej, którą potocznie nazwano „bandytami”.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki to miało wpływ na Ukraińców, ich życie i polsko-ukraińskie stosunki. Wszelkie próby rozwiązania tej sprawy podejmowane przez Ukraińców nie dawały rezultatu. Dlatego też starania pewnych środowisk polskich, zwłaszcza parlamentarnych, w kierunku zdjęcia z Ukraińców tego odium są przez tę społeczność z nadzieją bacznie obserwowane. Zdając sobie sprawę z ciężącej na stronie polskiej odpowiedzialności i pragnąc rozładować napięcie w stosunkach polsko-ukraińskich, Senat Rzeczypospolitej Polskiej w lipcu 1990 roku podjął uchwałę potępiającą akcję „Wisła”. Rada Najwyższa Ukrainy zareagowała natychmiast: przyjmując ten fakt z satysfakcją, zapowiedziała zajęcie stanowiska wobec krzywd doznanych przez Polaków na Ukrainie. Natomiast społeczność ukraińska w Polsce ustosunkowała się doń z ulgą i nadzieją, traktując jako zapowiedź potępienia jej przez Sejm i uregulowania całokształtu spraw związanych z następstwami tej deportacyjnej akcji.

Niestety, ani Sejm nie podjął dotychczas stosownej uchwały (mimo, że jej projekt dawno przygotowała Komisja Mniejszości Narodowych Sejmu), ani Parlament Ukrainy nie kwapi się z zajęciem stanowiska odnośnie krzywd doznanych przez Polaków. Jest to sytuacja — mówiąc delikatnie — nieco dziwna, bo ani mniejszość ukraińska w Polsce nie jest tak liczna i silna, aby była niebezpieczna dla Polski, ani polska mniejszość na Ukrainie nie stanowi jakiegokolwiek zagrożenia dla Ukrainy. Widać, iż po obu stronach granicy niezbyt spieszą do łagodzenia konfliktów i urazów, budowania porozumienia, nie jest także najlepiej z polityką wobec mniejszości ani z poszanowaniem jej praw. I to w sytuacji, kiedy oba kraje ubiegają się o kartę wstępu do Europy. A gdzie ustawa o mniejszości, zapis w konstytucji, zagwarantowanie przedstawicielstwa w parlamencie, w organach samorządu lokalnego, odpowiedni paragraf przeciwdziałający antymniejszościowym kampaniom w środkach masowego przekazu, komisje do spraw weryfikacji podręczników szkolnych czy do wyjaśnienia tzw. białych plam? Myśląc o Europie, trzeba koniecznie uwzględnić europejskie kryteria tolerancji i demokracji, umiejętność rozwiązywania problemów etnicznych, religijnych i kulturalnych. Bez takich regulacji trudno będzie przejść przez

europijskie ucho igielne, nie mówiąc już o wpływie regulacji na łagodzenie konfliktów, zarówno aktualnych, jak i zadawnionych.

Jest to kwestia szczególnie istotna, gdyż historia i narody w naszej części Europy nie umieją sobie radzić z rozwiązywaniem konfliktów i ich następstw, zwłaszcza, że są one mocno osadzone w sferze emocji i świadomości. Dlatego tak dużo animozji, fobii i konfliktów w dziejach polsko-ukraińskich, szczególnie najnowszych, poczynając od waśni o wybory do sejmiku galicyjskiego, ukraiński uniwersytet i szkolnictwo na początku wieku, poprzez wojnę polsko-ukraińską końca drugiej dekady, traktat ryski, antyukraińską politykę II Rzeczypospolitej uwieńczoną pacyfikacją wsi aż po apogeum tego ciągu nawarstwiających się wydarzeń, tj. niewypowiedzianą drugą wojnę polsko-ukraińską, której tragedię symbolizują wołyńska wieś Horyń i akcja „Wisła”. Była ona istnym piekłem, okrutne cierpienia zadane Polakom przez Ukraińców i Ukraińcom przez Polaków są ciosem najboleśniejszym i najbardziej obciążającym teraźniejsze stosunki polsko-ukraińskie.

Tę sytuację pogarsza ekonomiczny kryzys i rozpad gospodarczy, bieda oraz fakt, iż w naszych postkomunistycznych społecznościach dominują obecnie agresywne, nietolerancyjne, rozszczeniowe postawy i prądy, co nie może nie mieć wpływu na politykę wewnętrzną i zagraniczną, a także na styl życia.

Nie sprzyja usuwaniu przeszkód mizerna współpraca gospodarcza, zupełnie szczątkowa naukowa i kulturalna; jedną z trudniejszych barier stojących na drodze do zbliżenia polsko-ukraińskiego jest niewątpliwie brak informacji, jakie mają przede wszystkim Ukraińcy o Polakach, a także Polacy o Ukraińcach, w wyniku czego świadomością obywatelską zbyt często manipulują różni harcownicy i specjaliści od selektywnej pamięci oraz jątżenia. Z tą formacją psychiczną, mającą kłopot z „wiecznie wczorajszym”, będzie najtrudniej się uporać.

Ukraińcy dotychczas nie wybili się na niepodległość. Liczą na pomoc Polski, nie tylko moralną, naukową i kulturalną, co ułatwia znajomość języka polskiego i czemu należy ze wszelkich miar sprzyjać, ale przede wszystkim dyplomatyczną i polityczną. Tym bardziej, że sprzeczność narodowych interesów uległa złagodzeniu, być może została oddalona, natomiast pojawiły się z całą jaskrawością wspólne zagrożenia. Może dzięki tej zbieżności interesów Polska i Ukraina będą dla Europy gwarantem stabilności i czynnikiem wpływającym decydująco na proces jej integracji? Czy oba narody dojrzały do takiego zadania i roli? Czy dorosły do Europy bez granic?

Stefan KOZAK

Charkowskie memento

Polskich prokuratorów i biegłych po przekroczeniu granicy w Medyce witał sowiecki generał. Z uśmiechem i wylewnie, jak za najlepszych czasów pogłębiania przyjaźni.

— Generał poprowadzi nas szybko i bez kłopotów do Charkowa — wyjaśnił jeden z prokuratorów.

W Charkowie czekała na ostateczne wyjaśnienie sprawa najbardziej od pół wieku skrywana przez władze sowieckie: los polskich oficerów więzionych w Starobielsku.

Ale w głąb Ukrainy nie prowadziła prosta droga. Autobus wiozący ekipę jeszcze przed Lwowem skręcił do Arłamowskiej Woli i zatrzymał się na terenie sowieckiej jednostki wojskowej. Generał zaprosił w gości.

— Nie wiedzieliśmy, po co tam idziemy — powiedziała później przedstawicielka PCK z Warszawy. Poczęstunek składał się z kielbasy, kiszonych ogórków i wódki. Nikt nie wrócił do autobusu na chwiejnych nogach. W tym kraju, jak nigdzie indziej, nie wypada odmówić gospodarzom wspólnego wypicia kieliszka wódki — wyjaśnił doświadczony prokurator.

Autobus pilotowany przez wołgi i gaziki z migającymi światłami posuwał się do przodu zadziwiająco wolno. Kilkakrotne pożegnania z generałem, oczekiwania w punktach kontroli drogowej na kolejnych przewodnikach, zbaczanie z trasy itd. — Oni chcą odwlec moment rozpoczęcia poszukiwań — stwierdzili biegli. Czy w Charkowie uda się wyjaśnić wszystko? — pojawiały się wątpliwości. A może miejsce wskazane jako cmentarz polskich oficerów zostało „wzbogacone” o fragmenty mundurów wojskowych i polskie drobiazgi? Szybko i bezboleśnie zamknąć sprawę — o to chodzi stronie sowieckiej.

KGB stawia krzyż

Po trzech dniach ekipa dotarła do Charkowa i stwierdziła, że podejrzenia się sprawdzają. Przy biełgorodskiej szosie, tam gdzie zaczyna się czarna droga, po której wieziono pół wieku temu ciała polskich oficerów, stał już pomnik na cześć pomordowanych. Na płycie z czarnego marmuru wyryto po polsku fragmenty wiersza Adama Asnyka, zaczynające się od słów: „Szkoda kwiatów, które więdną w ustroniu (...)”. W głębi marmurowy krzyż z wizerunkiem Chrystusa.

— To dzieło KGB w Charkowie, uporali się z tym w trzy dni — powiedział nie kryjąc dumy przedstawiciel lokalnych władz.

Wyglądało na to, że ekshumacja będzie tylko formalnością. KGB zadbało o wszystko. Alejkę prowadzącą do cmentarza wysypano drobnym tłuczniem, a na jej końcu przyspawano do ogrodzenia bramę. Przepuszczali przez nią żołnierze z oddziałów KGB po okazaniu specjalnej przepustki. Na parceli leśnej (w kształcie prostokąta o wymiarach 200 m na 250 m) otoczonej stalowym parkanem wyrosły okazałe dęby, jesiony i buki. Pod licznymi samosiejkami stanowiącymi podszycie, w ziemi — miały znajdować się szczątki polskich oficerów.

Płk Jurij Szumiejko ze sztabu generalnego sił zbrojnych ZSSR oprowadził polską grupę po cmentarzu. W rogach, przy parkanie rozpięto dwa duże namioty wojskowe. Przez całą długość parceli biegła ścieżka wysypana jasnym piaskiem, ograniczona betonowymi krawężnikami. — To zrobili na nasz przyjazd — powiedział zastępca generalnego prokuratora, Stefan Śnieżko.

— Niczego nikt nie rozkopywał, widzicie — zapewnił płk Szumiejko.

Opalikowano już kilka miejsc. — Tam zaczniemy kopać — powiedział przewodnik.

Polscy eksperci mieli przypięte do ubrań plakietki, mówiące, że uczestniczą w ekshumacji. To nieprawda — wyjaśnił jeden z sowieckich prokuratorów wojskowych. Śledztwo — dodał — prowadzi naczelna wojskowa prokuratura sowiecka, a polscy prokuratorzy zostali dopuszczeni do udziału w nim.

Z naszej strony nie było próby dyskusji, ale też nikt nie zdjął plakietki z napisem „ekshumacja”.

Nad całością czuwał KGB. Śledztwo w *liesoparku* (tak oficjalnie nazywa się podcharkowski las) rozpoczął różdżkarz. Był bez munduru. Niklowane ramionka trzymanego przez niego aparatu wychyliły się kilka razy. Po wyznaczonych przez różdżkarza miejscach żołnierze przejechali wykrywaczami min: w ziemi czyha niebezpieczeństwo. Saperzy przystąpili do mozol-

nego i delikatnego rozgrzebywania gliniastego gruntu. Pół dnia upłynęło, nie znaleziono nic.

Z pierwszego dołu ekshumacyjnego wydobyto kość stopy. Polscy eksperci przystąpili do opisywania znaleziska. Wówczas do ataku przystąpił młody major KGB z Charkowa: — Po co to robicie i nas dublujecie? My wykonamy całą dokumentację.

Jak się później okazało, ten oficer o nazwisku Jorszyk i nieufnej twarzy, od roku prowadzi śledztwo w sprawie polskich jeńców. Robi to na zlecenie wojskowej prokuratury ZSSR. — Część prac lepiej wykona KGB, gdyż ma łatwy dostęp do archiwum NKWD — wyjaśnił płk Trietiecki, prokurator wojskowy z Moskwy.

Pierwszego dnia do *liesoparku* tłumnie przybyli dziennikarze sowieccy (później bywali sporadycznie, a prasa lokalna, poza krótkimi informacjami, milczała na ten temat). Prokuratorowi Śnieżce zadali wiele pytań. — Czy Polska będzie się domagała osądzenia kogoś za zbrodnię charkowską? Prokurator wyjaśnił, iż wątpi, aby po 50-ciu latach udało się zgromadzić materiały obciążające konkretną osobę.

W tonie dość agresywnym dowodził jeden z żurnalistów, że Polska nie może liczyć na odszkodowania za zaginionych, gdyż nie byli oni jeńcami wojennymi, lecz internowanymi. A tym ostatnim — wywodził — w myśl prawa międzynarodowego odszkodowania nie przysługują. Zaskoczony prokurator Śnieżko, widząc, że fakty historyczne z 1939 roku także nie przekonują dziennikarzy gospodarzy, powołał się na dokumenty NKWD. Polskimi oficerami zajmował się wydział do spraw jeńców wojennych, a nie internowanych. Wszystkie oficjalne pisma NKWD mówiły o nich, jako o wziętych do niewoli. — A co ten spór daje tym, którzy tu leżą? — zapytał zirytowany.

Przewagę psychologiczną zdobyli polscy eksperci, gdy przekonali sowieckich kolegów, aby przerwać rozkopywanie tylko jednego dołu. Żołnierze zrobili kilka sondażowych wykopów. Od razu temperatura prac się podniosła: obok szczątków ludzkich znaleziono osiem guzików metalowych z orzelkiem w koronie (na wewnętrznej stronie jednego widniał napis: S.F. ALPAKCHA.). A dalej: otok czapki, zapalniczkę z literkami PMZ (Polski Monopol Zapalczany?), zelówki skórzane i gumowe oraz buteleczkę apteczną z cyfrą 30 na denku.

— Tu chyba pochowali naszych oficerów — stwierdził ostrożnie prokurator Śnieżko.

Ludzie wiedzieli

Pierwszy dzień prac ekshumacyjnych w podcharkowskim lesie potwierdził to, o czym wiedzieli od lat mieszkańcy publi-

skich Piatichatkach. W siedzibie gospodarstwa leśnego — pół kilometra od cmentarza — sekretarką i maszynistką jest Maria Ganaha. W 1940 roku wraz z innymi dziećmi pała w lesie krowy. Wspomina o ogrodzeniu — widziała to — wjeżdżały i wyjeżdżały ciężarowe samochody. Zawsze w nocy. Strzałów nie słyszała. A czy kręcili się żołnierze? Jej wspomnienia się urywają.

— Niczego nie widziałam, o niczym nie słyszałam — powtarza formułkę.

Przedstawiciele charkowskiego „Memoriału” twierdzą, że Maria Ganaha to świadek wydarzeń sprzed pięćdziesięciu lat. Wraz z innymi dziećmi, z drzew na które wdrapywali, widziała układane w wykopach ciała polskich oficerów. Ale wczoraj wieczorem odwiedzili ją funkcjonariusze KGB. Teraz w obawie o los bliskich woli milczeć — wyjaśnia Galina Gurina z „Memoriału”.

Michaił Predko w 1967 roku został głównym leśniczym *liesoparku*. Kiedyś pod koniec lat sześćdziesiątych natknął się na kilka ludzkich czaszek ustawionych na kijach. To wygląpy „pacanów” — pomyślał. Ale skąd te czaszki? Zawiadomił milicję, ale tam powiedzieli, by zwrócił się gdzie indziej. Z KGB, gdzie o wszystkim zameldował, przyjechał major. W kilka tygodni później Michaił Predko spotkał w lesie brygadę, która wybierała ludzkie kości i wywoziła. Zaniepokoił się: — Dlaczego to robicie? Tu są groby osób rozstrzelanych — usłyszał — które zostały zrehabilitowane. Należą im się kwiaty, ale nie ma gdzie ich składać — wytłumaczył pracownik KGB. Potrzebny jest pomnik.

— Zabrali te szczątki, a o pomniku zapomnieli — mówi Michaił Predko.

Paweł Hajmowicz, wnuk carskiego generała Lebidiewa, który przeszedł na stronę Armii Czerwonej (przez kilka lat był szefem sztabu AC), mieszka w dacy dziadka w Piatichatkach. Na początku lat siedemdziesiątych chłopcy z miejscowej drużyny pionierskiej kolekcjonowali polskie pieniądze i odznaki wojskowe. Znajdowali je przekopując las. Po pewnym czasie milicja zabroniła tam chodzić, a „moskiewscy” żołnierze — jak mówi Hajmowicz — rozbili na skraju czarnej drogi namioty. Przez rok robili coś w lesie. Wkrótce pojawił się drewniany płot. Po latach wzniesiono tam stalowe ogrodzenie.

Na początku 1990 roku Paweł Hajmowicz — działacz „Memoriału” — zebrał wśród mieszkańców Piatichatek polskie monety, odznaczenia, medale i medaliki. Zrobił zdjęcia, które wręczył odwiedzającym go polskim studentom.

— Te zdjęcia trafiły do prokuratury w Polsce — wspomina Paweł Hajmowicz. — Major Jorszyk z KGB miał pretensje, że

to stało się za moją przyczyną. Gdyby nie te fotografie — wypominał mi — nikt by się nie upomniął o charkowski las.

Po ogłoszeniu w miejscowej prasie w ub. roku, że „Memoriał” poszukuje świadków wydarzeń w *liesoparku* — zgłosiło się dwanaście osób. Wszystkie chciały zachować anonimowość.

Galina Gurina z „Memoriału” w oparciu o zebrane informacje, przez kilka dni wędrowała po lesie. Odnalazła czarną drogę, nazywaną przez okolicznych drogą śmierci. Wykonała szkic, gdzie po lewej stronie biełgorodskiej szosy znajduje się wojenna dacha, a po prawej — sanatorium KGB, wybudowane w latach siedemdziesiątych. Te obiekty łączy czarna droga, na tej linii muszą znajdować się mogiły z Polakami — twierdzi. Również — jej zdaniem — na wojennej dacy mogli przez krótki okres przetrzymywać oficerów, bo więzienie NKWD było zawsze przepelnione.

Ojciec Galiny Guriny, Roman Gurin, przewodził czerwoniemu kozactwu w Charkowie. Dla niego i przyjaciół rewolucja dokonała się w lutym 1917 roku, a nie w październiku — wtedy doszło do bolszewickiego przewrotu. W 1937 roku ojca Galiny aresztowało GPU. Wyszedł na wolność po interwencji Nadzieжды Krupskiej. Przyjaciół Gurina, Primakowa, Sokołowa i innych — rozstrzelano. Niektórzy leżą w lesie razem z polskimi oficerami — twierdzi Galina.

W charkowskim „Memoriale” działają dzieci i wnukowie znanych rewolucjonistów z Ukrainy. Dziadek małżeństwa Łabczyńskich (Nina Łabczyńska jest przewodniczącą „Memoriału” w Charkowie) był w Charkowie pierwszym przewodniczącym władz rewolucyjnych. W latach terroru został rozstrzelany. Potomkowie bohaterów rewolucji nie garną się do dużej polityki. Pragną wyjaśnić tylko kilka tragicznych momentów.

Przed rokiem Galina Gurina wraz z Christianem Rakowskim (wnuk działacza Kominternu, bułgarskiego rewolucjonisty, który zginął w latach terroru) spotkali się z naczelnikiem charkowskiego KGB, gen. Nikołajem Gibadułowem. Rozmawiali o polskich oficerach, o dowodach zebranych przez „Memoriał”, że zostali pogrzebani w *liesoparku*. Gibadułow sprzeciwił się rozkopywaniu mogił. Wydał jednak rozkaz, by wszcząć śledztwo.

W lipcu 1991 roku podwładny Gibadułowa, szef wydziału śledczego charkowskiego KGB, płk Murzin usunął Galinę Gurinę z terenu cmentarza, gdzie trwała ekshumacja. Ostrzegł ją przed udzielaniem wywiadów zagranicznym dziennikarzom. Dopiero dzięki interwencji prokuratora Śnieżki i płk. Trietieckiego z sowieckiej prokuratury wojskowej w Moskwie, Galina otrzymała przepustkę. Płk Murzin nie krył swego oburzenia: — Gdyby to od nas zależało, ciebie by tu nie było.

Mistyfikacja?

Z wilgotnej ziemi wydobyto wiele ludzkich kości. W wiecznym półmroku, zaciągniętym przez liściaste drzewa, wszystko co pozostało z ziemskiego bytu kilku osób rozrzucono na drewnianych stołach. Jaka może być większa kruchość istnienia? Te szczątki nie mają imion i nazwisk, narodowości i obywatelstwa. Wiadomo, że w latach trzydziestych NKWD zwoziło do *liesoparku* zwłoki zlikwidowanych „wrogów ludu”, podejrzanych o udział w trockistowskich spiskach, 800 nauczycieli języka ukraińskiego, ormiańskiego i chłopów oskarżonych o kułactwo. Okoliczni mieszkańcy przekonali się, że wystarczy tu wbić łopatę, a zaraz natrafia się na kości. Straszny las.

Wiadomości o pogrzebanych mogą przynieść rzeczy osobiste i fragmenty ubrania. Nożyczki, szczyroryk, szczoteczka do zębów, fragmenty rozpadającego się kalendarzyka i niszczejąca w oczach celuloidowa okładka jakiegoś dokumentu — nic nie mówią. Złota moneta wybita z okazji 50-lecia cesarza Franciszka Józefa, to już ślad. Taki medal krążył po Polsce. Nakrętka na mydło z napisem „Calodont” — to firma kosmetyczna znana przed wojną. Lusterko, coś z tkaniny, znowu nic. I kolejny guzik z orzelkiem w koronie.

Dr Erazm Baran, biegły z zakresu medycyny sądowej, ocenił, że szczątki nie leżały w tzw. porządku anatomicznym. Już je kiedyś wykopano i ponownie zakopano. Oficerowie KGB wyjaśnili: to skutki obstrzału artyleryjskiego w czasie wojny. Wszystko wtedy zostało naruszone.

W innym dole — porządek anatomiczny. Prof. Młodziejewskiego zastanawiają jednak czaszki leżące w pobliżu butów. Zsuwano ich z samochodów w nieładzie — domyśla się. Profesor spotkał się już w kraju z działalnością NKWD, ekshumował kilka zbiorowych mogił. Tu jest to samo — mówi. Jamy grobowe w postaci dołów, a w nich po kilka lub kilkanaście zwłok.

Po przemyciu wodą odnalezionych szczęk pokazują się złote koronki na wszystkich zębach. W Polsce dentyści nie praktykowali czegoś takiego — twierdzi ekspert. A buty u nas zelowano skórą, a nie gumą, jak te wyciągnięte z wykopu. To jasne — tu leżą obywatele sowieccy.

Nasi biegli zarzucają gospodarzom, że „wyrывают” kości, jakby chcieli zatrzeć ślady. Dr Baran tłumaczył konieczność stosowania metod archeologii. Aby ustalić sposób pochówku, czegoś się dowiedzieć o ostatnich chwilach. Sowieccy medycy są zaskoczeni uwagami. Po kilku dniach gen. Frołow, zastępca Naczelnego Prokuratora Wojskowego ZSSR, polecił swojej ekipie, aby wzorowała się na pracy polskich specjalistów i uczyła się.

W „polskim dole” należy przerwać roboty — zdecydował sowiecki epidemiolog. Służby sanitarne stwierdzą, czy nie ma tam niebezpiecznych zarazków.

Ściągnięto maszynę do kopania tranzei. W trakcie jej przejazdu wzdłuż płotu w dwóch miejscach posypały się kości. „Polski dół” okazał się pozbawiony zarazków. Eksperci wspomagani przez żołnierzy w czarnych kombinezonach wydobyli z niego obok ludzkich szczątków fajansowy garnuszek z napisem „Włocławek”.

Gospodarze zachowują się dziwnie, przechodzą różne stany. Wydaje się, że przystali na polską koncepcję prac i nagle zmieniają decyzje: maszyna do tranzei pojedzie w innym kierunku. Zrywają się do przodu, a później ktoś naciska hamulec — stwierdził prof. Młodziejewski. Jednego dnia gen. Frołow żegna się ze wszystkimi, wyjeżdża na Krym na krótki urlop. Następnego dnia znowu jest w lesie, ktoś pokrzyżował mu plany.

Kilka garści tzw. mobilu, to tylko ślad. A gdzie są masowe mogiły? Eksperci wyszli za ogrodzenie, oceniają teren. Są tam zapadliska i nierówności. Przedstawiciele „Memoriału” podpowiadają: — Tam kopcie. Propozycja wyjazdu maszyny do kopania tranzei poza cmentarz wyznaczony przez KGB spotyka się z twardym rosyjskim *niet*. — Tam jest sanatorium KGB, obszar zamknięty — mówi płk Trietiecki.

Po trzech dniach prac gen. Frołow dawał wręcz do zrozumienia: czas już kończyć. Jest polski ślad, czego dalej szukać? Praca maszyny do tranzei kosztuje dużo, a nikt nie pokryje przekroczonych funduszy na śledztwo.

Polski ślad się urwał — zdaniem ekspertów. Serie guzików z orzelkiem, stopy dwubolcowych klamer oficerskich, które znowu wydobyto — tylko wzmocniły wątpliwości. Płk Rodziewicz, z naczelnej prokuratury wojskowej ZSSR, kuzyn Marii Rodziewiczówny, występujący w charakterze tłumacza, patrzy na te „wykopaliska” i kręci głową. — Jakby ktoś to specjalnie parcelował — mówi z akcentem kresowego Polaka.

Minął tydzień prac *liesoparku*. Spenetrowano miejsca rozkopane już wcześniej. Eksperci mówią na to: pochówek wtórny. A podejrzenia nasuwają się same: groby zostały spreparowane. Nie znaleziono masowych mogił. Gdzie więc NKWD ukryło zwłoki jeńców ze Starobielska?

Zacieranie śladów

— Gdybym jeszcze widział na oczy, to pojechalibyśmy tam, gdzie zakopano polskich oficerów — powiedział 83-letni strażnik NKWD, Mitrofan Syromiatnikow, mieszkający obecnie w miasteczku pod Charkowem. — Leżą 150 metrów od biełgorodskiej

szosy, obok czarnej drogi. Czarną drogę wysypano żużlem, by nie buksowały koła samochodów.

Syromiatnikow pamięta, że pod koniec lat trzydziestych na tej parceli leśnej wzniesiono ogrodzenie. Oficjalnie budowano stację napowietrzną dla samolotów. A zrobiono — wyjaśnia — cmentarz.

Niewidomy strażnik chciał wiedzieć, czy przeszukujący pod charkowski las natrafili na gumowe buty, zwane przez niego *atoszki*. Ubierano w nie wszystkich zatrzymanych przez NKWD. Wtedy aresztowano za drobniaki. Na przykład — wspomina — ktoś nie wypełnił poleceń władzy sowieckiej, ukrył chleb zamiast przekazać państwu. I tysiące ludzi w *atoszkach* wrzucano do leśnych dołów. Ludzie sowieccy, Litwini, Węgrzy i Czesi — tam się znaleźli.

Mitrofan Syromiatnikow opowiadał w trakcie przesłuchania, w którym uczestniczył również prokurator Śniezko, że w *lieso-parku* zrobiono potężny wykop. Tyłem zjeżdżały tam samochody z ciałami polskich oficerów, które zrzucano i układano w trzech warstwach. Wcześniej przesyrywano białym proszkiem i ziemią.

NKWD, później KGB — według słów strażnika — nigdy nie zapomniało o cmentarzysku w podcharkowskim lesie. Z czasem w miejscu mogił osiadł grunt, widoczne były zagłębienia i nisze. Wyrównywano teren, dosypywano piasku, sadzono drzewa. Mimo tych zabiegów ziemia stale wydawała sama straszną tajemnicę: na wiosnę woda wypłukiwała ze skarpy parku ludzkie kości.

Za wszelką cenę postanowiono zniszczyć ślady zbrodni. W latach siedemdziesiątych, gdy po rozgrzebaniu grobów przez hieny cmentarne unosił się w okolicy nieprzyjemny zaduch — przyjechały samochody ze zbiornikami. Do wykopanych dołów — jak przypuszczają nasi eksperci — wstrzykiwano tęg potasowy i sodowy, aby doprowadzić do rozkładu substancji organicznych. W ziemi wytworzyła się maź utrudniająca teraz ekshumację.

Żołnierzy, którzy przy pomocy łopat przebijali się przez kleiste warstwy gruntu, ściągnięto z Dniepropietrowska. Tam odbywają służbę wojskową, daleko od swoich rodzinnych domów. W większości pochodzą z Azji, są Kazachami, Uzbekami i Tadżykami. Nie wiedzą dlaczego tu odkopują szczątki polskich oficerów, o tym im oficerowie nie mówili. Eksperci przekonali się, że mimo trudności językowych, z nimi dobrze układała się współpraca. Rozumieją co mają robić, są pomysłowi i pracowici — powiedział doc. Mądro. A prof. Młodziejowski nagroził banknotem jednodolarowym żołnierza, który znalazł zegarek z wygrawerowaną po polsku dedykacją: „za dyplom i

wytrwałość — matka”.

W jednym z wykopów inny żołnierz natrafił na rozlatujący się portfel. Ze zmurszałych przegródek wyjęto dowód nadania telegramu ze Starobielska. Odczytano nazwisko nadawcy: Czesław Solka, syn Stanisława. Obok zachował się skrawek listu napisanego do Stanisława Solki przez bliską mu kobietę. Odcyfrowano tylko dwa słowa: „Jestem niespokojna”. — Leżą tu na pewno — przekonuje jeden z ekspertów. Czy zdążą odnaleźć to miejsce?

Z „rosyjskiego dołu” prof. Młodziejowski wydobyl czaszkę „klasycznie przestrzeloną”. W otwór po kuli włożył cienką watkę. Mordercy znali swoje rzemiosło: strzelali z krótkiej broni w potylicę ofiary, a kula wypadła przez czoło. — Oni musieli być niżsi niż ofiary — charakteryzuje zabójców biegły.

Opinii nie potwierdził Mitrofan Syromiatnikow. Polskich oficerów zastrzelił osobiście — twierdzi strażnik — komendant więzienia wewnętrznego NKWD, Kuprij. — Wysoki, silny, *bol-szoi czelowiek* — tak go określił.

Ten strażnik zabijał

Na naradzie w centrali NKWD w marcu 1940 roku, prowadzonej przez zastępcę Berii — Kabułowa — nie mówiono jak wykonać egzekucję 14 tys. polskich oficerów. Centrala wydała rozkaz: rozprawić się z nimi w ciągu miesiąca.

Do Kalinina (obecnie Twer) przybył z Moskwy zawodowy zabójca, starszy major Błochin (zastrzelił się w 1953 roku). Charkowskie NKWD zlikwidowało w latach trzydziestych tysiące, jeśli nie setki tysięcy ludzi. Centrala doceniła zdobyte przy okazji doświadczenie, nie przysłała tu pomocników.

Polskich oficerów przywożono kolejną w grupach kilkudziesięcioosobowych na charkowski dworzec z odległego o 230 km Starobielska. Do siedziby NKWD przy ul. Dzierżyńskiego transportowano ich samochodami. Syromiatnikow przypomina sobie, że oficerowie wyniosłe i dość obcesowo odnosili się do żołnierzy z konwoju NKWD. Któryś skarżył się Syromiatnikowi, że jeden z oficerów w trakcie wysiadania z samochodu kopnął go w pierś. Przed umieszczeniem w celach jeńcom odbierano walizki i torby.

Syromiatnikow nie wie, ile dni w celach oczekiwali na egzekucję. Sam stale podkreśla, że w niczym nie uczestniczył. Jako starszyna kierował biurem przepustek.

W budynku odległym o 50 m od wewnętrznego więzienia w piwnicy rozstrzeliwano jeńców.

— To było utajnione zajęcie. Ściemniało się i zaczynała się

robota — wyjaśnia Mitrofan Syromiatnikow.

Oficerów wyprowadzano z cel ze skrępowanymi rękoma, taki obowiązywał przepis przy konwojowaniu więźniów. Czy wiedzieli, że to ostatnia ich droga?

Naczelnik charkowskiego KGB, gen. Nikołaj Gibadułow, pokazał polskiej ekipie fundamenty piwnicy, gdzie rozstrzelano. Zachowała się posadzka z kremowo-białej terakoty, z gwiazdami koloru szaro-czerwono-fioletowego. Gen. Gibadułow twierdził, że pomieszczenie było dźwiękochłonne, wyłożone drewnem. Huk wystrzałów nie wydostawał się na zewnątrz.

Mitrofan Syromiatnikow zaprzecza temu: — Piwnicę zbudowano z gołych cegieł, a na podłodze leżał beton. Ale odgłos wystrzałów nie przenikał z tego pomieszczenia, bo nie miało okien.

Więzienny ślusarz o nazwisku Smykała zmywał ślady krwi strumieniem wody z gumowego węża. W załadunku ciał na samochody uczestniczyło poza Smykałą pięć osób. Niewidomy strażnik wymienił ich nazwiska: Nikołaj Skorikow (do niedawna szwajcar w restauracji na ul. Sumskiej w Charkowie), Pieretiszew, Kajdałow, Wielik (umarł), Burda (także umarł).

Komendant Kuprij miał wielu podwładnych, oni mogli otrzymać rozkaz, by rozstrzelować.

O nie — sprzeciwia się Syromiatnikow. — Kuprij słuchał naczelnika wydziału charkowskiego NKWD Sachłanowa. Z Moskwy przyjechało dwóch innych naczelników, by sprawdzić, jak Kuprij daje sobie radę z egzekucjami polskich oficerów. Wiedział, że nikt inny temu nie podola, strzelał sam. To czysto bandycka robota — mówi Syromiatnikow.

Strażnik przypomina sobie, że istniała w NKWD instrukcja, jak zabijać jednym strzałem. Sowieccy prokuratorzy, prowadzący teraz śledztwo, nie natrafili na ślad takiej instrukcji w archiwach. Niewiarygodne wydaje się jednak twierdzenie, że Kuprij sam zamordował blisko 4 tys. jeńców, rozstrzelując około 100 oficerów każdej nocy. Przez miesiąc czasu. Musieli mu pomagać inni.

Prokurator Stefan Śnieżko, który przesłuchiwał Syromiatnikowa, jest przekonany, że on też rozstrzeliwał oficerów.

Odrapany, zaniedbany blok przy ul. Róży Luksemburg w podcharkowskim miasteczku. Stary, bezradny człowiek mieszka na parterze w jednopokojowym mieszkaniu. Żyje nędznie. W pokoju o zdeptanym parkiecie pod ścianą stoi kredens już kilka razy przemalowywany. Półmrok, trochę światła przepuszczają zrobione z ręczników zasłony. On siedzi na żelaznym łóżku. Opiekuje się nim starsza kobieta, od dwóch lat jego druga żona. Poznali się dzięki pośrednictwu czegoś w rodzaju biura matrymonialnego w Charkowie.

Syromiatnikow w rozmowie nie przypomina starca: rzeczowy, cyniczny i chytry. Umiejętnie zmienia temat niewygodnej dla siebie rozmowy, czujny przez cały czas, by czegoś niepotrzebnie nie wygadać.

— Kto komendanta Kuprija nauczył zabijać?

— Może chodził do księdza i on mu pokazał jak — odpowiada śmiejąc się.

— Centrala NKWD nagrodziła za zlikwidowanie polskich oficerów 143 funkcjonariuszy. Jedyńm dziś żyjącym z tej listy wyróżnionych jest pan.

— A gdzie jest ta nagroda? Poczekajcie, poczekajcie, ja jeszcze się za to zabiorę. Kto powiedział, że otrzymałem dużą nagrodę? Może 800 rubli? Gdzie ta lista? Nie dostałem tej nagrody.

Syromiatnikow — o czym sam wspomina — był mistrzem w strzelaniu z karabinu i nagana. Został nawet w NKWD starszym instruktorem, uczył strzelać.

Swój udział w akcji likwidacji polskich oficerów minimalizuje. Do niczego się nie przyznaje, stał z boku. W „rozpoznanu” uczestniczył tylko dziesięć dni. Zachorował na żółtaczkę i znalazł się w szpitalu. Wrócił do pracy po trzech miesiącach. Polscy jeńcy zniknęli bez śladu. To jego wersja.

Komendanta Kuprija, naczelnika Sachłanowa i Pokosowa, kadrowca z charkowskiego NKWD, postawiono przed sądem za spekulację i handel. Syromiatnikow w tym czasie przebywał na froncie. Enkawudzistów skazano na karę śmierci. Wkrótce zamieniono wyrok na 25 lat więzienia. Później wypuszczono ich na wolność, poszli na front — mówi strażnik. Po wojnie spotkał Kuprija w Charkowie, wybierał się do Połtawy, gdzie został dyrektorem mleczarni.

Mitrofan Syromiatnikow pracował do końca jego istnienia w NKWD, a później w KGB.

— W 1955 roku kopnęli mnie za bramę z KGB — mówi rozgorączkowany. — na odchodne wręczyli 50 rubli.

— Czy nie żał panu tych polskich oficerów?

— Wszystkich żał. Czasami przychodziła taka niezrozumiała praca, żeby rozstrzeliwać. Nie wiedzieliśmy, czy oni winni czy nie. Myśleliśmy, że nie powinniśmy rozstrzeliwać. Takie rozmowy wtedy prowadziliśmy.

Ślad pewnej armii

W wykopie 22, tuż przy krawędzi czarnej drogi, której podłoże zbudowane zostało z ceglanego gruzu, prof. Młodziejowski odkrył szczątki trzech osób, polskich wojskowych.

Mogily wcześniej nie przekopywano. — Tak leżeli, jak ich wrzucono 51 lat temu — stwierdził biegły. Po rozkopaniu boków wykopu — kolejne ofiary. Pierwszy grób masowy.

Na początku sierpnia są już dowody, że podcharkowski las był ostatnim etapem dla jeńców ze Starobielska.

Azjatyccy żołnierze odsiewając ziemię z wykopu 22 zebrali dziesiątki łusek karabinowych i pistoletowych. Na kościach zauważono ślady po kulach, znaleziono kilka par podziurawionych butów. A czaszki — czyste, bez „typowych” urazów. Niektóre uszkodzone jakby po strzałach oddanych z pistoletu podłożonego pod brodę. Oni padli nad mogiłą — ustala ekspert. Przypuszcza, że oficerowie rzucili się na strażników, a ci strzelali na oślep.

Las zamienił się w niesamowite laboratorium. Na stołach zaległy dziesiątki czaszek. Na brezentach rozciągniętych na polanach — stopy kości, zmurszałych, wojskowych butów, szczątki mundurów, sprzączki do pasów, gromady guzików z orzełkiem. Ślad pewnej armii, która nie wróciła do domu.

Nad wszystkim pochylają się eksperci sowieccy i polscy, w białych fartuchach i gumowych rękawicach. To profesjonaliści: beznamiętni, opanowani, małomówni. W oparciu o „eksponaty” niekiedy odtwarzają moment śmierci ofiary i zachowanie kata. Trzy strzały uderzyły w czaszkę — wyjaśnia doc. Mądro. Pierwszy kula chybiła, trafiła w usta. Ten enkawudzista nie był Robin Hoodem — zaznacza docent. Poprawił — pocisk wyszedł przez kość ciemieniową. Strzelił po raz trzeci i dobił.

Doc. Mądro między ofiarami znalazł rozpadającą się portmonetkę. Ze skrawków skóry wysunął się biały słonik. — Miał przynieść szczęście — powiedział cicho.

Lakoniczny język biegłych może razić. O ofiarach mówią „oni”. „On otrzymał postrzał, to go pozbawiło życia, należy przemyć jego kości”. Brak szacunku i obyczaj zawodowy? Raczej nie. Drażniące „oni” pomaga opanować emocje.

— Gdzie położyć tych biedaków? — zastanawia się prof. Młodziejowski. Na stołach brakuje miejsc dla kolejnych czaszek.

Wymowność odkryć w *liesoparku* udaremniła wysiłki KGB. — Nie mogą już uderzyć się w piersi i powiedzieć do widzenia — wyjaśnia ktoś sytuację spadkobierców NKWD.

Nawet pomnik wystawiony na cześć pomordowanych obraca się przeciwko KGB. Deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy, Genrych Autunian, pyta płk. Murzina (jego żona, miłośniczka polskiej poezji, wybrała fragment wiersza Asnyka umieszczony na płycie) co znaczy na postumencie napis „niewinnie zabitym mieszkańcom”? Chodzi o ludzi, którzy utonęli w powodzi lub zginęli w katastrofie kolejowej? Zamordowano polskich oficerów i obywateli sowieckich, zrobiło to NKWD —

gdzie ta informacja? KGB musi to napisać na pomniku! Jeśli nie, tablicę wykona „Memorial” — ostrzega deputowany. Płk Murzin, naczelnik wydziału śledczego KGB, w milczeniu przyjął cierpkie uwagi. Skinął głową, odszedł na bok.

Płk Murzin dobrze zna deputowanego. Przed laty kilka razy aresztował Autuniana za działalność opozycyjną. Dysydent, współpracownik Andrieja Sacharowa, przesiedział w łagrach i więzieniach dziesięć lat. Obecnie zajmuje się polityką. W KGB — ocenia — zaszły powierzchowne zmiany. Płk Murzin postawił pomnik pomordowanym, ale nic nie przewartościował w sobie. Działa na rozkaz — wyjaśnia deputowany. Uśmiecha się, bo mu kazano, a jutro będzie groźny.

Prokurator Śnieżko gra z śledczymi władzami sowieckimi — tak się mówi. Na ogół z dobrym skutkiem. Przekonuje, dyskutuje, jest cierpliwy i uparty. Właściwie gospodarze nie zgodzili się tylko na wyjście poza cmentarz wyznaczony przez KGB. Zażegnał konflikty i spory. Prace trwają już trzeci tydzień — to zasługa prokuratora, twierdzą eksperci.

Sam prokurator Śnieżko nie uważa, że prowadzi grę z gospodarzami. Podchody, tak — przyznaje. Wynikają z normalnej rezerwy. Przecież wyjaśnia się zbrodnię dokonaną przez władze sowieckie. Oni obawiają się, jak odkrycia w charkowskim lesie zostaną wykorzystane.

Biegli robią tysiące notatek. Drobne fakty też są ważne — gdzie leżała kość, jak była usytuowana, ile ma centymetrów. Ustalenie szczegółów pozwala na odtworzenie przebiegu ofiar, ich ostatnich chwil. Śledztwo narzuca dyscyplinę, niczego nie wolno pominąć. Zarejestrować jednak wszystkiego nie sposób, bo las zamienił się w gigantyczną kostnicę.

Sowieccy eksperci kopią „własny” dół. Prof. Młodziejowski pertraktował z nimi. Obywatele sowieccy zostali tu pomordowani. To ważne. Śledztwo dotyczy jednak oficerów polskich. Pomóżcie nam w opisach — prosi. Biegli gospodarzy przeszli do „polskich” stanowisk.

Doc. Mądro szkicuje na brystolu: czaszka, wloty i wyloty kul. Dziesiątki rysunków. Dokumentacja uśmiercania ludzi przechowywana jest w namiotach. Pewnego ranka okazuje się, że ktoś nie wytrzymał: rozerwał teczkę, rozsypał szkice. Czy to był żołnierz z nocnej warty, czy ktoś dał znać, że mimo wszystko sprawuje nadzór?

Znaleziono czaszkę, której nie przebiła kula, utknęła w twardej kości. Dobry motyw na charkowski pomnik.

Kolejna zagadka — wśród szczątków oficerów wydobyto damski obcas. Prof. Młodziejowski wyciąga kości kobiety, w chwili śmierci liczyła trzydzieści lat. Kim była, co robiła wśród jeńców? Mitrofan Syromiatnikow prowadził ją osobiście na

egzekucję — tak zeznał prokuratorowi Śnieźce. Gdy zdejmowano z niej palto (płaszczami owijano głowy ofiar, aby wsiąkała w nie krew), wypadł z kieszeni złoty pierścionek. Strażnik odniósł kosztowność do administracji. Tak twierdzi.

Kilka dni później znaleziono szczątki innej kobiety.

Straszny las

Niektórzy eksperci poszukują również bliskich. Prof. Andrzej Nadolski (historyk) i prokurator płk Andrzej Komarski stracili ojców, więzionych w Starobielsku. Prof. Bronisław Młodziejowski — stryja. Płk Komarski pojechał na jeden dzień do Starobielska. Na stacji kolejowej odnalazł starą, zarosniętą trawą bocznicę. Długo w milczeniu patrzył na odchodzące tory: stąd ojciec wyruszył w ostatnią podróż.

Pół wieku przebywania w ziemi zaciera ślady, niszczy zapisany papier. Wielu oficerów zrewidowano przed śmiercią, pozabawiono rzeczy osobistych. Teraz dało się ustalić nieliczne personalia, głównie dzięki odnalezieniu tzw. nieśmiertelników (metalowy krążek z wrytym imieniem i nazwiskiem). Poza Czesławem Jakubem Solką, są to: Wilhelm Kazimierz Matuszek, Stefan Kluska, Karol Świątek, Stanisław Plewa (dane odczytane z pokwitowania zabrania polskich pieniędzy w obozie starobielskim), Tadeusz J. Ramza i Stanisław Maszewski.

Straszny las wydawał tajemnicę do końca. Dół piąty, o głębokości ponad dwumetrowej, stale przynosił nowe szczątki. Żołnierze rozkopali boki — ślady ofiar. Wykop 39, pełen kości, zasypano. Pojawiła się tam woda i zaczął ulatniać się gaz. Na stanowisku 22 prof. Młodziejowski ściągnął gumowe rękawice i gołymi dłońmi wygrzebywał dalej szczątki. Byłoby szybciej — powiedział. Kilka sondażowych dołów potwierdziło, co dla wszystkich stało się już jasne: ходzimy po polskich kościach.

Śledztwu przyglądało się wiele osób w mundurach KGB, wojskowych, w drelichach polowych i panterkach. Polskiej ekipie przedstawiono część grupy umundurowanej, a inni pozostawali w cieniu. Biegli mówili na tych ostatnich — wywiadowcy. Prace dość licznie obserwowali również cywile: bez kłopotu dostawali się na teren cmentarza, mimo kontroli przy wejściu. Zachowywali anonimowość.

Sowieccy prokuratorzy wojskowi nie ukrywali zaszokowania zbrodnią. Wiedzieli wprawdzie z dokumentów, jak wielu jeńców stracono w 1940 roku. Zatrząsały jednak szczegóły układające się w przemyślaną technologię odbierania życia: wyprowadzanie ofiar do piwnicy, strzelanie w wyznaczony punkt na głowie, usuwanie zwłok omotanych w płaszcze, przesypanie białym

proszkiem przed zakopaniem i tuszowanie śladów przez pół wieku. Bezlitosne działanie z precyzją maszyny — powiedział jeden z nich.

Płk Trietiecki, człowiek do specjalnych poruczeń, wysyłany tam, gdzie źle się dzieje (był w Afganistanie i w Górnym Karabachu) czytał ewangelię w mszach świętych odprawianych w *liesoparku*. Płk Szumiejko ze sztabu generalnego Armii Sowieckiej powtarzał kilkakrotnie, starając się ogarnąć, co się stało, że jedynym lekarstwem są nauki Chrystusa. One wskazują jak żyć — podkreślał pułkownik.

Naczelnik centralnego archiwum KGB z Moskwy, płk Skobielew, przyglądał się w milczeniu śledztwu w charkowskim lesie. Mały, w średnim wieku, lekko łysawy, ze skłonnościami do tycia. Przebywał w *liesoparku incognito*. Przed samym końcem prac odezwał się. Obsztorcował na głos, tak aby słyszeli wszyscy, sowieckich prokuratorów wojskowych. Wytknął im, że „sprzedali się Polakom, przeszli na ich stronę i pozwolili odkryć wszystko”. Pułkowników oburzył atak, postanowili złożyć raporty o zajściu swym przełożonym. Ponowny przyjazd gen. Frołowa, zastępcy naczelnego prokuratora wojskowego ZSSR, rozładował sytuację. Obserwator z centrali KGB zniknął.

Polscy i sowieccy biegli odnaleźli szczątki 167 osób, bez wątplenia naszych oficerów. Na 59 czaszkach stwierdzili ślady kul. Mistrzowskie strzały — powiedział doc. Mądro — polegały na trafieniu w otwór potyliczny wielki. Mniej mistrzowskie — prawdopodobnie uszkodziły kręgosłup szyjny. Na kilku żebrach, kościach pierszelowych i biodrowych odkryto uszkodzenia po pociskach.

Protokół śledztwa przeprowadzonego w podcharkowskim lesie został podpisany przez stronę polską i sowiecką w siedzibie KGB przy ul. Dzierżyńskiego. Niezbyt fortunnie wybrano to miejsce: w tym samym trzyskrzydłowym gmachu 51 lat temu NKWD „rozprawiło” się z polskimi oficerami. A dziś na frontonie tego budynku, pod tablicą z płaskorzeźbą przedstawiającą oblicze Feliksa Dzierżyńskiego, zawsze leżą świeże kwiaty.

10 sierpnia 1991 roku kilka drewnianych skrzyń z odnalezionymi szczątkami polskich oficerów zakopano w dole piątym, gdzie wcześniej prowadzono poszukiwania. Odbył się uroczysty pogrzeb. W trakcie mszy świętej zerwała się wichura i zaczął padać sążnisty deszcz. W momencie podniesienia na głowę gen. Nikołaja Gibadułowa, szefa charkowskiego KGB, spadła gałąź. Pod generałem ugięły się nogi.

— A mówili, że Boga nie ma — szepnęła pewna Ukrainka.

Jerzy MORAWSKI

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek przekazanych w sierpniu br. Dziękujemy:

POWIERNIKOM FUNDUSZU b. TOWARZYSTWA KURSÓW NAUKOWYCH za — 812 USD
Spółce ALFABET-O za — 11.000.000 zł.
Dyrekcji SZKOŁY PODSTAWOWEJ w DOBIESZYNIE k/JEDLICZA za — 170.000 zł.
Fundacji NOWEJ za 19.024 egz. książek i pism
Wydawnictwu PRZEDŚWIT za 6.500 egz. książek
Spółce EDITIONS SPOTKANIA za 6.489 egz. pism
DOMOWI KSIĘGARSKIEMU Stowarzyszenia Wolnego Słowa za 866 egz. książek i pism
IDEE (Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej) za 2.000 egz. książek
Wydawnictwu CZASOPISMA WOJSKOWE za 311 egz. książek.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo ideę FUNDACJI, podajemy numer naszego konta:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM
PBK III/Oddział w Warszawie
nr konta: 370015-975148-132-3

Fundacja zamieszcza potwierdzenia otrzymanych darów rzeczowych lub wpłat na konto raz w miesiącu, na łamach paryskiej *Kultury*.

UWAGA: Podajemy NOWY adres i numer telefonu:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM,
ul. Marszałkowska 74,
00-524 Warszawa,
tel. 21 70 75

Archiwum polityczne**Odwrócona klepsydra**

Sawlanut. Od tego się zaczyna, to powinno być pierwsze słowo w podręcznym słowniczku dla *olim*. *Olim hadaszim* to są nowi imigranci. *Sawlanut* znaczy cierpliwość.

Przyjechali ich z Rosji w ciągu ostatnich dwóch lat blisko 300.000. Połowa z nich ma wykształcenie akademickie.

Są wszędzie, jakby żyli na ulicach. Tel Awiwu, Nazaretu, Jerozolimy, Hajfy. Spotkałam chirurga, który wywozi śmieci. Spotkałam naukowca grającego na skrzypcach amerykańskie szlagiery. Spotkałam inżyniera proszącego o jałmużnę. Spotkałam dziewczęta malujące na bazarze ikony i prostytutki się nocami. Spotkałam takich, którzy chcą całować tę ziemię za to, że ich przyjęła i takich, którzy marzą o kolejnej ucieczce. Przeczytałam w gazecie o mężczyźnie, który zabił swoją żonę za to, że nie chciała wracać do Rosji. Sam wyskoczył przez okno.

Izrael jest historyczną ojczyzną wszystkich Żydów na świecie. To jest zapisane w deklaracji niepodległości tego kraju z 15 maja 1948. Z tego względu każdy Żyd, który się chce tu osiedlić, jest z punktu widzenia państwa rodakiem powracającym do ojczyzny. Nie imigrantem. Każdy Żyd na świecie jest potencjalnym obywatelem państwa Izrael. Nie ma możliwości ograniczenia praw obywatela do powrotu do własnego kraju. Ilu by ich nie było, Izrael ich przyjmie. Odmowa byłaby bankrutem całej ideologii. A jasne jest, że przy tym ustroju gospodarczym i finansowym nie ma możliwości zapewnienia im wszystkim pracy i utrzymania. — Wyobraź sobie, to jest jakby do Polski przyjechało nagle 3 miliony ludzi.

— Oni nie są ani imigrantami ani syjonistami — powie ktoś inny. — To są uciekinierzy. Pojechaliby wszędzie, byle by się wyrwać z Rosji. Uciekają z nieznanego w nieznanie. Rosjanie mówią — wyście nam przywieźli komunizm, a teraz uciekacie jak szczury z tonącego okrętu. Co by tam nie było, zawsze

będzie na Żyda.

— Moja historia była inna — powie Efraim Bauch, pisarz od czternastu lat żyjący w Izraelu. — Mnie nikt nie wyganiał. Gdybym był silniejszy, gdybym się nie dusił, mógłbym tam zostać. Ci, którzy teraz tu biegają, wówczas patrzyli na mnie jak na idiotę. Dlaczego? Dokąd? Po co? Ja czułem, że będzie źle. A teraz mi piszą z Rosji — miałeś rację.

Oni już dłużej tam nie mogą wytrzymać, oni się boją. To jest stan, kiedy wielkie imperium zaczyna się rozpadać. Stan przed eksplozją. To jeszcze nie jest trzęsienie ziemi, jeszcze nie walą się mury, ale już się czuje rozpad na każdym kroku. To jest jeszcze gorsze, bo ty nie wiesz skąd i kiedy coś spadnie ci na głowę.

500 rubli płaci się teraz w Moskwie za żydowskie papiery. Zabawne — mówi żona P. — pamiętam czasy, kiedy płacono podobną sumę za aryjskie.

— Zapelniamy Izrael nie-Żydami — skarży się rabin Icchak Perec, minister od spraw imigracji. Z przybyłych w ubiegłym roku 186.000 imigrantów jedna trzecia to nie-Żydzi. Władze ZSSR są pewne, iż jeśli zostaną wprowadzone ograniczenia w tej sprawie, emigracja szybko ustanie. Oglądanie każdego nowego emigranta pod mikroskopem nie zachęci innych do przyjazdu. Tymczasem członkowie ortodoksyjnej społeczności żydowskiej w Izraelu są pełni obaw. Minister spraw wewnętrznych, Arie Deri, słusznie zauważa, że wielu imigrantów po prostu ucieka od nędzy w ZSSR na koszt Izraela. Kraj wydaje ponad 30.000 dolarów na zapewnienie każdemu odpowiednich warunków życia.

Przy Bramie Jafskiej Rosjanin z Kurska sprzedaje czołgi (zabawki) i jeden szczyryk. Są też malowane czarno-czerwono-złote garnki. Jest wszystko, co nadaje się jeszcze do wyprzedania. Rosjanin z Kurska nie lubi Żydów, aż się coś w nim gotuje na ich widok. Ale gotów był zrobić wszystko, żeby opuścić Rosję, bo jeszcze bardziej niż Żydów nienawidził komunistów. Teraz prosi, żeby mu pomóc wydostać się z Izraela. Jest tu z żoną i z synem już 15 miesięcy. Syn ma 14 lat, ale nie uczy się hebrajskiego, bo co on potem zrobi z tym bezużytecznym językiem. Kilku turystów ogląda garnki, Arab kupuje szczyryk za 10 szekli. Rosjanin z Kurska chciałby, żeby jego syn miał karabin i żeby się nim posłużył.

Alija to znaczy imigracja. To słowo ma wydzźwięk religijny, to znaczy — wznoszenie się. Żyd religijny uważa, że przybycie do Ziemi Świętej podnosi go na jakiś wyższy poziom etyczny. Do Jerozolimy nie jedzie się lecz wznosi. (Co jest topograficznie prawdziwe, gdyż Jerozolima leży na wysokości Zakopanego).

Ale 72% nowych imigrantów sowieckich uważa się za niewierzących. Nie kryją, że nie przyjechali tu z powodów religijnych.

Zdarzają się przypadki gorliwego praktykowania nowej wiary, kolejki w szpitalach do obrzezania i stawianie tysięcy par małżeńskich raz jeszcze na ślubnym kobiercu pod baldachimem. Nie zmienia to jednak ogólnego obrazu. Wielu nie-Żydów deklaruje w dokumentach swoje żydowskie pochodzenie, by nie pozwolić się zepchnąć na margines tutejszego życia. Ponadto obawiają się, że rząd mógłby znieść dla nich zapomogi. Propozycja rabina Abrahama Szapiro, by dokładniej sprawdzać dokumenty jeszcze w Moskwie, nie spotkała się z przychylnym przyjęciem.

Publiczny sondaż telefoniczny przeprowadzony tuż przed dniem niepodległości wykazał wyraźnie, że większość Izraelczyków (63%) sprzeciwia się obniżeniu swojej stopy życiowej na rzecz absorpcji *aliji*. Organizują kiermasze i targi, gdzie nowi *olim* mogą kupić ubrania i rzeczy codziennego użytku za pół ceny (para pantofli — 2 szekle, podkoszulka — 1 szekel, spodnie — 3 szekle, radio — 10 szekli). Rosyjskie książki leżą dosłownie na ulicach. Sama znalazłam w parku „Wojnę i pokój”, wiersze Jesienina i kurs wyższej matematyki.

W komunikatach pocieszają, że przyczyną większości samobójstw *olim* nie są trudności adaptacyjne, ale choroby psychiczne przywiezione z ojczyzny.

Właściciel obskurnego hoteliku w Ejłacie zazdrości nowym *olim*. Mogą kupować taniej różne rzeczy, na przykład samochody. Różnica wynosi kilka tysięcy szekli. Mają ulgi podatkowe. Sam marzy o pubie, którego nigdy się nie dorobi. Teraz już na pewno nie, przez *olim*.

„Dla pożytych i odinokich Pensjon Druzba w centrie Tel Awiwa. Pożirwanje, 4-razowoje pitanje, tieploje odnoszenje, zabota i ujut. Pozwonitie nam i wam staniet lekcze”.

— Izrael nie zdaje sobie sprawy, jakie bogactwo do nas przyjeżdża — mówi pisarz Mordechaj Canin. Wykształcenie jednego lekarza kosztuje majątek, a tu przyjeżdżają tysiące gotowych lekarzy, tysiące inżynierów. Mają wiedzę doskonałą. To trzeba przyjąć jakby bogactwo spadło z nieba, jak biblijna manna. To państwo bez *aliji* nie może istnieć. Wszędzie będą pogromy i Żydzi uciekną do nas, tutaj, ale to trzeba przygotować. Przygotować domy, fabryki, wszystko. Tego się nie zrobiło. To co się z tymi ludźmi stanie? Oni zamiatają ulice. Czy po to przyjeżdża inteligencja, żeby zamiatać ulice?

K.F. jest innego zdania. — Oficjalnie się cieszymy, ale nieoficjalnie trzeba przyznać, że to jest klęska. Każdy, kto pada się za Żyda, jest przyjmowany. Kraj ekonomicznie trzeszczy w szwach. Z punktu widzenia tego kraju należałoby powiedzieć — bierzemy tylko młodych i silnych, tyle i tyle z każdego zawodu. Nie ma co robić z taką masą lekarzy i starców.

Wśród *olim* jest około 2.000 inżynierów, 10.000 lekarzy i muzyków, blisko 10.000 pielęgniarek. Jedna z nich podobno znalazła ostatnio zajęcie przy słoniach na safari (!). Izrael nie wie co z nimi zrobić. Na ogół zmywają talerze w restauracjach lub są bezrobotni.

Pomoc finansową zredukowano z 22.000 szekli w ubiegłym roku do mniej niż 14.000. Zdaniem ministerstwa skarbu wystarczy to na utrzymanie trzyosobowej rodziny i zapłacenie mieszkania w ciągu jednego roku.

W kwietniu prasa opublikowała zdjęcie grupy nowych *olim* z ZSSR, którzy w piątek po południu przychodzą na opuszczony już szuk Karmel w Tel Awiwie w poszukiwaniu jedzenia. Nie jest to odosobniony przypadek. Od kilku miesięcy dwóch nowych *olim*, 51-letni inżynier Władysław H. i 36-letni technik kolejowy Igor L., mieszkają na ulicy w zaułkach szuku Karmel. Żywią się głównie odpadkami mięsa i owoców. Opowiadają, że każdego piątku po południu gromadzi się na szuku kilkudziesięciu *olim*, którzy szukają pożywienia dla siebie i swoich rodzin.

— Dostaję 444 szekli miesięcznie. Mam żonę i dzieci, jak można z tego żyć? Moja rodzina nie chciała przyjechać do Izraela, zgodziła się ponieważ wiedziała, że było to moim marzeniem. W moim wieku nikt już nie chce przyjąć mnie do jakiegokolwiek pracy.

— W ciągu najbliższych pięciu lat będzie trzeba przygotować 700.000 nowych stanowisk pracy. Ci wszyscy, którzy podają inne dane, po prostu nie orientują się jaka jest naprawdę sytuacja — oświadczył przewodniczący Wydziału *Aliji* w Agencji Żydowskiej, Uri Gordon. Dane te są również dla nas zaskakujące — stwierdził. Ze zdziwieniem przyjęliśmy fakt, że prawie wszyscy *olim* z ZSSR, w tym również ludzie stosunkowo starsi, żądają aktywnego włączenia się do izraelskiego rynku pracy. Początkowo wszystkie plany oparte były na założeniu, że tylko 40% spośród przybyłych zechce podjąć stałą pracę. Okazuje się jednak, że ten procent wynosi 70. Wiąże się to nie tylko z trudną sytuacją nowoprzybyłych i ich potrzebą zarobkowania, ale także z określoną mentalnością, według której praca jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem każdego zdrowego człowieka.

Doktor Czirkina ma 62 lata. Jest w kraju od 10 miesięcy i bezskutecznie ubiega się o przyznanie mu prawa do uprawiania zawodu lekarza w Izraelu. W ZSSR pracował 38 lat, posiada dyplom z wyróżnieniem jako lekarz od spraw higieny i sanitariatu. Przyjechał z żoną Małką — dentystką, córką Raję-Rachel — studentką medycyny i wnukiem. Mieszkają w ubogiej dzielnicy Beer Szewy w mieszkaniu, za które płacą 430 dolarów miesięcznie. Jakiś czas temu za podobny lokal brano 100 dolarów. Za dwa miesiące znajdzie się bez dachu nad głową. Żadnych perspektyw na pracę. Doktor Czirkina jest bardzo zmęczony. Mówi, że gdyby wiedział, jak wygląda sytuacja w Izraelu, nigdy nie pomyślałby o *aliji*.

— Ku swemu ubolewaniu przyjechałem do kraju faszystowskiego, wybac mi to określenie, powie. Przedstawiciele Izraela kłamią. Propagują fałszywy obraz tego kraju. Nie twierdzą, że Żydom w Związku Sowieckim jest lekko, ale tam przynajmniej odnoszono się do mnie jak do człowieka. Umiano ocenić moje kwalifikacje. Cieszyłem się szacunkiem. Żyłem skromnie, ale miałem samochód i dom i nie musiałem się bać, że zostaną wyrzuceni na bruk.

Od dnia, w którym tu przyjechałem, moje życie nie było życiem. Wstydzę się powiedzieć, ale ja i moja rodzina jesteśmy po prostu głodni. Nie mamy co jeść. Ministerstwo Zdrowia jednym machnięciem pióra przekreśla całą moją wiedzę. I mówię prosto w oczy: nic nie jesteś wart.

Przypuśćmy, że popełnię samobójstwo — pyta z całą powagą Meira Łopatyńskiego, odpowiedzialnego za absorpcję w Radzie Robotniczej Beer Szewy. — Czy moja żona i rodzina będą mogły otrzymać pieniądze z towarzystwa ubezpieczeń?

„Reklamownomou agentstwu Bingo trebujetsia krasivyje fotogenicnyje dziewczuszki dla reklam produktow”.

„Nowyj repatriant, my priglaszajem was zajti w bank. Eto nie tolko bank, eto drug”.

— Wyjechaliśmy, żebyśmy ciągle nie musieli słuchać, że to my jesteśmy wszystkiemu winni — mówią dwaj czterdziestoletni inżynierowie, z którymi stoję na przystanku autobusowym w Jerozolimie. Życzymy szczęścia Rosji, wszystkiego najlepszego, ale bez nas. Jesteśmy tu dwa i pół miesiąca, na razie uczymy się języka. Z pomocy państwa można tu żyć tak, jak żyliśmy w Związku. Ale jeśli żyć tylko tak, to nie było sensu wyjeżdżać. Gorzej niż w Rosji nigdy i nigdzie na świecie się nie czuli. Wiedzą, że potrzebny jest czas. I cierpliwość. *Sawlanut*.

Asia Trek, inżynier, przyjechała do Natanii z Witebska.

Najpierw jako turystka jesienią 1989 roku. Miała wówczas 55 lat i wydawało się jej, że dotarła do Ziemi Obiecanej. Wróciła jak tylko mogła najszybciej. Po roku wylądowała na lotnisku Ben Gurion ze swoją starą matką. — Jestem realistką — powie. — Tu nie ma szans, nie ma nadziei. Po prostu jest już za dużo *olim*.

Statystyki mówią, że wśród połowy nowych rodzin *olim* chociaż jedna osoba znalazła pracę. Milczą jednak o tym, jak śmiesznie są opłacani. — Mogę robić wszystko co możliwe i co niemożliwe — mówi Asia, która wstaje codziennie o piątej rano, żeby jechać za miasto sprzątać. Najpierw zarabiała 6 szekli za godzinę w Natanii. Teraz woli spędzać dwie godziny dziennie w drodze, po to, by zarobić 8 szekli za godzinę w Herzlii. Po sprzątnięciu dwóch pięciopokojowych willi w ciągu dnia wraca do domu z 80 szeklami. Wedle tego, co mówią tutejsze sprzątaczkki, stawka wynosi 15 szekli za godzinę w Natanii. Tak jak wszędzie, *olim* dostają jedynie 60% obowiązującej sumy.

— Z hebrajskim jest trudno, bez hebrajskiego niemożliwe znalezienie pracy — mówi Jana Lewinson, inżynier elektronik z Leningradu. Trzy razy w tygodniu jeździ z Beer Szewy na przedmieścia, żeby pakować żywność w sklepie spożywczym, zanim rozpocznie swoje codzienne zajęcia jako sprzątaczkka. Jest 10 miesięcy w kraju, ma 30 lat i nadzieję, że w końcu znajdzie pracę w swoim zawodzie. Wielu nowych *olim* jeździ tym samym pierwszym dziennym autobusem.

Genadi Bezubow przyjechał z Kijowa pół roku temu. Jest poetą i wie, że nigdy nie będzie pisał wierszy po hebrajsku. — Bo gdy opuszczasz kraj i jedziesz do innego kraju, zostawiasz za sobą grób i język. W jego mieszkaniu w Jerozolimie panuje ów charakterystyczny zapach nie stąd, zapach przywiezionych rzeczy. Milczenie jest jego czasowym językiem.

Efraim Bauch również nie pisze wierszy, choć oswoił już tę ziemię i nawet oswoił do prozy życia biblijny język. Ale rozumie, że to jest trudne. Już to, że trzeba nagle pisać z prawa na lewo, kiedy się dotąd pisało z lewa na prawo.

Efraim Bauch ma ciągle poczucie pęknięcia życia na dwie połowy.

— Pisarstwo człowieka, który czterdzieści lat spędził w Rosji, na tamtej pustyni, nie może być w pełni izraelskie. Minione lata ciąży mi na plecach jak bagaż. Nie da się zaprzeczyć, że to część mojego życia, duchowego także. To mnie ukształtowało. Nie tylko jako pisarza. Jako człowieka. Porównałbym to z zegarem piaskowym. Z klepsydrą. Piasek zaczyna się nagle przesypywać w drugą stronę. Odwrócona klepsydra. Odwrócony los.

Aloszę spotykam nad Morzem Czerwonym. Jest tu od dziecka, ale i dla niego czas przesypuje się w odwrotnym kierunku. Pracuje przy zbiorze daktyli albo bananów, czasem przy szlifowaniu diamentów albo jako szofer. Miesiąc pracy i miesiąc życia. Z dzieciństwa pamięta śnieg. Potem nigdy go już nie widział. W Leningradzie ojciec brał go na... Nie może sobie przypomnieć słowa — sanki — ani po rosyjsku, ani po hebrajsku... takie drewniane, suną po śniegu, który jest mokry i biały. Czy istnieje po hebrajsku słowo — sanki? On go nie zna. To nie jest jedyny powód, dla którego trudno mu znaleźć sobie miejsce w tym kraju.

— Jestem Żydem, to znaczy mam coś inaczej w spodniach i jeszcze ślady religii obcej dla nie-Żydów i obcy im nieustanny niepokój.

Oglądamy razem podwodny wszechświat ejlackiego morza. Bajecznie kolorowy. A potem Alosza musi już iść, bo nie może poradzić sobie z niepokojem. Chce być sam na plaży, palić haszysz, nie myśleć przez chwilę. O niczym. Ani o swoim losie. Ani o Rosji. Ani o narodzie wybranym. Ani o tym, czego nie osiągnął i czym się jeszcze nie stał. Ani o tym, że być może nigdy nie będzie gotowy.

W szlifierni diamentów na północy kraju młody człowiek, były pracownik KGB, uczy się nowego fachu.

Na piasku negewskiej pustyni obok zawoalowanych kobiet arabskich siedzą Rosjanki wyprzedając własne zapasy bielizny z moskiewskiego GUM-u. Beduini na stoiskach z taną odzieżą podają ceny po rosyjsku.

Na ejlackiej plaży Leonid z Moskwy spaceruje ze swoją prawnuczką, która nic nie wie o zimnym kraju, do którego cni się starem. — *No, przywykniesz.*

W Jerozolimie na ulicy „Miasteczko Bełz” i *Jidisze mame* przeplata się z „Katuszą” i „Oczy czornyje”.

Jest taki dowcip w Izraelu: jaki język jest teraz drugim językiem w tym kraju? Odpowiedź brzmi: hebrajski.

„Dla nowopribywłych i starożytnych znakomstwa s sierioznymi celami dla odinokich i razwiedionnych z diet'mi a także dla pozytych, zapis i konsultacja bezpłatno. Osobiennoje ustowja dla żelajuszczich poznakomitsia z jewiejami prożiwajuszczimi za granicje. Telefon...”

Trebujetsia rabocziye, kotoryje zaintieriesowannyje dietat rumynskije publiczki. Jesli wy zainteriosowanny, pozwonitie”.

Ała przyjechała tu z Moskwy z małym synkiem.

— Powiem otwarcie, wyjechałam z Moskwy z powodu

braku perspektyw, mieszkania, pieniędzy. Nie z powodu antysemityzmu. Ale tak z ręką na sercu muszę przyznać, że tam czułam się bardziej człowiekiem, niż tutaj. To jest gorsze niż emigracja. Jeśli decydujesz się na emigrację, wiesz na co się decydujesz, jesteś chociaż przygotowany. Izraelska propaganda w rosyjskim radio była inna. Owszem, mówili, że jest ciężko, nie od razu będziecie mieli wszystko, *sawlanut*. Ale dodawali — tu na was czekają, tu was lubią. A jak ja przyjechałam i zobaczyłam, jak nas lubią, to w pierwszym odruchu chciałam pakować manatki i wracać. Jeśli w Rosji byliśmy Żydami, tu jesteśmy imigrantami, którzy przeszkadzają, którzy odbierają innym chleb.

W Rosji pracowała jako inżynier za 119 rubli miesięcznie. Para zimowych butów kosztowała 300 rubli, ale nie można jej było dostać. Gdyby nie zapasy, które robiono, chodziliby boso. Tutaj także zaczęli od robienia zapasów. Po jakimś czasie zrozumieli, że nie ma takiej potrzeby.

— Ale tu są inne problemy. Dopóki nie znasz języka, jesteś strasznie upokorzony. Szczególnie ci, którzy mieli coś w Rosji, coś tam znaczyli, albo wydawało im się, że znaczą, są wobec tej rzeczywistości bezradni. Każdy Arab może ich posłać do diabła. Posadzeni w ławce na *ulpanie* muszą się uczyć, co nie zawsze łatwo im przychodzi. Denerwują się, złością, kiedy ktoś inny, młodszy, szybciej rozumie niż oni. Oni, którzy mieli gabinet, samochód i mieszkanie z wieloma pokojami. W pewnym wieku tracić wszystko i zaczynać od nowa to nie jest łatwa rzecz.

Bywa bardzo ciężko, ale ona chce zostać. Stara się na jakiś czas zapomnieć o honorze. Wyróbowowała wszystkie olimowskie prace. Sprzątanie, kelnerowanie. W restauracji wytrzymała tylko tydzień, od szóstej wieczorem do drugiej w nocy na nogach to było zbyt męczące, a wszystkiego za 5 szekli na godzinę. Trudno było rano się uczyć. Potem opiekowała się 84-letnim staruszką, byłym konstruktorem. Miał zły wzrok i chciał, żeby mu czytać. Ale tak naprawdę to chciał żeby z nim być. Nie mogła się zgodzić na wszystko, czego chciał. Odpracowała, co jej zapłacił i stwierdziła, że raczej woli zmywać naczyń.

Nie myślała, że tak ciężko jest przyjmować pomoc. Mówić dziękuję, uśmiechać się. Sama nigdy o nic nie prosi. Nie umie, nie chce. Ludzie nie zawsze potrafią tak dawać, żeby móc przyjąć ich dar bez upokorzenia.

Liczba poszukujących pracy będzie wzrastać o 135.000 rocznie i może dojść w ciągu trzech najbliższych lat do pół miliona. Co roku do poszukujących pracy przyłączać się będzie 90.000 nowych *olim* i 45.000 Izraelczyków. Tylko 35.000 spośród nich znajdzie pracę.

Dochodzi często do aktów przemocy wobec pracowników biur zatrudnienia na terenie całego kraju. Z Beer Szewy podają, że policja aresztowała tam nowego *ole* z ZSSR, który groził, że zamorduje pracownika miejskiego biura zatrudnienia. W marcu zapisało się w urzędach zatrudnienia około 10.000 nowych *olim* zamieszkałych na Negewie. 2.840 to akademicy. Tylko trzecia ich część ma szansę na otrzymanie pracy.

„Lekarka z ZSSR szuka pracy jako sprzątaczką. Prosić Julię”. Takich ogłoszeń jest w gazetach mnóstwo. Szczególnie w okolicach Beer Szewy, gdzie mieszka wielu lekarzy marząc o pracy w szpitalu Soroka.

Są także inne historie. 48-letni fizyk z żoną przyjechał cztery lata temu. Pracują — to nie jest katastrofa. Izrael chciał przecież przede wszystkim ratować Żydów i to się udało. Satisfakcja zawodowa przyjdzie później. Na razie chodzi o to, że są bezpieczni. Cierpliwości!

Andriej Zarecki stracił pracę w moskiewskim Instytucie Wirologii Akademii Nauk z powodu starań o wyjazd do Izraela. Tu jest zadowolony. Czekał jedenaście lat. Wydawało mu się, że nie ma szans w zawodzie, że jest poza wszelką konkurencją. Po przyjeździe pracował jako ochotnik, bez żadnego wynagrodzenia, na uniwersytecie w Tel Awiwie w laboratorium biologii molekularnej. Teraz został tam oficjalnie zatrudniony.

— Nikt nie jest na ulicy, nikt nie jest głodny — mówi. Państwo daje pieniądze. Ludzie powinni najpierw zrozumieć różnicę między zachodnim systemem naukowym Izraela a ZSSR. Trzeba cierpliwości. Znalezienie pracy jest zupełnie możliwe, także w mojej specjalności. Trzeba chęci, inicjatywy i cierpliwości. Gorzej będzie oczywiście z ludźmi starszymi.

Ktoś próbuje ich sytuację porównać z sytuacją na parkingach. Ten kto przyjedzie wcześniej, ma większe szanse znaleźć dobre miejsce. Ale przecież są także ludzie, którzy dojeżdżają. Jedyne, co jest potrzebne, to ktoś odpowiedzialny, kto będzie dyrygował ruchem. Przydałoby się również więcej parkingów.

Instytut Dachaf zwrócił się do 610 nowych *olim* z następującymi pytaniami:

— Gdzie twoim zdaniem urządziłbyś się lepiej, w Izraelu czy w USA?

14 % odpowiedziało, że w USA, 46 % — w Izraelu, 40 % — bez różnicy.

— Gdzie napotkałeś na większą biurokrację, w Izraelu czy w ZSSR?

Odpowiedź — 20 % — w Izraelu, 35 % w ZSSR, 45 % — bez różnicy.

— Czy Izraelczycy są wobec ciebie przyjaźni?

50% — tak, 5% nie, 45% — tak sobie.

— Co zrobić z zajętymi terenami?

27% — zwrócić, 67% — nie zwracać.

Robert Golan, przewodniczący Związku *Olim* z ZSSR w Izraelu:

— Blisko 90% nowych *olim* z ZSSR żyje w warunkach poniżej granicy nędzy. Większość z nich nie dojada. Poruszają się głównie pieszo, nawet na długich trasach, by zaoszczędzić cenę biletu autobusowego. Są nowi *olim*, którzy żywią się wyłącznie chlebem i kartoflami, a mięsa nie mieli w ustach od kiedy przyjechali do kraju.

Próbują się ratować w różny sposób.

Sądy rabinackie odrzucają coraz więcej wniosków rozwodowych *olim*. Często sami zainteresowani przyznają, że chodzi im o otrzymanie większej sumy z Ministerstwa Absorpcji. Po rozwodzie dostają odrębne *teudat ole*, co zapewnia im większą pomoc. Koncepcje rozwodowe zrodziły się z wyjątkowo trudnej sytuacji, w której opłata za mieszkanie pożera całą sumę, jaką rodzina otrzymuje na pokrycie wszystkich wydatków.

Kombinacje mieszkaniowe są nową formą oszczędności albo zbijaniem majątków. Tak ze strony Izraelczyków, którzy podnoszą ceny wynajmowanych mieszkań, jak imigrantów przedstawiających fikcyjne umowy, żyjących wspólnie. Ceny mieszkań skoczyły kilkakrotnie. Wynajęcie jednopokojowego kosztuje od 200 do 300 dolarów miesięcznie, czteropokojowego — 500-600. Kupno od 40.000 do 90.000, ale o tym w przypadku *olim* nie ma raczej mowy. I tak niemal cała suma jaką otrzymują od państwa idzie na mieszkanie. Ceny są różnicowane w zależności od miejsca, a głównie od możliwości dostania pracy w tym rejonie. *Olim* płacą zwykle za pół roku z góry, co może być pułapką, gdyż dopiero z czasem odkrywają niedogodności wynajmowanych lokali. Opowiadano mi o przypadku wynajęcia mieszkania w Mea Shearim, ortodoksyjnej dzielnicy żydowskiej, za 400 dolarów na rok z góry. Rosjanie nie przestrzegający świąt, nie noszący chałatów, korzystający z telewizji i innych świeckich przywilejów, stali się obiektem prześladowań sąsiadów. Tłuczono im szyby, obrzucano wyzwiskami, musieli się wyprowadzić, tracąc wpłaconą sumę.

Nie kierujemy *olim* na tereny okupowane — oznajmia rząd. Istotnie żaden *ole* nie został tam siłą przewieziony. Ale w sytuacji gdy ceny mieszkań w całym kraju skaczą pod niebiosa, a domy na tych terenach oddawane są prawie za darmo, w krótkim czasie *olim* nie będą mieli innej rady, jak przyjąć ten prezent. Tysiące bezrobotnych *olim*, pozbawionych dachu nad głową, po prostu nie będzie miało wyboru. Dane z Ministerstwa Budow-

nictwa mówią o planowanej budowie 12.000 nowych mieszkań na tym obszarze w ciągu najbliższych trzech lat. Mieszkania te są przeznaczone dla około 50.000 osadników.

Stoiska prasowe w Izraelu zmieniły wystrój. Coraz więcej tam gazet z nieznaną Izraelczykom czcionką. Duże pomarańczowe i niebieskie tytuły. Cóż to za dziwny alfabet? Rosjanie przyszli.

Na prasowym rynku poruszenie. Międzynarodowy potentat prasowy, baron Robert Maxwell, również wszedł do nowej konkurencji. Obecna *alija* jest jednorodna i bardzo chłonna, głodna słowa pisanego, od którego była przez tyle lat odcięta. Czyta dużo, trzy do czterech gazet dziennie. Potrzebuje informacji, jest ciekawa wszystkiego. Niezdolna do czytania po hebrajsku, czasem również alfabetem łacińskim, zdana jest na codzienne lektury cyrylicą.

Wydawcy świadomi są obowiązku, jaki stał się ich udziałem, obowiązku wszechstronnej i rzetelnej informacji, nie tylko bieżącej. Prasa przedstawia nowym imigrantom zarówno podstawy izraelskiej bankowości, jak i tajemnice Tory czy przyczyny lotomanii, która opętała kraj. Omawia szeroko historię i kulturę ich nowej ojczyzny. Możliwość czytania prasy wolnej i niecenzurowanej jest na tyle atrakcyjna, że wielu *olim* woli iść pieszo na *ulpan*, oszczędzając 1,70, które przeznaczają na gazetę.

Ukazują się obecnie w Izraelu trzy dzienniki, jeden z czterostronicowym dodatkiem, osiem tygodników i kilka dwutygodników. Trwa dyskusja o gustach rosyjskich czytelników, które wciąż nie są dokładnie znane. O ich politycznej orientacji i intelektualnych potrzebach.

Nasza Strana, *Nowosti Niedieli* i *Sputnik* to trzy dzienniki, jakie ma do dyspozycji rosyjski *ole*. Shabatai Himmelfarb pierwszy zaczął wydawać rosyjski dziennik *Nasza Strana*. Drukuje on również gazetę rumuńską, polską, węgierską, niemiecką i w języku jidisz. Niemiecka jest najstarsza (1933), rosyjska (1974) — najmłodsza. Himmelfarb czyta we wszystkich tych językach. Jego gazeta ma 22-24 strony codziennie, a w piątki nawet i 100. W większości są to tłumaczenia bieżących informacji, ale również program telewizyjny, powieści kryminalne i tłumaczenia Isaaka Bashevisa Singera. Ma 15 zawodowych dziennikarzy rosyjskich, którzy u niego pracują. 28 tysięcy nakładu codziennie, 35 tysięcy w piątki. Ponad 300 czytelników pisze każdego dnia do gazety.

Czy możliwość życia w ich własnym języku, również dzięki prasie, nie opóźnia procesu adaptacji? Czy nie tworzy sytuacji getta? Odpowiedzi — także samych wydawców — są różne.

— Pomagamy w wejściu w ten świat, nie w oddzieleniu się

od niego — mówią jedni.

— Osiemnaście lat temu musieliśmy szybciej uczyć się hebrajskiego — twierdzą drudzy. Teraz to nie jest konieczne, bo rosyjski jest wszędzie. Wielu starszych *olim* może nigdy nie nauczyć się hebrajskiego.

„*Wsio dla was nowyje repatrianty*”.

Dla pisarzy to bywa szok. Ludzie pracujący w języku muszą nagle szukać słów w podręcznym słowniczku dla *olim*.

W obecnej *aliji* przyjechało około 60-70 piszących. Wśród nich jakies 20 nazwisk wysokiej klasy. Wielu niezłych poetów, prozaików mniej. Ktoś mówi, że Żydzi lubią pisać.

Związek Pisarzy stara się im pomagać. Organizuje wieczory autorskie, na które jedzie jeden rosyjski pisarz, jeden hebrajski i jeden znający oba języki. To jest bardzo dobrze płatne. Trzy występy dają blisko 1.000 szekli miesięcznie, to jest nieźle. (Minimum socjalne wynosi 1200 szekli, robotnik w fabryce aluminium zarabia 2200.) Ponadto wydanie pierwszej książki opłaca im państwo. Jest także biuro w Związku Pisarzy, gdzie zawsze można przyjść. Są cztery bezpłatne domy pracy twórczej, gdzie trzeba tylko samemu się żywić. Oczywiście, że jest trudno.

Efraim Bauch nie rozczula się nad ich losem.

— 80 pisarzy z mojej emigracji jakoś sobie radzi (są już podobno nowe tłumaczenia na hebrajski). Ci także sobie poradzą. Wiele energii tracą, żeby „dognać”. Ale inne rozwiązanie, to jest getto, a to znaczy życie zupełnie poza nawiasem tego społeczeństwa. Dzieci szybciej uczą się języka, stają się Izraelczykami.

Oni chcieli do Ameryki, bo Ameryka to Eldorado. Ja sądzę, że sytuacja duchowa dla pisarzy żydowskich z Rosji lepsza jest tutaj, niż w Ameryce. Tam jest za duża przestrzeń, tutaj jednak jest wrażenie jakiejś bliskości. I literacka atmosfera życia duchowego. Czy rzeczywiście trzeba stawiać na młodych, czy to pokolenie pięćdziesięciolatków, które tu przyjechało, jest stracone? Nie wiem.

Pisać książki to wszędzie ciernista droga, to taki wybór. Cierp, skoro się zdecydowałeś. Ci, którzy teraz przyjechali, często nie mieli wydanej ani jednej książki w Rosji. Oni tu nie żyją na ulicach, nie przesadzajmy. W Rosji też żyli w „komunal-kach”. *Konieczno*, trudno. Ale poczekajmy z oceną. To jest depresyjne, ale i euforyczne. Oni nie chcą wracać.

Efraim Bauch, autor „*Drabiny Jakubowej*”, twierdzi, że nie ma ucieczki od swego żydostwa. Zawsze cię złapią.

— Kim byś nie był, nawet jeśli zmienisz język i narodowość, od tego nie uciekniesz. To jest taka duchowa moc, nie

potrafię powiedzieć — zła czy dobra. Matki nie wybierasz, też nie wiesz — dobra czy zła. Dla mnie ojczyzna to był język, realna przestrzeń, gdzie żyje cały naród, gdzie by on nie był. To i Talmud i kabała i mistyka. *Eto gromadnoje jawlenie*. Chrześcijaństwo wyrosło z judaizmu. Matka, która mogła urodzić takie dziecko, jest już czymś wielkim. Każdy czuje inaczej tę przynależność. W Rosji to się czuło poprzez antysemityzm. Ja jestem blondynem, nie wyglądam na Żyda. Mojemu koledze, czarnemu, w semickim typie, mówili: Żyd. A mnie: jak wy z Żydami żyjecie? W sensie — jak możecie z nimi żyć? Ja odczuwałem to głęboko przez odwrócenie.

To, że jest się Żydem, zawsze przeszkadza.

Siedemdziesiąt lat sowieckiej władzy starało się wycisnąć z Żydów ich żydostwo.

Inżynier H. martwi się o Izrael w związku z nową *aliją*. Boi się, żeby nie stali się drugą Rosją. On wszystko rozumie, dopływ duchowej energii, inteligencji i talentów. — Kawa będzie bielsza — mówią tu. Ale on myśli, że i bielsza i gorsza. Przecież ci ludzie są zatruci przez Rosję. Przecież nie jest możliwe, żeby nie byli przeziębieni rosyjską mentalnością, wolni od fałszywego patosu, demagogii. Przenoszą na nowy grunt tamten styl życia, tamte schematy. To może być szansa, to może być wielka rzecz, ale kiedy i za jaką cenę?

— Wszystkie czarne prognozy w sprawie *aliji* spełniają się — twierdzi przewodniczący parlamentarnej komisji do spraw *aliji* i absorpcji, Michael Kleiner. *Alija* stoi u progu prawdziwej katastrofy. Jesteśmy świadkami drastycznego spadku liczby przyjeżdżających *olim*. W tym roku przyjedzie tylko 200.000, a nie 400.000 — jak przypuszczano. Być może w 1992 roku *alija* ustanie całkowicie, ponieważ znajdujący się w Izraelu *olim* piszą listy o swojej sytuacji.

Do tego małego kraju przyjechało 300.000 ludzi i gdzieś tam oni *isczezli*. Wsiąkli, wtopili się. Jedzą, uczą się, pracują. Żyją.

Jadę ulicą — mówi Efraim Bauch — i na każdym kroku słyszę rosyjski, czytam rosyjskie ogłoszenia na drzewach, na sklepach, w autobusach. I dla mnie — nawet dla mnie, który jestem stamtąd — to jest dziwne. Nagle spotykam swoje dzieciństwo. Wraca do mnie tutaj. W ludziach, w języku. Jakby cała planeta, o której zapomniałem, wróciła, zatoczyła krąg we wszechświecie i wróciła. Ja nie wiem, co to znaczy.

Agata TUSZYŃSKA

Co kontynent afrykański pocnie bez apartheid'u?

Świat uważa Republikę Południowej Afryki za gniazdo *apartheid'u*, jedyne po II wojnie światowej systemu zakwalifikowanego przez prawo międzynarodowe jako przestępczy. Zarówno Afryka jak reszta oświeconego świata uznały *apartheid* za formę kolonializmu, zaś zmagania ANC za walkę o niepodległość. Taki punkt widzenia był bardzo na rękę głowom państw afrykańskich. Jednocześnie, przez dwadzieścia osiem lat, na forum Organizacji Jedności Afrykańskiej i w domu, potępiali oni RPA. Wszystkie afrykańskie kraje wolne były od kolonialisty, krzywda działa się jedynie — oficjalnie — w Południowej Afryce. Potępienie *apartheid'u* i RPA, domaganie się przestrzegania tamże praw człowieka, rządów tzw. czarnej większości stało się modne i w dobrym tonie. Ale gdy na Zachodzie była to moda, to w Afryce — oprócz mody — była to głęboka potrzeba. *Apartheid* był bowiem wygodnym płaszczkiem, pod którym można było ukryć fikcję, że RPA jest obelgą dla ludzkich praw, zaś Etiopia, Gwinea Równikowa, Centralna Afryka, Burundi itd. nie. ANC do niedawna głosiło, że tylko czarny rząd może rządzić w Afryce. Dziś głosi, że cały jego wysiłek idzie na rzecz przekształcenia RPA w zjednoczone, demokratyczne, nierasistowskie i nieplemienne państwo. Na 51 krajów całej Afryki tylko jedno — Botswana — posiada zapis w konstytucji proklamujący „harmonijne współistnienie wszystkich ras”. W żadnym z pozostałych krajów OJA nie było nigdy i nie ma nadal demokracji, jedności, tolerancji rasowej i plemiennej. Żadna też z istniejących w tych państwach organizacji — czy to w stanie wojny z rządem, czy w stanie dyskusji — nie miała na celu dokonania w swym kraju przemian w takim kierunku. Jedyne kierunkiem jedynych przemian było i jest przejście władzy jednej partii, czyli plemienia, przez drugą partię, czyli przeciwne plemię. Partie są nowoczesnymi nazwami dla starych ważniejszych plemion. Bo któż by poparł plemię Ovimbundu w walce ze zlepkim mniej licznych, gdyby pierwsze nie nazywało się UNITA, a drugie MPLA? Afryka wyraża siebie za pomocą sloganów i frazesów. To, co publicznie zostaje powiedziane, nie ma nic wspólnego z tym, co się prywatnie myśli. Bo przecież nie chodziło o prawa ludzkie w RPA. Chodziło o odwrócenie uwagi świata od podwórka afrykańskiego. I temu wygodnie służył *apartheid*.

Tradycją i nakazem władztwa w Afryce jest wymordowanie pokonanego w walce o władzę przeciwnika. To jest prawem ludzkim. Dlatego, gdy Amin wyrzynał swych obywateli, OJA potrafiła

spokojnie obradować w Kampali i wraz z przewodniczącym sesji, samym Idim, potępić tam *apartheid*. Kiedy na szczycie OJA w Liberii, w 1979 r., prezydent post-aminowskiej Ugandy, Binaisa, powiedział, iż „nie ma sensu krytykowanie u innych łamania praw człowieka, gdy sami robimy podobnie”, uznano go za zdrajcę Afryki. Kraje Afryki nawoływały do bojkotu RPA, ale jedynym bojkotem na który mogły sobie pozwolić był zakaz lądowania i przelatywania SAA nad ich terytoriami, czy wchodzenie do portów, oraz odmawianie wiz obywatelom RPA. Bo handel utrzymywany był zawsze. RPA, przede wszystkim, żywiła i żywi całe południe Afryki. Ekonomiczne podporządkowanie tego regionu Południowej Afryce ma długą już historię. W 1979 prezydent Seszeli, René, nawoływał do ukarania tych państw Afryki, które utrzymywały kontakty handlowe z RPA, gdy 60% obrotu handlowego w jego własnym kraju pochodziło z transakcji z RPA!

Afryka nie jest cyniczna. Ma inną moralność. Południowa Afryka jest częścią zachodniego systemu ekonomicznego. Zachód uważa ją za swoją część. I dlatego od białej RPA wymaga podniesienia standardu życia jej obywateli, czego nie domaga się od innych państw Afryki. Na tym polega hipokryzja zachodnia, powiedlana w pustomowach przywódców afrykańskich.

Afryka dziś, na przekór ideologom, pieniądзом pompowanym w nią i tzw. walkom wyzwoleńczym — cofnęła się w rozwoju. Jest zrujnowana gospodarczo, szowinistyczna, rasistowska, plemienno-ekskluzywistyczna, politycznie niekompetentna, bez ekonomicznych horyzontów. Zachód się nią zmęczył. Kontynent, który nie tylko, że zrujnował to, co posiadał, ale i nie potrafi nauczyć się niczego ze swej przeszłości ani określić swej przyszłości, budzi nieufność i niechęć. Koniec komunizmu w świecie, koniec *apartheid'u*, koniec zimnej wojny, to koniec pieniędzy dla Afryki. RPA jest ostatnią nadzieją Afryki. Koniec *apartheid'u* oznacza koniec zasłony dymnej dla Afryki. Pozbawiona płaszczyka *apartheid'u* Afryka stanęła nago wobec świata: w żadnym jej kraju nie rządzi większość, 100 milionów bez pracy, 7 milionów skazanych egoizmem i niekompetencją rządzących mniejszości na śmierć głodową jeszcze przed końcem tego roku, dziesiątki milionów rozproszonych w poszukiwaniu środków do życia i w ucieczce przed prześladowaniami za to, że ośmielali się krytykować swój rząd czy za to, że należeli do niewłaściwej grupy plemiennej. Naga Afryka nie mówi nic o demokracji, o braku rasizmu czy choćby o multi-rasizmie, lecz załaniania się magicznym słowem wielopartyjność. Tak, jak *apartheid* pozwalał Afryce na bezkarność u siebie, tak wielopartyjność ma dać jaką taką gwarancję na spokój polityczny w jej krajach dla tych, którzy zechcieliby w nie raz jeszcze inwestować. Najrealniejszą i ostatnią deską ratunku dla Afryki jest Republika Południowej Afryki. RPA jest częścią kontynentu afrykańskiego, a jednocześnie należy do zachodniego systemu ekonomicznego, jest samowystarczalna pod względem żywności i paliw, ma doskonałą sieć dróg, kolei, portów, nowo-

czesne i kompetentnie zarządzane instytucje gospodarcze, posiada — jak na afrykańskie standardy — wielki zasób wykwalifikowanych sił wśród białych oraz — znów, jak na afrykański poziom — wysoko wykwalifikowanych miejskich czarnych ze znaczną wiedzą techniczną.

Demontaż *apartheid'u* Afryka przyjmuje z entuzjazmem. Nie ze względu na perspektywę demokracji w obcym kraju, czy z sentymentu do uwolnionych od *apartheid'u* czarnych jego mieszkańców, lecz w nadziei na przetrwanie i odbudowę swych zrujnowanych gospodarek. Dyskusje nad planem Marshalla dla Afryki są błędne: druga wojna światowa zdewastowała Europę fizycznie, ale umiejętności i nastawienie na postęp w niej pozostały. To sprawiło szybkie zastąpienie zniszczonej fizycznie infrastruktury nową oraz odbudowę potrzebnego kapitału. W Afryce tych wartości nie ma. Jaka jest przyszłość Afryki bez *apartheid'u*? Może zajmie się budową demokracji, do której pierwszych kroków już została zmuszona? Może stanie się bardziej ludzką dla siebie samej? Może odnajdzie swą tożsamość?

Maun, czerwiec 1991

Małgorzata DZIEWIĘCKA

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Różnica czasów

Różnica czasów pomiędzy paryską drukarnią a warszawską polityką sprawia, że coraz częściej nie wystarcza już opatrywanie tych sprawozdań datą powstania, aby się zabezpieczyć przed poczuciem czczości. Pół biedy, kiedy przewidywanie, z którego śmiałości byliśmy dumni, okazuje się po miesiącu oczywistością wszystkim znaną. Gorzej, gdy człowiek wychodzi na fantastę i lunatyka, bo to, co przewidywał, sprawdziło się, ale potem przestało sprawdzać. W wyścigach wielookrężeniowych nazywa się to zdublowaniem. Zostałem zdublowany przez wydarzenia. W poprzedniej korespondencji pisanej na początku sierpnia przewidywałem (i zalecałem), że prezydent podejmie próbę ratowania programu reform oraz ponownego zbliżenia odłamów i odłamków dawnego obozu Solidarności. I rzeczywiście, najpierw działo się po mojej myśli. Agresywność w stosunkach pomiędzy PC a Unią Demokratyczną wyraźnie zmalała, a Belweder niedwuznacznie odciął się od koncepcji prezydenta Polaków wyłącznie prawdziwych. Nawet w episkopacie, którego polityczna równowaga była ostatnio bardzo rozchwiana, doszli do głosu zwolennicy pomiarkowania i ostatecznie „wyborczy manifest” tego grona nie wskazuje katolikom *explicite*, na kogo mają głosować, choć przydzielił sztyldu dla Wyborczej Akcji Katolickiej ZChN-u pozostaje w mocy. Zagadkowa zresztą sprawa z tym przymiotnikiem, który najmniej chyba nadaje się na chroniony znak firmowy, „katolicki” znaczy wszak „powszechny”. Ale pozostawmy tym razem na uboczu kościelną politykę, żeby nas znów nie zdublowało: na koniec września zapowiadano wszak nową odezwę wyborczą tego gremium, proboszczowie zaś i tak wyłożą do tego czasu owieczkom, co jak się czyta w orędziach biskopatu. Z drugiej jednak strony, zapalczywość zwolenników bezpośredniej ingerencji politycznych Kościoła powinny trochę ostudzić mnożące się sygnały, że można z tym przedobrzeć. W czerwcowym sondażu

Instytutu GfK Polonia (ze znanej międzynarodowej sieci), którym kieruje całkowicie już ucywilizowany Stanisław Kwiatkowski, na pytanie „Jakie znaczenie będzie miało dla Pana (i), że jacyś kandydaci będą popierani przez prezydenta Lecha Wałęsę? A jakie — przez Episkopat Kościoła katolickiego?” — odpowiedzi układały się następująco:

	Wałęsa	Episkopat
nie będzie miało żadnego znaczenia	56,8%	57,1%
negatywne — nie będę na niego głosować	19,8%	21,0%
pozytywne — będę skłonny na niego głosować	19,4%	17,3%
brak odpowiedzi	4,2%	4,5%

(ogłoszone w *Sens*, wrzesień 1991)

Jak widać, w polityce polskiej autorytet Wysokich Doradców leży w prochu i pyle... Wracam do przerwanej wątku.

Wszystko zatem układało się po mojej myśli. Wyciszono zbiorowym wysiłkiem serial z polskimi aferami stulecia. Odbyło się nawet, poprzedzone wspólnym udziałem w belwederskiej mszy świętej, spotkanie Wałęsy z Mazowieckim. Aliści wnet okazało się też, że te wszystkie spotkania, zbliżenia i pogaduszki nie tyle ratowanie reform mają na celu, ile ratowanie polityków klasy politycznej (niegdyś mawiano „elity”, ale teraz termin uchodzi powszechnie za zbyt pochlebny). Nie było żadnego rzetelnego namysłu nad rewizją kursu gospodarczego: działania belwedersko-partyjne wokół politycznego zbliżenia dawnych sojuszników z Solidarności rozwijały się w jednym kącie podwórza, a zabawa w gospodarkę w drugim. Pierwsze zaowocowały prowizorycznie apelami i obietnicami, że kampania wyborcza będzie pozytywna i konstruktywna, ta druga zaś...

O właśnie, ta druga wprowadziła na scenę, i to na sam środek podwórka, zupełnie czarnego dzokera. Tymi, którzy się wyłamali z gry w zbliżenie, okazali się liberałowie z Kongresu Liberalów Demokratów (KLD) i ich rząd, o którego premierze, Janie Krzysztofie Bieleckim, informowałem niedawno, że dorasta dopiero do swojej miary. Już właśnie dorósł i całkiem sprytnie choć ryzykownie rozgrywa swoją kampanię o miejsce prawdziwego przywódcy przyszłego, po wyborach, obozu rządowego. Bielecki musi w tym celu zepchnąć Balcerowicza z pozycji Najpierwszego Wielkiego Reformatora i unieruchomić politycznie prezydenta Wałęsę w roli niezawodnego alianta rządu liberałów.

Pierwsze z tych zadań byłoby względnie proste, gdyby liberałowie chcieli się Balcerowicza po prostu pozbyć, a jego program zrewidować. Ale wcale im to nie w głowie, najpierw dlatego, że żadnego innego programu nie mają, po drugie zaś dlatego, że mieć go nie chcą. Autentyczna rewizja balcerowi-

czowych założeń wymagałaby dopuszczenia do głosu innych idei, innych sił politycznych, wynegocjowania z nimi jakiegoś nowego „paktu dla Polski” i podzielenia się władzą, w której liberalni ministrowie niebawem się rozsmakowali. Znacznie ponętniejsza wydaje się im strategia, w której rząd i jego program są „autorskie”, należą do liberałów, jak skóra do ciała, natomiast formacje parlamentarne wspierające „program Balcerowicza” są nieustannie szantażowane jego bezalternatywnością. Tak na przykład J.K. Bielecki najpierw z zupełnym spokojem pozwolił ministrom z PC atakować Balcerowicza, aż wreszcie Głapiński odsonił się całkowicie jako kandydat na posadę wicepremiera — po czym Głapińskiemu podcięto nogi (afera spółki Telegraf). Za to liberałowie, zwłaszcza sam premier, nie rewidując bynajmniej programu i unikając otwartych konfrontacji z żelaznym wicepremierem, nieustannie występują w roli ratowników zbyt poszkodowanych przedsiębiorstw i miejscowości. Od Ursusa do Starachowic J.K. Bielecki wizytuje, dyskutuje, anonsuje pakiety propozycji, które w najlepszym razie odraczają o pół roku śmierć przedsiębiorstwa — ale takie łapanie puszczających oczek pozwala podtrzymać trochę nadziei u ludzi i dotrzeć do wyborów w roli rycerza wybawiciela. Sondaże do końca sierpnia potwierdzały tę strategię. Nie należy jednak przeoczyć bardzo prostej prawdy: gra polityków z Balcerowiczem nigdy nie jest z ich punktu widzenia grą równoprawną, ponieważ Balcerowicz nie gra o tę samą stawkę. Wcale nie chce zasiadać w Sejmie i wcale nie chce być premierem. W ogóle nie chce rządzić tym samym i w takim samym sensie, co politycy: Balcerowicz chce, co najwyżej, rządzić politykami, czy lepiej powiedziawszy wyznaczać im nieprzekraczalne granice pola gry. Jest autentycznym *commis d'Etat*, ministrem finansów ze snu Colberta, to znaczy facetem, który by w noc przed bitwą wyznaczał Ludwikowi XIV, ile razy mu wolno wystrzelić z armaty... Kiedy w sierpniu koledzy z gabinetu zbyt mu już zajechali za skórę — każdy przecież oponował przeciw cięciom budżetowym w swoim resorcie — Balcerowicz z miną roztargnionego profesora odegrał dwuaktową komediofarę pt. Dymisja niezgrabiasza. Rano na jednej konferencji prasowej zapowiedział, że dotrwa tylko do wyborów, a po południu na drugiej na wpół sprostował, że tylko „nie będzie się ubiegał” o pozostanie na stanowisku. Co, innymi słowy, znaczyło, że drugiej stronie, przyszłemu premierowi, będzie oczywiście wolno ubiegać się o Balcerowicza. — Ależ to twardy sukinyś — powiedział mi tegoż dnia, z żalem i podziwem, komentując zawieruchę w warszawskiej szklance wody, wywołaną deklaracjami wicepremiera, jeden z tych przyszłych premierów — on gotów byłby robić dalej swoje nawet z Pinochetem... — z Kuroniem też — dodał po namyśle...

Gra z Wałęsą jest, oczywiście, trudniejsza. Trzeba przede wszystkim rozstrzygnąć, co oznacza politycznie prosty i bezsporny fakt formalny, że prezydent jako jedyna figura na szachownicy jest już po wyborach. Gdyby należało się spodziewać, że 27 października wybrany zostanie parlament o jednoznacznej większości, wówczas zwycięstwo Wałęsy sprzed roku nie byłoby już jedynym źródłem legitymizacji władzy: dopiero rezultat wyborów parlamentarnych mógłby tamtemu prezydenckiemu zwycięstwu przywrócić moc, ratyfikować je i potwierdzić, ale mógłby też je w znacznej mierze politycznie unieważnić. Tak czy inaczej, taki jednoznaczny rezultat, sukces jednej formacji czy przynajmniej układ z jedną tylko możliwością stabilnej koalicji, wzmacniałby wydatnie pozycję nowego parlamentu wobec prezydenta, ale pozwalałby za to na szybkie sformowanie rządu i narzucał przejrzysty kontrakt polityczny. W przypadku natomiast, znacznie prawdopodobniejszym, wyniku wieloznacznego, dopuszczającego najrozmaitsze kombinacje, prezydent zachowałby przewagę, którą daje rola arbitra, musiałby jednak umieć rozstrzygnąć, za jaką optuje polityką i jaki proponuje kontrakt, bo nic nie byłoby zdeterminowane składem parlamentu.

Widać z powyższego, że po 27 października polityczną rolę prezydenta nieuchronnie trzeba będzie definiować na nowo i od nowa przećwiczyć. Liberalowie z „autorskiego” rządu J.K. Bieleckiego nie chcieliby oczywiście, żeby to się odbyło ich kosztem. Stąd zapewne ich niespodziewana inicjatywa zmian konstytucyjnych jeszcze przed wyborami w zakresie wzajemnych relacji naczelnych władz państwa. Inicjatywa ta, za której autora uchodzi powszechnie historyk Mażewski, doradca premiera i wielbiciel de Gaulle’a, obejmuje szereg elementów całkiem rozsądnych, zwłaszcza tam, gdzie wypełnia aktualnie istniejące luki (jak całkiem teraz mgławicowa sprawa wotum nieufności bądź zaufania i ich konsekwencji). W ogólności projekt liberalów zmierza do precyzyjnego określenia roli rządu, a zwłaszcza kompetencji premiera, w strukturze władz naczelnych oraz do zaakceptowania, że funkcja prezydenta zalicza się przede wszystkim do władzy wykonawczej. Prezydent byłby więc niejako po tej samej stronie co rząd, to zaś pozwalałoby liczyć na swoistą wzajemną lojalność obu instytucji. Konieczne trzeba też podkreślić, że ta inicjatywa konstytucyjna została zgłoszona w tym samym podejściu, co wniosek o rozległe nadzwyczajne pełnomocnictwa dla rządu, daleko wykraczające poza sferę korekty budżetu na 1991 rok. Wszystko było też odpowiednio opakowane w retorykę o potrzebie mocnej władzy wykonawczej w trudnych dla państwa czasach.

Niezależnie od rozmaitych dobrych racji, które można przytoczyć na poparcie różnych punktów tego pakietu propozycji,

było dość wyraźne, że istotnym, jeśli nie najważniejszym, celem operacji jest wspomniane „unieruchomienie” Wałęsy w charakterze niezawodnego odvodu liberalów. Służyć temu miało nie tylko zaakcentowanie wspólnoty funkcji prezydentury i rządu; również — skoncentrowanie uwagi na formalno-prawnych regulacjach, podczas gdy, jak podkreślono, Wałęsa stanie po wyborach wobec zadań merytorycznie nowych w sensie politycznym. Zarazem obniżone by zostało, z góry i na zapas, znaczenie październikowych wyborów. Przede wszystkim jednak, ponieważ nie było żadnych szans, by Sejm ów pakiet uchwalił przed wyborami, chodziło o otwarcie innej niż dotychczas dominującej płaszczyzny dyskusji, takiej mianowicie, na której liberalowie i ich rząd byłiby naturalnymi gospodarzami, prezydent Wałęsa honorowym gościem, a tematyka ratowania reform sprowadzała się do szybszych i bardziej samowładnych decyzji premiera. Tymczasem prawda wygląda tak, że władza wykonawcza jest istotnie w Polsce zbyt słaba jak na ogrom i przełomowość zadań, ale nie jest to w pierwszym rzędzie skutek niedomiaru kompetencji, parlamentarnej mitręgi czy sejmowych oporów. Sejm, co na tych łamach podkreślałem wielokrotnie, pyskował i narzekał, ale uchwalał ostatecznie wszystko, co mu rząd przedłożył (mowa o sferze gospodarczej) — pod warunkiem, że rząd sam wiedział, czego chce i że ministrowie nie podstawiali sobie wzajem nóg. Najwięcej zmitrężono czasu w parlamencie na trasie Sejm-Senat, ale nie licząc tematyki kościelno-pochodnej, co do której większość senacka ma postawę skrajnie ideologiczną (*pereat mundus...*), poprawki i wnioski senatorów były na ogół celne lub przynajmniej sensowne: Senat robił właśnie to, do czego z założenia powołana jest ta izba, a wiadomo przecież, że za namysł płaci się czasem. Jeśli więc rząd liberalów sądzi, że czasu ma zbyt mało, powinien wnioskować likwidację Senatu. Z drugiej strony, statystyka na dzień nowej konstytucyjnej inicjatywy wykazywała, że rząd i jego ministrowie nie zdążyli sporządzić do już obowiązujących ustaw aż 179 aktów wykonawczych. Mówi to samo za siebie. Najistotniejszą wskazówkę słabości władzy wykonawczej jest przeciążenie i niedostosowanie jej instrumentarium i aparatu administracyjnego do nieustannej ucieczki w przód. Fala wielkich afer — ale najważniejszą „aferą” jest po prostu wszechobecna korupcja, która od niedawnej, komunistycznej różni się głównie tym, że w demokracji bierze się nie wedle rangi, lecz ile się uda — otóż ta fala afer naoczniała na przykład nieskuteczność kontroli, która za pomocą nadzoru o strukturze i nawykach z poprzedniej epoki chciałaby opanować nowy żywioł. Stąd te żalose postacie prokuratorów, którzy nie mają nic do powiedzenia i bankierów jak z „Królowej przedmieścia”, czelnie odmawiających odpowiedzi na

każde pytanie pod pretekstem „tajemnicy bankowej”. Stąd również te dokumenty z wysokiego szczebla, w których rozmaite organy kontrolne nie mogą się pogodzić, czy straty wyniosły tyle właśnie czy może dziesięć razy więcej i czy Bagsik jest kanclerzem czy może wzorem przedsiębiorczości... To tylko przykład, pierwszy z brzegu.

Jeżeli rozwijająca się, mimo wszystkich dywersji ze strony polityków, debata nad dalszym kursem, tempem i strategią przemian ma być owocna, to nie może ona abstrahować od tego właśnie momentu: stanu i możliwości aparatu wykonawczego. W przeciwnym razie...

— No właśnie — przerywa mi tę filipikę młody i energiczny poseł z zaprzyjaźnionego klubu — co w przeciwnym razie? Czegoś ty, Krzysztof, jesteś taka Cassandra, ciągle kraczesz i kraczesz? O co ci chodzi? Przecież to są już nieodwracalne zmiany, zobacz, zjedź między ludzi, tych co rzeczywiście żyją, biegają, kombinują, na nic nie czekają, wszystko im wolno...

Nie rozumiemy się z moim młodym i energicznym, i to chyba nieuchronne. On ma sporo racji: w starych organizmach gromadzi się wiele jadu, stąd i o optymizm trudno. A nowe czasy zawsze poniekąd zasługują na optymizm, są przecież wstępem do realizacji marzeń, długo tłumionych, bo długo niemożliwych...

Co w przeciwnym razie? Najpewniej: żadna katastrofa. Wbrew pozorom, sytuacja jest w tym głębokim sensie stabilna, że żadnej katastrofy, która by odwróciła bądź zamroziła bieg wydarzeń, nie widać na horyzoncie. Jedyne, co nam rzeczywiście grozi, to że skonstruujemy rzeczywistość nie tylko nie na miarę naszych marzeń — to normalne — ale nawet nie na miarę naszych prawdziwych możliwości. Rzeczywistość niewykorzystanych szans. Nie będzie się nam podobać.

Człowiek o mentalności jakiegoś Fukuyamy, który wierzy, że historia jest skończona, uśmiechnie się w tym miejscu ironicznie, bo przecież rzeczywistość nie po to jest, żeby się podobać. Rzeczywistości się nie konstruuje. Może... Ale teraz są nowe czasy, które mają zrealizować długo tłumione marzenia. Za rozczarowanie takiej nadziei płaci się długo i gorzko.

Warszawa, 12 września 1991
(przed wszystkimi głosowaniami)

Krzysztof WOLICKI

ROZLICZENIE FUNDUSZU B. TOWARZYSTWA KURSÓW NAUKOWYCH

W r. 1979 *Kultura* rozpoczęła zbiórkę pieniędzy przeznaczonych na finansowanie działalności TKN. Do r. 1980 łącznie sumy przekazywane na ten cel z Paryża wpływały do kasy Funduszu Samoobrony Społecznej, który zasiłał TKN w miarę bieżących potrzeb. Własna kasa stypendialna, którą TKN postanowił utworzyć, nie zdążyła wyodrębnić się z FSS, gdyż w r. 1980-81 działalność Towarzystwa w ogóle osłabła, przejęta w znacznej mierze przez wszechnice robotnicze „Solidarności” i Niezależne Zrzeszenie Studentów. Niemniej właśnie latem 1981 kolejna wpłata z funduszu zbieranego przez *Kulturę* przekazana została wprost komisji programowej TKN na ręce skarbnika, którym po wyjeździe za granicę T. Kowalika, tj. od wiosny 1981, został Jerzy Jedlicki. Wpłata ta wynosiła 2.660 USD. (Poza tym niewielkie kwoty na zlecenie TKN były wydawane przez *Kulturę* bezpośrednio w Paryżu).

W obozie internowanych w Jaworzu wiosną 1982 r. odbyło się ostatnie zebranie kadłubowej komisji programowej TKN. Obecni byli: S. Amsterdamski, A. Celiński, A. Drawicz, B. Geremek, J. Jedlicki. Uznano wówczas, że w warunkach konspiracyjnych nie można wznawiać działalności TKN, którego skład, kierownictwo i formy pracy były zawsze jawne i którego zadania przejęły tymczasem inne agendy, powstałe w warunkach stanu wojennego. Postanowiono jednak zachować na razie skromny fundusz TKN, na nie dające się przewidzieć okoliczności. S. Amsterdamski, A. Drawicz i J. Jedlicki zostali upoważnieni do wspólnego podejmowania, po zwolnieniu z obozu, decyzji o przeznaczeniu środków. Latem 1982 r. środki te zostały zwiększone o kwotę 500 USD, która wpłynęła z Paryża, od K. Pomiana, na ręce J. Jedlickiego.

Jeszcze w r. 1981 TKN wyasygnował 300 USD na potrzeby wydawnictwa NOWA 2, które podjęło się publikowania *Zeszytów Naukowych TKN*. Jesienią 1982 r. subwencję w wysokości 1.000 USD otrzymał Grzegorz Boguta na potrzeby inwestycyjne wyd. NOWA. Reszta pieniędzy, tj. 1.860 USD, została oddana kilku zaufanym osobom na przechowanie.

W listopadzie 1984 r. S. Amsterdamski w czasie pobytu w Paryżu upoważnił redakcję *Kultury* (w osobie p. Zofii Hertz) do przekazania pozostałych jeszcze ze zbiórki na TKN pieniędzy na rzecz Społecznego Komitetu Nauki.

Ze środków będących w dyspozycji powierników funduszu nie było żadnych wypłat przez trzy lata (1983-1985). W końcu r. 1984 i na początku 1985 dolary zostały ulokowane na prywatnych kontaktach w banku Pekao i od tej pory zaczęto doliczać do funduszu bankowe odsetki.

W r. 1985 B. Geremek został za swą działalność związkową i polityczną ukarany zwolnieniem ze stanowiska docenta w Instytucie Historii PAN i z dniem 11 1986 r. przestał otrzymywać pobory. Wówczas upoważniona do decyzji trójka postanowiła wypłacać mu z funduszu TKN stałą miesięczną pensję. Wysokość pensji obliczana była według średnich zarobków docenta w IH PAN za poprzedni kwartał, co w warunkach stałej wypłaty uposażeń kompensowało ok. 80% utraconych zarobków (nb. Geremek przez cały czas swojego bezrobocia wykonywał nieprzerwanie obowiązki kierownika pra-

cowni). Przez trzy lata i dwa miesiące sprzedano na ten cel z pieniędzy TKN 1.358 USD, co czyni średnio 36 USD miesięcznie. Wyплаты uszały z dniem przywrócenia B. Geremka do pracy w Instytucie Historii tj. 1 III 1989.

Prócz tego w całym okresie wyasygnowano tylko 50 USD dla K. Kerstenowej na kopiowanie dokumentów archiwalnych w Londynie, oraz 10 tys. zł zaliczki dla S. Kowalskiego na tłumaczenie esejów I. Berlina.

Dość skomplikowaną operacją było obliczanie odsetek od środków umieszczonych na prywatnych kontach dewizowych: w części na rachunku terminowym rocznym, w części na rachunkach *a vista*. Wysokość sum procentujących zmniejszała się w miarę podejmowania — w nieregularnych odstępach czasu — kwot potrzebnych do sprzedaży, nadto parokrotnym zmianom ulegała stopa oprocentowania. Wynik obliczeń jest przeto przybliżony. Łącznie za czas od 18 X 1991 naliczono 354 USD bankowych odsetek.

Stan funduszu na dzień 1 VIII 1991 wyniósł 812 (osiemset dwanaście) USD. Kwotę tę postanowiono przekazać w darze Fundacji Pomocy Bibliotecekom Polskim, pod prezesurą Jerzego Giedroycia. Ze sprzedaży dolarów po kursie 11.350 za 1 USD uzyskano 9.216.200 zł i sumę tę J. Jedlicki wpłacił 2 sierpnia 1991 na rachunek Fundacji.

Warszawa, 5 sierpnia 1991.

Powiernicy funduszu b. TKN:

Stefan AMSTERDAMSKI
Andrzej DRAWICZ
Jerzy JEDLICKI

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US50 natychmiast, nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne. Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Rd, London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

Informacje: Madame C. Piquard-Zabłocki, 12, rue Condorcet, 75009 Paris, France, Tel.: 42 85 79 45

Wywiady „Kultury”

O Polakach w Czechach i na Słowacji

ROZMOWY Z DANUTĄ BRANNĄ
I TADEUSZEM WANTUŁĄ

Danutę Branną i Tadeusza Wantułę poznałem pod koniec ubiegłego roku w Pradze. Było to w okazałym budynku na Małej Stranie, nad którym powiewa biało-czerwona flaga, ale nie polska oczywiście, lecz Republiki Czeskiej. W budynku tym ma swą siedzibę Czeska Rada Narodowa, czeski parlament republikański. Miejsce spotkania, bufet w podziemiach, nie było przypadkowe, Tadeusz Wantuła jest bowiem posłem do CRN, Danuta Branna zaś posłanką w Izbie Ludu czecho-słowackiego Zgromadzenia Federalnego.

Oboje są Polakami z Zaolzia. Oboje wystawieni zostali na listach Forum Obywatelskiego (czeski skrót: OF) w wyborach parlamentarnych w maju 1990 roku. Dziś Forum już nie istnieje, rozpadło się na kilka ugrupowań, z których najważniejszymi są Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS) ministra finansów Václava Klause i Ruch Obywatelski (OH), któremu przewodzi minister spraw zagranicznych Jiří Dienstbier. Danuta Branna sympatyzuje z OH i należy do klubu parlamentarnego tego ugrupowania, ale nie jest członkinią Ruchu. Tadeusz Wantuła ma zdecydowanie bardziej prawicowe poglądy, popiera ODS, ale i on pozostał bezpartyjny. W czeskim parlamencie przystąpił natomiast do klubu parlamentarnego Obywatelskiej Inicjatywy Romów (ROI). Bez niego klub ten nie mógłby w ogóle powstać, albowiem w szeregach poselskich Forum Obywatelskiego czeszy Cyganie (Romowie), mieli czterech posłów, do założenia klubu trzeba zaś co najmniej pięciu.

Tadeusz Wantuła i Danuta Branna od lat działają na rzecz

społeczności polskiej na Zaolziu. Przed listopadem 1989 czynili to w ramach jedynej wówczas polskiej organizacji, Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, po tej dacie raczej w nowopowstałych lub odrodzonych organizacjach. Oboje weszli też w skład powołanej na I Zlocie Polaków z Czecho-Słowacji dziewięciosobowej Rady Polaków, której przewodniczącym w pierwszej kadencji został właśnie Tadeusz Wantuła. W tym roku wycofał się z Rady, a zastąpił go dr Bogusław Chwajol. Danuta Branna została wybrana do Rady po raz drugi.

W sierpniu 1991 Rada Polaków zaprosiła na Zaolzie swych rodaków z Europy Wschodniej i Środkowej na pierwszą wspólną konferencję. Wśród jej uczestników znaleźli się między innymi Jan Sienkiewicz, Prezes Związku Polaków na Litwie, szef Związku Polaków z Białorusi Tadeusz Gawin, przewodnicząca ogólnorosyjskiej organizacji „Dom Polski” z Moskwy Halina Romanowa, Polacy z Estonii, Leningradu, Ukrainy, Węgier i Bułgarii. Słowaccy celnicy nie wpuścili do kraju przedstawiciela Polaków z Rumunii, rzekomo z powodu uszkodzenia paszportu, a najprawdopodobniej dlatego, że był to paszport rumuński. Do czeskiego Cieszyna przyjechali też przedstawiciele polskiej emigracji z Austrii, Niemiec i Wielkiej Brytanii, wśród nich Zygmunt Szkopiak, minister spraw zagranicznych w ostatnim rządzie na uchodźstwie. Nie zabrakło w końcu i Polaków z Polski. Z warszawskiego stowarzyszenia „Wspólnota Polska” na Zaolziu pojawił się jego przewodniczący, marszałek Senatu, prof. Andrzej Stelmachowski, przez cały czas obrad obecni byli senator Anna Bogucka-Skowrońska i rzecznik prasowy Jerzy Marek Włodarek. Rząd Rzeczypospolitej reprezentowali i odpowiadali na nierzadko trudne pytania wiceminister kultury i sztuki Michał Jagiełło, zastępca ministra-kierownik Urzędu Rady Ministrów Jacek Stankiewicz oraz dyrektor wydziału konsularnego w MSZ-ecie Tomasz Lis.

Wywiad z Tadeuszem Wantułą przeprowadziłem już w grudniu. Na Zaolzie pojechałem by go zaktualizować. Dopiero tam narodził się pomysł, by po prostu kontynuować tę rozmowę. W jej drugiej części uczestniczyła już także Danuta Branna.

I jeszcze drobny szczegół techniczny. W tekście tym piszę raz „Czechosłowacja”, kiedy indziej zaś „Czecho-Słowacja”. To nie niechlujstwo, lecz skutek zmian w tym kraju. Nazwa państwa z łącznikiem odnosi się do demokratycznej CSFR, bez — do komunistycznej CSRS. Odniesień do Czechosłowacji sprzed 1948 roku nie będzie.

Aureliusz M. PĘDZIWIOL

MUSZĘ BYĆ CIĄGŁE NIEZADOWOLONY...

ROZMOWA Z TADEUSZEM WANTUŁĄ

Praga, 20 grudnia 1990

AURELIUSZ M. PĘDZIWIOL: — *Pan nie jest jedynym polskim posłem w Czecho-Słowacji, nieprawdaż?*

TADEUSZ WANTUŁA: — Nie. W Zgromadzeniu Federalnym jest Danuta Branna, też z Forum Obywatelskiego, oraz Władysław Niedoba, reprezentujący Wspólnotę-Egypceles, organizację, która chce reprezentować interes wszystkich mniejszości w naszym państwie.

A. M. P.: — *Ja chciałbym z Panem porozmawiać o Polakach w Czecho-Słowacji. To jedna z żyjących tu mniejszości. Ale może najpierw powie Pan kilka słów o innych mniejszościach narodowych w CSFR?*

T. W.: — Większych mniejszości — jeśli można użyć takiego sformułowania — jest kilka. Przede wszystkim Węgrzy, których jest kilkaset tysięcy, no a potem Polacy, Niemcy, Ukraińcy, Rusini — bo tam jest jeszcze wewnętrzne rozbicie. I jeszcze jeden duży problem: Cyganie — zwani teraz Romami, których dotychczas formalnie nie można było nazwać mniejszością narodową. Traktowani jako grupa socjalna, ewentualnie jako grupa etniczna — z tym, że duch narodowościowy wewnątrz tej grupy jest teraz mocno rozbudzony i należy się spodziewać, że również oni będą traktowani, jako mniejszość narodowa.

A. M. P.: — *Problemy mniejszości?*

T. W.: — Bardzo, bardzo różnorodnie, bo też różnie układała się historia. Kwestia Romów, to raczej problemy socjalne, często — niestety — kryminalne. I stąd pochodne problemy rasizmu. Natomiast w stosunku do nas, jak i do innych mniejszości, rasizm nie może istnieć, jesteśmy tak samo ludźmi białymi, jak grupy większościowe w tym państwie. Nie jesteśmy też ludźmi, którzy tu skądś przyszli. Zarówno Węgrzy, jak i Niemcy, i przede wszystkim Polacy na Śląsku Cieszyńskim stanowią grupy autochtoniczne.

A. M. P.: — *Jak liczna jest ta mniejszość narodowa?*

T.W.: — Trudno mi powiedzieć dokładnie, opieramy się na spisie narodowym z roku '80. Wtedy stwierdzono 63 tysiące Polaków żyjących w całej Czechosłowacji, z tego około 58 tysięcy na Śląsku Cieszyńskim. Grupki Polaków żyją także w Pradze i w Brnie, ale jest ich rzeczywiście całkiem niewiele. Natomiast sprawą zupełnie niespenetrowaną są Polacy żyjący na Słowacji.

Mówię tu o Polakach — obywatelach Czecho-Słowacji, bo oczywiście żyją tu także i Polacy z Polski, z polskimi paszportami.

A.M.P.: — *Jak jest ta polska mniejszość zorganizowana? Jakie ma organizacje, instytucje, szkoły?*

T.W.: — Od roku 1947 ciągle istniała praktycznie tylko jedna organizacja, Polski Związek Kulturalno-Oświatowy (PZKO), która musiała być organizacją serwilistyczną w stosunku do komunistów. Okresowo powstawały Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej czy Harcerstwo Polskie, ale były one wkrótce potem likwidowane. Było to w latach 1947-48, potem 1968-69.

Szkolnictwo polskie funkcjonowało z początku z oporami, ale potem już praktycznie bez większych przeszkód. Obecnie istnieje kilkanaście szkół podstawowych z pełnym programem nauczania i kilkadziesiąt takich, w których prowadzone są tylko niektóre klasy, na przykład od I do IV. Jest także jedno gimnazjum nauczające w języku polskim. Ponadto przy średnich szkołach: medycznej, ekonomicznej i przemysłowej istnieją klasy z językiem polskim. Szkolnictwo wyższe w języku polskim w tym kraju nie istnieje. I chyba nie byłoby uzasadnione.

A.M.P.: — *Gazety, radio, telewizja?*

T.W.: — To może się wszystko bardzo szybko zmienić, w związku ze zmieniającą się sytuacją ekonomiczną.

Dotychczas istniał tu niby-dziennik, to znaczy wychodzący co dwa dni *Głos Ludu*, do roku 1989 organ komitetu wojewódzkiego partii w Ostrawie, obecnie zaś pismo Zarządu Głównego PZKO wydawane przez *Deltę*, czyli dawne *Rude Pravo*.

Dla dzieci ukazują się dwa pisemka: *Jutrzenka* i *Ogniwo*. Mają one zadanie dopełnienia programów szkolnych, jako, że brakuje podręczników w języku polskim. Istnieje jeszcze dwutygodnik dla dzieci i młodzieży *Nasza Gazetka*, który nie tak dawno temu nazywał się pięknie *Gazetką Pioniera*. W końcu miesięcznik PZKO o zacięciu kulturalno-społecznym *Zwrot*.

Radio. Codziennie nadawana jest parominutowa audycja w

języku polskim przez rozgłośnię w Ostrawie. W sobotę są to natomiast półgodzinne magazyny. W telewizji nie ma polskiej audycji. Czasami udaje się przepchnąć nasze problemy, ale w ramach czeskiego programu.

To jest nasz dotychczasowy stan posiadania.

Teraz sytuacja jest mocno skomplikowana, dlatego, że siłą rzeczy prasa polska musi być deficytowa. Po prostu nakładów podnosić już się nie da, a te, które są aktualnie, nie mogą zapłacić kosztów produkcji. Wobec tego poszukuje się rozpaczliwie pieniędzy. Państwo nie za bardzo chce dopłacać, bo też nie za bardzo ma z czego.

A.M.P.: — *A rząd polski?*

T.W.: — Rząd polski?... nie interesował się dotychczas specjalnie naszymi sprawami. Zainteresowanie, które przedtem kierowane było na zachód, na strefę dolarową, teraz przesunęło się na wschód, ale znowu trochę za bardzo na wschód, i znowu z pominięciem naszych problemów. Dziś chodzi głównie o Polaków w Związku Sowieckim.

A.M.P.: — *Najmniej do tej pory powiedział Pan o organizacji, której jest Pan przewodniczącym, o Radzie Polaków. Może więc teraz kilka słów na ten temat. Kiedy powstała, jakie są jej cele? I czym się różni od organizacji, o której Pan wspominał, od PZKO?*

T.W.: — Tak zwana „aksamitna rewolucja” dużej części naszego społeczeństwa nie zaskoczyła...

A.M.P.: — *Spoleczeństwa polskiego w Czechosłowacji?*

T.W.: — Tak, oczywiście. Po prostu wielu z nas było zaangażowanych bezpośrednio w przerzut bibuły i informacji z kontrrewolucyjnej — jak się tutaj mówiło — Polski do Czechosłowacji. Dlatego też reakcja tych ludzi była błyskawiczna. Już w listopadzie 1989 roku powstała Sekcja Polska Forum Obywatelskiego i z inicjatywy tej sekcji zwołano ogólnoczechosłowacki zlot Polaków, bez względu na ich przekonania, na wiarę, na poglądy polityczne. Na tym zlocie została wyłoniona dziesięcioosobowa Rada Polaków, nie jako wielka organizacja z masą członków, lecz raczej jako parasol nad powstającymi lub reaktywującymi się organizacjami. Wspominałem o tym, że istniało Harcerstwo, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej; obecnie po-

wstały również takie organizacje, jak Stowarzyszenie Nauczycieli Polskich, nawiązujące do swojej tradycji przedwojennej, jak Macierz Szkolna, również istniejąca tutaj i dobrze pracująca przed wojną. Powstały stowarzyszenia dziennikarzy, literatów itp., itd.

Rada Polaków ma bronić interesów politycznych tych wszystkich organizacji, a jednocześnie koordynować ich działalność — abyśmy sobie po prostu nie wchodzili na odciski albo nie podejmowali tych samych problemów w tych samych terminach. Jest to działanie w jakiś sposób pionierskie, nie ma wydeptanych ścieżek. Zdarzają się na pewno jakieś błędy, ale wszystko się dopiero dociera. Niejako przewidując to, pierwszą kadencję ustalono na zlocie na rok, następne trwać mają trzy lata.

Dużym plusem Rady Polaków jest to, że praktycznie wszyscy jej członkowie są osobami czystymi politycznie i wiarygodnymi wobec organów kierownictwa tego kraju. Mamy dość duży kredyt zaufania zarówno ze strony rządu czeskiego, jak i federalnego.

A.M.P.: — *Poświęćmy może jeszcze kilka słów problemom Polaków, jako mniejszości narodowej w Czecho-Słowacji?*

T.W.: — Dużym naszym problemem, choć niezawinionym przez nas, jest niechęć w tym państwie do Polaków wywołana przez handlarzy, wywołana tym brudnym interesem, który kwitnie na granicach. Żyjemy w okolicach Cieszyna, który jest dość mocno uczęszczanym punktem granicznym. I niechęć do polskich handlarzy, szmuglerów, pijaków przenosi się w czeskim społeczeństwie na nas. To jest dla nas duży problem, którego niestety nie potrafimy rozwiązać. Liczymy na zdecydowane działania rządu polskiego.

Agresja — jeśli tak to można nazwać — polska w 1938 roku, również nie przez nas inicjowana i nie naszymi rękami robiona, wzbudziła niechęć do nas jako do grupy narodowościowej. Rok 1968 — to samo, bo polskie wojska weszły i „winni jesteście wy, Polacy żyjący tutaj”. Później „Solidarność”. My się cieszyliśmy, trzymaliśmy kciuki — no i byliśmy podwójnie podejrzani. My — jako grupa polska. Każdy obywatel tego państwa był potencjalnym kontrrewolucjonistą, a Polak w dwójnasób, bo mógł przenosić „miazmaty solidarnościowe”, jak się tutaj mówiło.

Kiedy nastąpił przewrót polityczny, liczyliśmy na to, że te niechęci się skończą — no i okazało się, że była to pomyłka.

Problemy ekonomiczne, problemy rynkowe, które narastają

— znajdują ujście w tym, że szuka się kozła ofiarnego. Oczywiście są to handlarze. No i znowu: kto jest winny? Oczywiście Polacy. A którzy Polacy są najbliższe? Oczywiście żyjący w Czechosłowacji. Wobec tego huzia na nich...

To jest nasz specjalny problem. Takiego nie mają ani Niemcy, ani Węgrzy żyjący w Czechosłowacji.

A.M.P.: — *A kontakty z krajem? Jak to wygląda? Czy istnieją, a jeśli tak, to czy są to kontakty nowe, czy stare?*

T.W.: — W epoce, która — miejmy nadzieję — bezpowrotnie minęła, formalne kontakty istniały tylko z błogosławieństwem organów partyjnych z jednej i drugiej strony. To wszystko było piękne, ładne, ale mało efektywne.

Jednakże niezależnie od nich istniały również kontakty nieformalne: rodzinne, osobiste i zawodowe. Ale też polityczne — czyli to, o czym już wspominałem: przenosiliśmy solidarnościową „zarazę” na ten teren.

Które z nich się obroniły, które były najlepsze? Trudno mi odpowiedzieć, bo każda z tych form kontaktowania się z ojczyzną przynosiła jakieś plusy, jakieś zyski. Ale jednocześnie każda z nich była w jakiś sposób obciążona. Oficjalna — koniecznością kłaniania się władzy i cenzurowania własnych działań. Osobista czy zawodowa — prywatnymi interesami, a polityczna — ciągłą groźbą dekonspiracji i represji.

Obecnie nie wygląda to dobrze, ale też nie beznadziejnie. To znaczy: widzimy serdeczność ze strony polskiej, przynajmniej niektórych grup. Ale widzimy również bezradność wynikającą przede wszystkim z kwestii ekonomicznych.

A.M.P.: — *No i na koniec sprawa najważniejsza: Czy jest Pan zadowolony z sytuacji mniejszości narodowych w Czechosłowacji, w szczególności oczywiście mniejszości polskiej?*

T.W.: — Trudno odpowiedzieć, czy jestem zadowolony. Jako człowiek, któremu dano mandat reprezentowania interesów tej grupy, muszę być ciągle niezadowolony. W momencie, gdybym powiedział, że jestem zadowolony, to by znaczyło, że uwiłem sobie gdzieś ciepłe gniazdeczko i uważam, że już jest fajnie.

Nie. Na pewno jest wiele do zrobienia. Z tym, że konstatuję parę spraw, które rokują duże nadzieje. Przede wszystkim jest to tendencja, która bardzo wolno, ale jednak coraz szerzej zaczyna funkcjonować. Mianowicie to, że Czecho-Słowacja — miejmy nadzieję — przestanie mniemać, że jest państwem dwóch narodów i dopiero gdzieś tam daleko małych mniejszości.

Że władze tego państwa, jego organy ustawodawcze, zaczynają rozumieć, że ten kraj jest wspólnym krajem wielu narodów. I to w zasadniczy sposób zmienia naszą sytuację. Nie jakieś mniejszości i jakaś większość, ale różne narodowości żyjące na tym terenie, współtworzące to państwo, jego historię, jego gospodarkę...

Mocno za tym trzymam kciuki i tu, w parlamencie czeskim, staram się czynić wszystko, by właśnie ten model wylansować.

Natomiast duże obawy wywołuje sytuacja ekonomiczna. Te wszystkie zmiany, te zapaści, które stoją przed państwem czecho-słowackim, niewątpliwie odbijają się na nas. I tu można stwierdzić, że bardzo przyjemnie i ciepłutko było za komunistów. Bo odpalali jakąś działkę i coś tam gwarantowali. A teraz to państwo niczego nie może zagwarantować, albo — programowo — nie powinno niczego gwarantować. Jeśli to państwo idzie w prawo, to nie powinno rozczulać się nad mniejszościami, ich problemami kulturowymi, socjalnymi. Czyli jest tu zasadniczy konflikt między przemianą polityczną...

(Tu urywa się nagranie z grudnia 1990)

NIE STARAMY SIĘ DZIAŁAĆ WYŁĄCZNIE DLA NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA...

ROZMOWA Z DANUTĄ BRANNĄ I TADEUSZEM WANTUŁĄ

Czeski Cieszyn, 12 sierpnia 1991

A. M. P.: — *Po prawie ośmiu miesiącach wznowiamy naszą rozmowę o Polakach w CSFR. Wtedy koniec taśmy przerwał nam rozmowę, ale tak się przecież umówiliśmy: rozmawiamy jak długo szpulka się kręci. Dziś jest z nami pani Danuta Branna, o której Pan wtedy wspominał. Zaczniemy może jednak od Pana, i to w miejscu, gdzie się tamta rozmowa urwała...*

T. W.: — Mówiłem wtedy o przemianach politycznych, które są — moim zdaniem, ale także i większości naszej grupy narodowej — bardzo pożądane. Jednakże kryje się w nich także sporo niebezpieczeństw, bo wchodzimy przecież na wzburzone wody polityki i ekonomiki.

Z jednej strony mamy więc uaktywnienie niewielkich, ale hałaśliwych grup nacjonalistycznych, z drugiej zaś żalosa sytuacja ekonomiczna, do której doprowadzili komuniści, odbija się czkawką również na nas. I w związku z tym nie bardzo można

liczyć na jakieś zagwarantowane pieniądze, na finansowe osłony dla naszego języka i naszej kultury.

Ale jest to konflikt, którego rozwiązanie leży w naszych rękach. Konflikt między bardzo pożądanymi przemianami w prawo, a zagrożeniami, które przed nami stoją.

Jest natomiast jeszcze jeden aspekt tego konfliktu: kwestia ustawienia się byłych i dzisiejszych działaczy i polityków. Widzę wielkie zagrożenie w naszym państwie, gdzie wielu byłych funkcjonariuszy i aparatczyków partii, widząc, że ich tratwa tonie, szybko przetrzuciło się na kolejną, bardzo smaczną ideologię, mianowicie na nacjonalizm. Jest to zjawisko bardzo groźne dla Słowacji, jest to również zjawisko już znaczące w Republice Czeskiej. Chodzi głównie o Ruch Morawsko-Sląski. Mamy tu do czynienia z bardzo niemądrym małpowaniem przez mniejszości tego, co dzieje się w grupach większościowych: czeskiej i słowackiej. Wyrazem tego jest działalność opozycyjnej partii Egyteles-Wspólnota, która sformułowała bardzo piękny program realizowania praw obywatelskich, praw wynikających z dokumentów kopenhaskich, paryskich, genewskich, ale w istocie jest to organizacja o tendencjach — moim zdaniem — nacjonalistycznych. Poza tym jest to organizacja, która personalnie, przynajmniej ta jej część, która działa na Śląsku Cieszyńskim, oparła się niejednokrotnie na ludziach — delikatnie mówiąc — skompromitowanych. Na swego posła wybrali kolegę Niedobę, który w komunistycznych czasach dwanaście lat już posłował. Kandydatów w wyborach lokalnych też wystawiali z „dobrego”, już sprawdzonego zestawu. I tu widzę zagrożenie: połączenie tendencji komunistyczno-lewackich z nacjonalistycznymi. A dla nas jest to wielki problem, bo ludzie, przynajmniej po części, są po prostu zdezorientowani. Z jednej strony popierają dążenie do pełnouprawnienia, z drugiej jednak szokuje ich to, że są to twarze znane już dosyć długo i niechlubnie. No a w obozie rządzącym budzi to nieufność, bo przecież nie siedzą tam ludzie niezorientowani.

DANUTA BRANNA: Jesteśmy obywatelami tego państwa, czujemy się obywatelami i chcemy korzystać w pełni z praw obywatelskich, równocześnie akceptując wynikające z tego obowiązki. Jako przedstawiciele mniejszości powinniśmy tworzyć lobby działające dla utrzymania, rozwijania i opracowania legislacyjnego praw mniejszości i w ogóle praw obywatelskich.

T. W.: — Sądzę, że Dance Brannej w Zgromadzeniu Federalnym i mnie w parlamencie czeskim w jakiś sposób się to udaje.

A.M.P.: — *W poprzedniej rozmowie mało miejsca poświęciliśmy PZKO, a Państwo oboje należycie do tego związku...*

D.B.: — Jestem bodajże 16-17 lat członkiem PZKO, które wtedy było jedyną organizacją polską, jaka mogła tu działać. Jak na razie, pomimo pewnych nieporozumień z kierownictwem związku, nie zrezygnowałam z członkostwa, bo uważam, że niezależnie od polityki zarządu, jego członkowie zrobili masę dobrych i ważnych rzeczy.

No a do Rady Polaków zostałam wybrana na drugą kadencję.

T.W.: — Ja zrezygnowałam z członkostwa w Radzie Polaków, by usunąć ewentualne źródło konfliktów, bo krążyły takie opinie, że jestem politycznie „zbyt progresywny”. Tym niemniej trzymam palce Radzie Polaków i — w miarę swoich możliwości — służę radą i czynem.

Jestem członkiem PZKO od roku 1965. W tej karierze udało mi się być członkiem władz najwyższych tego związku i udało mi się być jedynym członkiem, który został dyscyplinarnie zwolniony z tych władz. Było to w latach osiemdziesiątych, w naszej republice obowiązywała totalna krytyka wszystkiego co jest w Polsce, a przede wszystkim „Solidarności”. A ja pozwoliłem sobie wtedy wystąpić przeciw prezesowi, towarzysowi Kądziołce. Uważam to za najważniejsze odznaczenie życiowe.

Tym niemniej członkiem PZKO pozostałem. Zgadza się z Danką Branną, że rzeczywista robota tego związku w poszczególnych gminach, wioskach, miastach, jest bardzo potrzebna, bardzo pożyteczna i bardzo wiele wniosła. Natomiast ambicje polityków były żałosne i szkodziły naszej sprawie. I dystansuję się od działań ówczesnego zarządu głównego, mam również zastrzeżenia co do składu personalnego i pociągnięć obecnego.

A.M.P.: — *Fenomen PZKO raz jeszcze — w oczach zwykłych członków. I stosunek tychże ludzi do nowych inicjatyw, nowych, lub odrodzonych, organizacji?*

D.B.: — To właśnie ci ludzie, szeregowi członkowie PZKO, zakładali nowe organizacje, nie rezygnując jednak z przynależności do związku. Praca w PZKO to bazowanie na naszych tradycjach, rozwijanie folkloru, prowadzenie zespołów, organizowanie polskich uroczystości. Organizacje takie, jak Macierz Szkolna, mają inne, bardzo konkretne cele. I dlatego ta nowa

działalność jest dla tych ludzi często ważniejsza, niż praca w PZKO.

A.M.P.: — *Dlaczego to moje pytanie. Otóż jasnym jest, że działalność na rzecz mniejszości rzadko kiedy jest w stanie sama się finansować. Zazwyczaj wymaga dotacji. Tutaj, na Śląsku, wszystkie pieniądze płynęły dotychczas przez PZKO. Ale dziś jest przecież więcej chętnych, czy raczej potrzebujących. Jak to więc teraz wygląda?*

T.W.: — Między innymi po to została powołana Rada Polaków i jej ciało doradcze, Rada Przedstawicieli, czyli delegatów wszystkich polskich organizacji. I tam muszą zapadać decyzje, jak się będziemy dzielili tym, co mamy. To są nowe problemy, tego będziemy się musieli nauczyć, ale chyba nie należy tej sprawy wyolbrzymiać.

A.M.P.: — *Ale czy z tym zgadza się PZKO?*

T.W.: — Na pewno nie jest to problem kochany przez władze PZKO, ale będą one musiały przyjąć to do wiadomości. Jeżeli odłączają się od nich poszczególne obszary działalności, to trzeba będzie odłączać także ich finansowanie.

Na rok 1991 udało się uzyskać ze strony rządu czeskiego dofinansowanie ukierunkowane na Radę Polaków, i Rada Polaków przekazuje te pieniądze według argumentacji poszczególnych organizacji.

D.B.: — Chciałabym jeszcze podkreślić fakt, że takie rozwiązanie, to znaczy Rada Polaków i Rada Przedstawicieli, przyjęte zostało bardzo przychylnie przez naszą ekipę rządzącą i wręcz zaproponowane jako modelowe innym mniejszościom mieszkającym w Czecho-Słowacji. Jak na razie podobne rady Niemców, czy Węgrów jeszcze się nie utworzyły, ale wydaje się, że w przyszłości będzie to nieodzowne, bo konieczna jest jakaś reprezentacja, która rozmawia z rządem. Nie liczymy tutaj na posłów, którzy popierają konkretne orientacje polityczne, ale raczej na takie ponadpolityczne reprezentacje, które mają mandat zaufania całych grup narodowych.

A.M.P.: — *Kontakty z krajem. O tym już rozmawialiśmy z panem Wantułą w grudniu, ale chciałabym jeszcze usłyszeć Pani zdanie w tej sprawie. No i oczywiście interesuje mnie, co się zmieniło w ciągu tych ostatnich miesięcy?*

D.B.: — W lipcu ubiegłego roku po raz pierwszy rozmawialiśmy z polskim rządem o Polakach w Czecho-Słowacji. Od tego czasu współpracujemy z ambasadą i z przyjeżdżającymi tu przedstawicielami polskich władz. Sądzę, że to będzie owocowało w przyszłości.

Muszę tutaj bardzo pozytywnie wyrazić się o ministerstwie kultury i sztuki, które w konkretny sposób angażuje się w nasze sprawy. Sądzę też, że Polacy w Czecho-Słowacji będą mieli możliwość nieformalnego opiniowania międzypaństwowych umów polsko-czesko-słowackich. Jestem bowiem przekonana, że mamy trochę inną optykę i nasze spojrzenie i przekazanie naszych wniosków może być dla współpracy między obu państwami bardzo korzystne.

A.M.P.: — *Czyli nie tylko branie — ze strony Polaków na Zaolziu — ale i dawanie swoich doświadczeń?*

D.B.: — Jednym z głównych założeń Rady Polaków jest tworzenie pomostu między Polską i Czecho-Słowacją. To znaczy nie staramy się działać wyłącznie dla naszego małego społeczeństwa tutaj, ale i na korzyść ogólnego poprawienia stosunków międzypaństwowych i dla lepszego poznania się naszych narodów.

T.W.: — Zresztą nie jest to nic nowego. Jesteśmy członkami Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, która bardzo pomogła naszej listopadowej rewolucji, choćby październikowym festiwalem we Wrocławiu.

Ale to tylko jeden z celów działania Rady Polaków. Ja bym chciał zwrócić uwagę na jeszcze jeden, bardzo ważny. Nie chcemy naszych — bogatych przecież — doświadczeń w pracy narodowościowej, językowej, kulturalnej, zachowywać tylko dla siebie. Zaproponowaliśmy to w Rzymie, na spotkaniu kraj-emigracja, wszystkim innym polonom, a szczególnie polonom wschodnim. Nie stać nas na to, żeby finansowo wspomagać naszych rodaków zza Buga czy innych rzek, natomiast możemy przekazać wcale bogaty kapitał naszych doświadczeń. I to się właśnie teraz, gdy rozmawiamy, realizuje na Śląsku Cieszyńskim. Jest to konfederacja Polaków z Europy Środkowej i Wschodniej z udziałem obserwatorów z Europy Zachodniej.

A.M.P.: — *Dla nich wszystkich — jak zdążyłem się zorientować z licznych rozmów — ważne jest również doświadczenie Polaków z Zaolzia we współżyciu z Czechami. Tam gdzie spotykają się na tej samej ziemi różne narody, rodzą się też narodowe waśnie,*

nacjonalizmy, szowinizmy. Jak zaś wygląda to tutaj?

D.B.: — Oczywiście spotykamy się z takimi przejawami, ale są to zjawiska wyjątkowe. Bardzo przykre, ale marginalne i nie przykładałabym do nich zbyt wielkiej wagi. Myślę, że o ile nasza grupa społeczna będzie prężna, o ile ludzie spośród nas będą dobrymi obywatelami tego państwa, czy — jeszcze lepiej — dobrymi mieszkańcami danej gminy, to te konflikty same staną się przeszłością.

A.M.P.: — *A szowinizm polski, na przykład tęsknoty za rokiem 1938?*

T.W.: — Właśnie chciałem o tym powiedzieć. To, o czym mówiła pani Branna, jest swego rodzaju naszym elementarzem, ale mamy świadomość, że jest to ideał, do którego dążymy. Oczywiście napięcia występują po obu stronach. Rada Polaków stara się wygaszać te drobne pożary po naszej stronie. Tym niemniej nie zawsze się to udaje, nie zawsze mamy możliwości, nie zawsze leży to w naszej gestii. Wiem na przykład, że istnieje w Warszawie bardzo pożyteczna w swoich założeniach instytucja: Fundacja Słowa Polskiego dla Zaolzia. Ale równocześnie wiem, że wokół tego stowarzyszenia grupują się ludzie nastawieni rewizjonistycznie. I to szkodzi naszej sprawie. Pan dr Staniek, Zaolziak żyjący w Warszawie od trzydziestu lat, którego rzutkość, serdeczność oceniam wysoko, jakby stracił kontakt z naszą rzeczywistością. Jego deklaracje, jego wystąpienia, absolutnie nie przystają do tego, co jest naszym dążeniem. To znaczy: wyciszenie sporów i szukanie punktów wspólnych. Pan dr Staniek raczej widzi sprawę odwrotnie: jakieś mrzonki o przesuwaniu granic... Dla nas jest to po prostu nierealistyczne, wręcz szkodliwe.

D.B.: — Akceptuję całkowicie to wszystko, co powiedział pan Wantuła. Widzę tu jeszcze działalność ruchu Wspólnota-Egyteles jako niebezpieczną, bo jest ona odbierana jako nacjonalistyczna i daje podstawy naszym współobywatelom do przyjęcia postawy obronnej. Ale jestem optymistką i sądzą, że uda nam się to wszystko załagodzić.

A.M.P.: — *I już ostatnie pytanie: spojrzenie z Pragi. Co się zmienia w ustawodawstwie federalnym i republikańskim w kwestiach dotyczących mniejszości i czy są to zmiany pozytywne?*

D.B.: — Zgromadzenie federalne przyjęło ustawę o podziale

kompetencji między rząd federalny i rządy republik. Udało nam się — wspólnie z posłami narodowości węgierskiej — umieścić w tej ustawie paragraf mówiący o tym, że zasadnicze rozwiązanie problemów narodowościowych, z punktu widzenia prawa, leży w gestii rządu federalnego, natomiast konkretne problemy, na przykład szkolnictwa, kultury, należą do rządów republik. Punkt drugi, to Karta Praw i Swobód Człowieka i Obywatela przyjęta przez parlament federalny na początku tego roku, która ma rozdział dotyczący praw mniejszości narodowych i etnicznych. Mówi się tam o prawie do języka ojczystego i do kształcenia oraz informacji w tym języku, o prawie do rozwijania tradycji kulturalnych i — punkt, który uważam za bardzo ważny — prawie do współdziałania w konkretnych pracach legislacyjnych dotyczących mniejszości.

Czyli zmiany legislacyjne są pozytywne, z tym że trzeba będzie jeszcze bardzo wiele zrobić w celu ich realizacji.

T. W.: — Problem leży w legislatywnej powolności, czyli braku przepisów wykonawczych. Ale jest to bolączka — jak sądzę — tylko doraźna, na dzień dzisiejszy.

Istnieje w świadomości ekipy rządzącej. To, że Radę Polaków przyjął prezydent państwa, Vaclav Havel, że na zloty Polaków przyjeżdża premier czeski Petr Pithart, że na konferencje, które organizujemy, i rząd, i urząd prezydencki przysyłają swoich przedstawicieli, jest potwierdzeniem tego, że nie jest to chyba działanie pozorne.

A. M. P.: — Czyli rzeczywiście ten kraj, Czecho-Słowacja, to nie tylko kraj dla Czechów i Słowaków?

D. B.: — Jestem przekonana, że tak będzie.

A. M. P.: — Serdecznie dziękuję Państwu za rozmowę.

Rozmawiał Aureliusz M. PĘDZIWOŁ

Rozmowa z prof. Jerzym Zubrzyckim

ADAM WARZEL: — *Panie Profesorze, w jakim stopniu zasadnicze przemiany polityczno-gospodarcze, zachodzące w kraju od 1989 roku, zmieniły oblicze ideowe emigracji polskiej?*

Jerzy ZUBRZYCKI: — Wraz z wyborem Tadeusza Mazowieckiego na stanowisko premiera, emigracja zaczęła stopniowo tracić charakter niepodległościowy. Ukoronowaniem tego przeobrażenia stały się wolne wybory prezydenckie i łączące się z tym przekazanie insygniów prezydenckich do kraju przez prezydenta Rządu Polskiego na Uchodźstwie.

Oba te wydarzenia zakończyły niezwykle istotny rozdział w historii powojennej emigracji polskiej. Aby to docenić, trzeba sobie zdawać sprawę, że siłą spajającą powojenną emigrację był jej wyraźny profil polityczno-niepodległościowy i bezkompromisowe odrzucanie jakiegokolwiek współpracy z władzą komunistyczną.

A. W.: — *Było to chyba dobrze widoczne w czasie wyborów z 1989 roku, które jako nie w pełni demokratyczne zostały ostentacyjnie zbojkotowane przez liczne środowiska emigracyjne.*

J. Z.: — Tak, po zakończeniu działalności niepodległościowej wiele organizacji emigracyjnych znalazło się w sytuacji pustki ideowej. Perspektywa wzięcia udziału w wyborach, do czego nawoływał kraj, była odbierana przez środowiska niepodległościowe nie tylko jako sprzeniewierzenie się zasadzie niepodległości ale także jako zagrożenie swego stanu posiadania w sensie sprawowania władzy nad emigracją. Presja antywyborcza była na tyle silna, że osoby które decydowały się przystąpić do wyborów były nierzadko ostracyzowane. To dowodzi pewnej prawidłowości socjologicznej: gdy zmniejsza się ryzyko działalności politycznej zanika też zasada *fair play*. Oczywiście były i tu chlubne wyjątki, takie choćby jak Kongres Polonii Amerykańskiej, który nie przeciwstawił się udziałowi w wyborach.

A. W.: — *Wspomniał Pan o etosie niepodległościowym polskiej emigracji. Na ile on był silny i jaki miał wpływ na funkcjonowanie życia wewnątrz-organizacyjnego Polonii?*

J.Z.: — Był to etos niezwykle silny, co było zrozumiałe zważywszy strukturę tej emigracji. Tworzyło ją w początkowej fazie ćwierć miliona żołnierzy sił zbrojnych na Zachodzie, którzy po wojnie nie zgodzili się powrócić do zniewolonej ojczyzny oraz mniej więcej taka sama liczba tzw. Dipisów (*Displaced Persons* — wysiedleńcy) czyli robotników przymusowych w Niemczech, którzy również nie przyjęli oferty repatriacji do komunistycznej Polski.

Etos niepodległościowy działał bardzo sprawnie w dziele mobilizacji patriotycznej naszej emigracji. Na tym etosie wspierał się emigracyjny *esprit de corps*. Uczestnictwo w narodowych świętach, akademiach i prowadzenie szerokiej działalności odświętno-rocznicowej pozwalało emigracji lepiej znosić alienację na obcej ziemi, dawało poczucie przynależności i kontynuacji kulturowej.

Nie był to jednak model, który sprzyjałby budowaniu na Zachodzie polskiej siły politycznej. Był zanadto polonocentryczny i zwrócony do wewnątrz.

A.W.: — *Przyzna Pan jednak, że emigracja stworzyła wiele cennyh inicjatyw, że wymienię tylko Instytut Literacki w Paryżu czy Studium Spraw Polskich w Stanach Zjednoczonych, które stanowią przykłady dobrze działającego lobby polskiego na Zachodzie.*

J.Z.: — Tak, ale instytucje o których Pan wspominał to zaledwie kilkanaście czy kilkadziesiąt oddanych sprawie osób. A co stało się z resztą?

Niewątpliwie emigracja stworzyła bogatą sieć struktur organizacyjnych takich jak parafie, kluby, biblioteki, zespoły tańca czy teatru. W zdecydowanej większości działają one jednak dla potrzeb wewnętrznych. Nie potrafiliśmy niestety stworzyć, poza chlubnymi wyjątkami, instytucji o charakterze informacyjnym działającym na potrzeby społeczeństw krajów osiedlenia. Zaniedbano również wysiłków zmierzających do zakładania katedr języka polskiego na uniwersytetach zachodnich.

Pisze o tym Miłosz w „Roku Myśliwego”, pytając dlaczego w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszka blisko 6 milionów osób przyznających się do pochodzenia polskiego, jest zaledwie kilka takich katedr — a być może już tylko jedna prowadzona przez Barańczaka na Harvardzie? Studia slawistyczne w Stanach Zjednoczonych to studia rusycystyki. Literatura polska zajmuje w nich miejsce podrzędne.

Nielepiej wygląda sytuacja w Australii, gdzie jedyna placówka uniwersytecka prowadząca wykłady z języka i historii polskiej, mieszcząca się na Macquarie University, boryka się z olbrzymimi trudnościami etatowymi, co praktycznie uniemożliwia rozwój całego tego ośrodka. A przecież wystarczyłoby

zorganizowana akcja ośrodków polonijnych, aby trudnościom zaradzić.

A.W.: — *Wydawałoby się, że dość spójna struktura organizacyjna emigracji polskiej i jasno zdefiniowane centrum życia politycznego, jakim był Londyn, powinny przyczynić się do skutecznego rozwiązania strategii działań polonijnych na zewnątrz.*

J.Z.: — Niestety stało się odwrotnie. Hierarchicznie ustawione życie organizacyjne Polonii, w której Londyn jako siedziba Rządu na Uchodźstwie pełnił rolę centrum, powodowało, że wszelkie zatargi dziejące się w Londynie były natychmiast odczuwane przez ośrodki polonijne w całym świecie zachodnim.

Niezwykle szkodliwe okazało się wieloletnie rozbitcie na tle sukcesji po prezydencie Zaleskim. Zjednoczenie wokół nowego prezydenta, Raczyńskiego, przyszło zbyt późno aby wykorzystać zapal do pracy społecznej i działalności politycznej byłych żołnierzy i Dipisów.

Kiedy mówię o niewykorzystanych szansach polskiej emigracji w prowadzeniu otwartej działalności propagującej na zewnątrz kulturę polską i tzw. polską rację stanu, przychodzi mi na myśl koncepcja „kosmopolaka”, o której pisał wiele lat temu w *Kulturze* paryskiej nieodżałowany Juliusz Mieroszewski. Według tej teorii, Polacy mieszkający za granicą mogliby odegrać pozytywną rolę właśnie jako Polacy, ale wprawdzie muszą wyjść z emigracyjnego getta i stać się wartościowymi członkami krajów osiedlenia.

Ta mądra koncepcja wykorzystywana jest w praktyce przez przyjaciół Żydów, Ukraińców i Litwinów a ostatnio także Greków i Wietnamczyków przebywających na emigracji. Żydzi nie mieli nigdy wątpliwości, że muszą stać się najpierw wpływowymi i zamożnymi Amerykanami czy Australijczykami, aby skutecznie przysłużyć się sprawie Izraela. Tymczasem u nas ciasno pojmowany nacjonalizm obraca się przeciwko nam. Moje pokolenie nie zrozumiało, że sens i los polskiego patriotyzmu rozstrzyga się na terenie międzynarodowym a nie na akademiach w salach domów polskich.

A.W.: — *Jak wygląda kwestia włączenia w działalność emigracyjną drugiego pokolenia Polaków, a więc tych którzy urodzili się już na obczyźnie?*

J.Z.: — Niestety nienajlepiej. Pokolenie urodzone za granicą ma inną perspektywę widzenia świata niż ich rodzice. Dla starszego pokolenia, perspektywą tą była przeszłość, pamięć poniesionych ofiar i okres dwudziestolecia. Drugie pokolenie, oderwane od rzeczywistości polskiej, nie znajduje w etosie niepodległościowym

z jego często zawiłą symboliką narodową, wartości atrakcyjnych. Nic też dziwnego, że młodzi nie garną się do pracy społecznej, która pozostaje przede wszystkim domeną ludzi urodzonych i wychowanych w Polsce. W Australii możemy pod tym względem mówić o prawdziwym kryzysie. Wśród garstki wybitniejszych działaczy emigracyjnych, nie ma tutaj żadnego przedstawiciela drugiej generacji.

Przy tej okazji chciałbym poruszyć kwestię, która ma w moim przekonaniu znaczenie centralne dla analizy dokonań emigracji powojennej. Jest nią sprawa asymilacji i wynarodowienia.

Problemem mojego pokolenia było to, że nie mogło zrozumieć, że aby lepiej przysłużyć się Polsce, emigranci muszą zapuścić korzenie w kraju osiedlenia i stać się pomostem pomiędzy obu kulturami, a więc być kosmopolakami wg słów Mieroszewskiego. Zbyt często postawa taka, którą nazwać można asymilacyjną, była jednoznacznie utożsamiana z wynarodowieniem.

Ofiarą takiego sposobu myślenia padło właśnie drugie pokolenie. Postawa antyasymilacyjna zamiast uchronić drugie pokolenie od wynarodowienia, jedynie je przyspieszyła. Trzeba pamiętać, że człowiek tkwiący w wąsko pojętym nacjonalizmie wynaradawia się trudno ale raz przekroczywszy próg, a to właśnie stało się w pokoleniu urodzonym już za granicą, wynaradawia się żywiołowo.

Obraz Polski jakie moje pokolenie i pokolenia poprzednie przekazywały nowemu pokoleniu oraz społeczeństwom krajów osiedlenia często ograniczał się do pokazywania własnych tańców, strojów czy potraw narodowych. Nawet postaci tak wybitne jak Kościuszko czy Pułaski były przez nas mitologizowane na użytek zewnętrzny i „dzięki nam bytują jak malowanki” jak mówił Leopold Tyrmand. A przecież nasza działalność nie powinna skupiać się na budowaniu Kościuszki pomników, niewiele bowiem osób wie o tej albumowej postaci w sukmanie, ale na przedstawianiu go jako człowieka, którego wizja wolności i równości przerastała miarę współczesnych po obu stronach Atlantyku.

A.W.: — *Jak z perspektywy swojego długoletniego doświadczenia zawodowego ocenia Pan Profesor pozycję społeczno-zawodową emigrantów polskich w krajach zachodnich?*

J.Z.: — Najlepiej na to pytanie odpowiedzieć w ujęciu historycznym. Jeśli weźmiemy pod uwagę wczesną emigrację do Stanów Zjednoczonych, to trzeba powiedzieć, że powierzchowna asymilacja tych ludzi stwarzała nie tylko ciasnotę wartości — mogli czerpać tylko ze swej skostniałej polskości — ale również utrudniała awans społeczny jednostek i grup. Polscy emigranci tkwiąc

w gettach Chicago, Detroit i Brooklynu nie mieli warunków wspinania się po drabinie społecznej kraju osiedlenia. Dopiero trzecie i czwarte pokolenie Polonii wchodzi w to życie polityczne, gospodarcze i kulturalne Ameryki na równych prawach.

Oczywiście inaczej wygląda sytuacja nowej, tzw. posolidarnościowej emigracji. Ludzie ci nie tylko lepiej rozumieją, że drogą do sukcesu jest postawa asymilacyjna o której wspominałem powyżej, ale są także w swojej masie lepiej wykształceni i przygotowani zawodowo, co niewątpliwie ułatwia start. Zmieniła się także, co ma zasadnicze znaczenie, polityka krajów osiedlenia wobec emigrantów. Jest ona obecnie znacznie bardziej otwarta i tolerancyjna wobec odmienności kulturowej różnych grup etnicznych. Doskonałym przykładem takiego właśnie podejścia jest prowadzona przez Australię polityka wielokulturowości.

A.W.: — *Czy w tej nowej rzeczywistości wielokulturowej emigracja polska będzie miała większe szanse na wybicie się?*

J.Z.: — Odpowiedź na to może być jedna: jeśli chcemy po sobie pozostawić trwałe ślady, musimy podkreślać to, co nazwać można polskim universum, a więc nasze najlepsze i najtrwalsze wartości. Szanse na wybicie będziemy mieli wówczas, gdy zachowując świadomość swoich korzeni w kulturze macierzystej będziemy potrafili przyswoić sobie w pełni styl życia i kultury kraju osiedlenia. Emigracja jest bowiem prawdziwą szkołą życia, w której powinien się wykształcić człowiek świadomy sensu przebywania na obczyźnie, obywatel dwóch kultur i dwóch społeczności. Są to zadania bardzo trudne. Rozumiał to dobrze wygnaniec ateński z czasów Peryklesa, skarżąc się: „Jako banita dźwigam podwójny ciężar istnienia”. Jednakże ciężar ten jest także bogactwem życiowym. Trzeba go dźwigać z roztropnością a odegra wówczas pozytywną rolę w życiu jednostki i społeczności.

A.W.: — *Dziękuję bardzo za rozmowę.*

Wywiad przeprowadził Adam WARZEL

JERZY ZUBRZYCKI ur. w 1920 r. w Krakowie. Służba wojskowa w AK, we Włoszech i Wielkiej Brytanii. Emerytowany profesor wydziału socjologii w Australijskim Uniwersytecie Narodowym. Przez wiele lat przewodniczył Australijskiemu Komitetowi Planowania Społecznego i Australijskiej Radzie do Spraw Etnicznych. Uznany autorytet w dziedzinie socjologii procesów emigracyjnych. Jest m.in. autorem pracy na temat emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii.

Sąsiedzi

Nowa ugoda polsko-ukraińska w Warszawie

Po raz pierwszy od siedemdziesięciu z górą lat w Warszawie załopotaly ukraińskie flagi narodowe. Przy spotkaniu parlamentarzystów przed dwoma laty w Jabłonnie nie mogło być nawet mowy o tym. Teraz nastaly inne czasy i choć zbliżenie między Kijowem i Warszawą nie toczy się w tempie, jakiego sobie życzą starzy i nowi zwolennicy naszej wspólnej sprawy, to mimo to trzeba bezstronnie przyznać, że ostatnio zarysowuje się pewien postęp. Węgry co prawda wyprzedziły Polskę w tym dziele tak wydatnie, że stały się obecnie przodującym partnerem Ukrainy. Również z Turcją kształtuje się współpraca w koncepcji basenu Morza Czarnego. Najwydatniej rozwijają się oczywiście tak zwane horyzontalne stosunki pomiędzy republikami. Jedynie z Mołdawią, a na skutek tego również z Rumunią, trwają stale napięcia i dotychczas Kijów ani z Kiszyniowem, ani z Bukaresztem nie zdołał dojść do normalizacji stosunków, chociaż na wiosnę, po wizycie rumuńskiego ministra spraw zagranicznych Nastase w ukraińskiej stolicy, zapowiadała się poprawa.

Ale Polska zajmuje, zdaniem przewodniczącego parlamentu, Leonida Krawczuka i ministra spraw zagranicznych, Anatola Zlenka, zaraz po Rosji centralną pozycję w koncepcji niezawisłego Kijowa. Wyrazem tego były starania o podpisaną w październiku ubiegłego roku tak zwaną Kijowską Deklarację. Jest to doniosły dokument międzypaństwowy i stanowił na ten okres czasu bardzo ważne posunięcie w sensie dwutorowej czy paralelnej dyplomacji ministra Skubiszewskiego. O taką dyplomację upominał się niejednokrotnie Zbigniew Brzeziński i zapowiadał bliską zmianę w polityce amerykańskiej w wywiadach udzielonych na wiosnę prasie ukraińskiej, *Hołos Ukrainy* w Kijowie i *Mołoda Hałyczyna* we Lwowie. Niestety zapowiedź była przedwczesna i zarówno prezydent Bush jak i jego minister spraw zagranicznych nie poszli tak daleko. A na skutek tego Polska pozostała w tych wysiłkach jedynie we współnocy z Węgrami.

Potem zdawało się, że Warszawa jakby się przestraszyła własnej odwagi. Możliwe, że na wahnięcia wpłynęły też wewnętrzne polskie zaburzenia polityczne. Doszło też do znanych wypadków wojującej nietolerancji polskich katolików wobec swych grekokatolickich współwyznawców w Przemyślu. To smutne wydarzenie nie zdobyło na szczęście rozgłosu na całej Ukrainie, ale pozostając wybuchem fanatyzmu w zasięgu prowincjonalno-regionalnym, nie wpłynęło pozytywnie na całokształt stosunków. Gorzej, że w prasie polskiej zaczęły się ukazywać coraz częściej głosy przestrogi przed afiszowaniem się przyjaźnią z Ukrainą, a nawet porady w sensie montowania aliansu polsko-rosyjskiego przeciwko Ukraińcom, chorym rzekomo na ciągotki proniemieckie. Spuszczony ze smyczy niejaki Wilczur, który od dawna odznaczał się niesolidnością w swych historiozoficznych opracowaniach, oskarżył Ukraińców o szyskanie podziemia. To samo wyrabiał nadal stary klient sowieckich służb specjalnych, jeszcze z lwowskich czasów, Edward Prus.

Niestety polska prasa niezależna, dawniej zainteresowana dziełem współpracy z Ukrainą, jakby straciła te sprawy ze współczesnego pola widzenia. Dopiero lubelska konferencja intelektualistów polskich, białoruskich, litewskich i ukraińskich pod przewodnictwem Jerzego Kłoczowskiego dała nowy impuls, a zaraz po tym kongresie doszło do podpisania bardzo ważnej umowy międzypaństwowej o wymianie młodzieży. Jednak — zarówno aspekty spotkania w Lublinie, jak też doniosłość tego nowego układu Ukrainy z Polską nie znalazły godnej swego znaczenia oceny i poparcia w polskich środkach informacji. Dotyczy to niestety również moich ziomeków we Lwowie i w Kijowie.

W takiej sytuacji nasze kraje zostały zaskoczone sierpniowym trzęsieniem ziemi dotychczasowego imperium. Ukraińscy politycy postanowili zrazu po ogłoszeniu niepodległości przejść do ofensywy dyplomatycznej celem nawiązania stosunków z zagranicą. A ponieważ z Polską trwały już rokowania o podpisanie całego pakietu układów podobnych do traktatów podpisywanych w czerwcu z Węgrami, pierwsza droga delegacji niepodległej Ukrainy zawiadła do Warszawy. Jednak Kijów sam sobie utrudnił tę misję uzależniając — zupełnie niepotrzebnie — procedurę niezawisłości od ponownego referendum w dniu 1 grudnia. I właśnie ta barykada pokrzyżowała plany delegacji w rokowaniach Anatola Zlenka wraz z Dymytrzem Pawlyczko i Jurijem Szczerbakiem z ministrem Krzysztofem Skubiszewskim w dniach od 6-go do 8-go września w Warszawie. Udało się jednak znaleźć kompromisowe rozwiązanie w postaci wymiany nadzwyczajnych ambasadorów. Ważne, aby na te stanowiska przyszli kompetentni i energiczni ludzie. Ich zadaniem będzie przygotowanie postanowień przyszłego podstawowego traktatu o sąsiedztwie, współpracy, konwencji mniejszościowej. Trzeba koniecznie utworzyć ośrodki nauki i kultury w Warszawie i Kijowie.

List z Kijowa

NIEPODLEGŁOŚĆ Z TRUDNOŚCIAMI

Żółto-niebieską tęczą narodowej flagi toczy się po Ukrainie rap-sodia niepodległości. Na Placu Niepodległości, który do niedawna nazywał się Placem Rewolucji Październikowej, trwa permanentne forum dyskusyjne. Główny temat: niezadowolenie z powolnego tempa budowania struktur państwowych. Toczą się spory młodych i starych o to, czy iść ku przyszłości w pojedynkę, czy wstępować w konfederacyjne związki z innymi. Na wzniesieniu naprzeciwko Placu Niepodległości wciąż jeszcze stoi monumentalny, wykuty z czerwonego granitu Lenin, odgradzony od gniewnego tłumu parkanem. Pomnik i płot upstrzone napisami pełnymi obelg i kpin.

A Chruszczatykiem płynie tłum kijowian, rozśpiewany, roz-zuchwalony, niefrasobliwy. Jarzą się w jesiennym słońcu złote kopuły Ławry i Świętej Zofii, i w tej złotej poświacie jest coś odświeżającego, jakby muzyka poezji „Słonecznych klarnetów” Pawła Tyczyńskiego. Ludzie wciąż jeszcze są jakby w transie. Nie mogą uwierzyć, że niepodległość przyszła nagle bez strzału i przelewu krwi. Powinniśmy tym zamachowcom w Moskwie postawić pomnik — powiada we Lwowie Stepan Kurpil, redaktor dziennika *Mołoda Hałyczyna* — bez nich zgniła i spróchniała gorbaczowowska *pierestrojka* byłaby się jeszcze latami ciągnęła, demoralizując ludzi.

Młody dziennikarz lwowski ma rację. Już dawno odczuwało się martwość pseudoreformy. Gorbaczow i jego ekipa utracili dawną siłę wizji lepszego socjalizmu. Rozkład imperium stawał się namacalny. A z drugiej strony nikt nie mógł przewidzieć, jak wyzwolić kraj z pęt komunistów i kagebistów.

Euforia pierwszych dni wolności już niedługo minie. Zacznie się mozolny trud budowania własnej państwowości. Na razie przyjemnie oglądać opieczętowane biura komunistycznej partii. Wyniki badań specjalnej komisji parlamentarnej w sprawie powiązań aparatu ukraińskich komunistów z centrum zamachowców w Moskwie są, mimo zniszczenia wielu dokumentów, jednoznaczne. Nawrót do zamordyzmu i odbudowy scentralizowanego imperium był wyraźnie zaplanowany. Spisy osób przeznaczonych do likwidacji i wywózki zachowały się tylko fragmentarycznie. Ale nie ulega wątpliwości, że zagrożona była elita demokratyczna.

Rugowanie skompromitowanych aparatczyków odbywa się w ramach decyzji parlamentu. Twierdzenia komunistów o rzekomym polowaniu na czarownice są wyssane z palca. Pamiętając, jakich potwornych strat zaznała Ukraina w ciągu rządów czerwonej dykta-

tury, można się albo dziwić umiarowi ludzi i instytucji, albo wyrażać uznanie za tyle wyrozumiałości wobec prawa... A może ten gwałtowny przełom tak wszystkich zaskoczył, że nie było ni czasu, ni okazji do wybuchu emocji.

Zresztą od razu po ogłoszeniu niepodległości doszło do konfliktu z Rosją Jelcyna o granice. Ukrainę aż zatkało. Nikt się tego nie spodziewał. Wszyscy wierzyli w nienaruszalność traktatu o współpracy, równouprawnieniu i poszanowaniu granic z listopada ubiegłego roku. Na szczęście kilku zręcznych polityków ukraińskich i rosyjskich, jak minister i szef Partii Zielonych, Jurij Szczerbak z Kijowa, Aleksander Ruckoj z Moskwy i Anatol Sobczak z Petersburga, z miejsca w długich nocnych rokowaniach zażegnali pierwszy niebezpieczny konflikt po przewrocie.

Ale ślady tego zatargu pozostały. Pryszał mit triumwiratu trzech mocnych ludzi: Jelcyna w Rosji, Krawczuka na Ukrainie i Nazarbajewa w Kazachstanie. Ukraińcy przeżyli ten krótki, ale gwałtowny spór jako niesprawiedliwość. Kijów prowadzi najbardziej liberalną politykę narodowościową, bez porównania bardziej otwartą niż państwa bałtyckie czy republiki kaukaskie lub środkowo-azjatyckie. Stąd dotychczas nie było żadnych konfliktów z dwunastomilionową mniejszością rosyjską. Nie doszło też do powstania takich ruchów odśrodkowych wśród mniejszości rosyjskiej jak w Estonii, na Łotwie czy nawet na Litwie. Miarą tego liberalizmu są częste pochwały z Budapesztu, a przeciwieństwo jak Węgry są wyczuwani na kwestie narodowościowe. Przykładem równouprawnienia a nawet uprzywilejowania Rosjan jest fakt, że premierem Ukrainy jest Rosjanin, Fokin, a wiceprezydentem parlamentu również przedstawiciel rosyjskiej grupy narodowościowej, Gryniew.

Ale ledwie ucichły echa konfliktu z Rosją, od razu zaczęły się kłopoty z podziemiem komunistycznym. Zakaz działalności zakazem, a nomenklatura nomenklaturą. Zachowawszy wpływowe stanowiska w administracji i gospodarce, stosuje strategię sabotażu. Zaczęło się od ataku starej dyrekcji na popularną gazetę *Weczernij Kyjiw*, którą stara nomenklatura obaliła za niezapłacone długi.

Kijów, 10 września 1991

Bohdan OSADCZUK

W sowieckiej prasie

Sześć lat temu Stefan Kisielewski zarzucał mi, że nigdy nie podaję dobrych wiadomości ze Związku Sowieckiego. Odpowiedziałem, że kiedy zdarzy się dobra wiadomość, Moskwa sama ją poda.

Tak też się stało. Pierwsza doskonała wiadomość, to porażka puczu prawicy, reakcji, faszystów, stalinowców, czy jak ich nazwać. Cały świat oglądał manifestacje w Moskwie i Leningradzie, barykady przed „Białym Domem”, tj. siedzibą Rady Najwyższej Rosji, i Borysa Jelcyna na czołgu, rzucającego wyzwanie puczystom i wzywającego do oporu. Wszyscy oglądali też późniejsze wydarzenia, zbyteczne więc do nich wracać.

Amerykański historyk Simon Schama (*New York Times*, 6.9.91) tak opisuje ostatnie wydarzenia: w stolicy nieudana próba przewrotu wojskowego, żołnierze przechodzą na stronę ludu; głowa państwa, którą podejrzewają o sympatie dla spiskowców, ucieka, ale szybko wraca; radośnie witana, zostaje pozbawiona znacznej części władzy; tłumy demonstrantów świętują na ulicach zwycięstwo, wszędzie powiewają nowe, biało-czerwono-niebieskie sztandary... Historyk zapytuje: czy to Moskwa 1991 roku? Nie — odpowiada — to Paryż roku 1789. Zabawna analogia nęci nie tylko z powodu identycznych barw francuskiej flagi republikańskiej i rosyjskiej carskiej, ale też z powodu podejrzeń, które ciążyą na królu Ludwiku XVI i prezydencie Michaiile Gorbaczowie.

Wraz z upływem czasu bledną emocje, a narasta wiedza o puczach, który przeraził świat rankiem 19 sierpnia. Nie było chyba w dziejach tak niezręcznej próby zdobycia władzy. Lista zaniedbań, głupstw i błędów popełnionych przez spiskowców zajęłaby całą książkę, a trudno powiedzieć, by brakowało im podręczników. Wywrotowcy mogli nie znać „Techniki przewrotu państwowego” Curzio Malaparte (choć była to książka w swoim czasie dobrze w Moskwie znana), ale powinni byli znać historię przewrotu październikowego i wskazówki Lenina, „Jak organizować zbrojne powstanie” (tego uczyli w szkole i na uniwersytetach). Nawet gdyby nie znali niczego poza techniką zastosowaną przez generała Jaruzelskiego przy wprowadzaniu stanu wojennego w Polsce, i tak powinni byli zwyciężyć.

Kiedy rankiem 19 sierpnia usłyszałem, że w Moskwie nastąpił „przewrót”, najbardziej zdziwił mnie fakt, że dokonano go w poniedziałek. Wiadomo od dawna, że wojny i pucze zaczynają się w sobotę. Elementarne, powiedziałaby Sherlock Holmes. Drugim dziwnym elementem był zestaw spiskowców. Czternastu spośród nich znajduje się dziś pod kluczem, minister spraw wewnętrznych Borys Pugo popełnił samobójstwo — ta piętnastka stanowiła grupę najbliższych doradców prezydenta i b. generalnego sekretarza Michaiła Gorbaczowa. Wszyscy co do jednego zostali starannie wyselekcjonowani, a kryterium doboru było — jak sam powiedział, mianując Janajewa wiceprezydentem — osobiste oddanie. Prawda, że sprzedać może tylko bliski przyjaciel i że nawet wśród apostołów znalazł się Judasz. Ale Judasz był jeden, a Gorbaczowa zdradzili wszyscy jego „apostolowie”. Jest to tak dziwne, że narzuca się pytanie, czy naprawdę zdradzili. Pytanie to zadawał i nadal zadaje sobie świat: czy Gorbaczow wiedział o planowanym przewrocie, a jeśli wiedział, to dlaczego milczał?

Nawet przy obecnym stanie informacji wydaje się oczywiste, że wiedział. Były minister spraw zagranicznych ZSSR Szewardnadze bezustannie to powtarza, choć w dyplomatycznej, zawołowanej formie. Kilka dni przed puczem wspominał o przewrocie były (i znów obecny) bliski doradca Gorbaczowa, Aleksander Jakowlew. Przez trzy dni, które trwał pucz, na Kremlu pracowała grupa doradców Gorbaczowa i toczyły się bezustanne negocjacje między spiskowcami i lojalistami. Agencja TASS dostała apel junty do narodu 24 godziny przed puczem. Specjalista od łączności i budowniczy ośrodka łączności na dachu Gorbaczowa w Forosie na Krymie, która kosztowała miliony rubli, oświadczył w wywiadzie dla moskiewskiej *Niezawisimoj gazety*, że zerwanie łączności między daczą a światem jest niemożliwe. Ośrodek łączności stanowi samodzielną jednostkę i pozwala prezydentowi mocarstwa nuklearnego zachować łączność z Moskwą w każdej sytuacji. Może ona zostać zerwana tylko w jednym przypadku — jeśli prezydent nie podnosi słuchawki.

Innym dziwnym elementem jest historia specjalnego oddziału KGB „Alfa”. Grupę „Alfa” utworzono z inicjatywy Andropowa w 1974 r. jako całość jednego z najtajniejszych departamentów KGB, departamentu VII, zajmującego się, jak wszyscy wiedzą, wywiadem wojskowym. „Alfa” jest grupą specjalnie wytrenowanych specjalistów do walki z terroryzmem albo terrorystami. Legenda głosi, że „Alfie” wolno wszystko. To ona, m.in., zdobyła centralę telefoniczną w Wilnie, działała na Zakaukaziu... 19 sierpnia o pół do szóstej wieczorem „Alfa” dostała rozkaz, aby przygotować się do ataku na „Biały Dom” 20 sierpnia o trzeciej rano. O siedemnastej pięćdziesiąt dowódca „Alfy”, generał Wiktor Karpuchin, usłyszał od swoich oficerów, że rozkazu tego nie wykonają (*Komsomolskaja Prawda*, 28.8.91).

Abstrahując od wszystkich pytań dotyczących postępowania „najwierniejszych z wiernych”, wynika z tego, że wieczorem 19 sierpnia Borys Jelcyn wiedział, że nie będzie szturm na „Biały Dom”. Nie mógł tego nie wiedzieć, bo kilka dni przed puczem stworzył rosyjskie KGB, do którego przeszło około trzystu byłych współpracowników centralnego KGB. Praktycznie pucz skończył się więc, zanim się zaczął. Tylko naród niczego nie wiedział — wokół gmachu, w którym przebywał Jelcyn, zebrały się tysiące moskwičan. Było ich — według rozmaitych obliczeń — od 15-tu do 20-tu tysięcy, a towarzyszyła im ludność całego świata, karmiona — z „Białego Domu” — komunikatami o aresztowaniach, ruchach wojsk, przygotowaniach do szturm. Nazywam te fakty dziwnymi, bo nie znajduję innego określenia. Jak inaczej nazwać ożywioną wymianę informacji między „Białym Domem” a światem? Korespondenci Radia Swoboda przekazywali informacje do Monachium wprost z Rady Najwyższej Rosji, gdzie zebrani nieprzerwanie słuchali Swobody, Głosu Ameryki itd. Telewizje pracowały bez przeszkód: świat ujrzał Jelcyna na czołgu na kilka godzin przed telewizjami sowieckimi. Czyż nie jest też dziwne, że pierwszego dnia puczu telewizorze kraju, w którym dokonano przewrotu, oglądają w telewizorze

przywódcę ruchu oporu, wzywającego z czołgu do walki?

Aby skończyć ten zarys nieznannej jeszcze historii puczu, wypada zadać klasyczne pytanie, *cui prodest*. Odpowiedź jest oczywista: po pierwsze Borysowi Jelcynowi, po drugie Michaiłowi Gorbaczowowi. Czy można ich zatem uznać — a przede wszystkim Gorbaczowa — za inicjatorów przewrotu? Dowodów na to na razie nie ma. Należy jednak odnotować pewien ciekawy szczegół. W 34-tym numerze *Ogońka*, który ukazał się akurat w dniu puczu, widnieje długi wywiad generała Jaruzelskiego, uzyskany — jak czytamy w nagłówku — „dzięki koleżeńskiej pomocy Adama Michnika, który osobiście poprosił generała, aby odstąpił od swej niechęci do spotkania się — w ostatnich latach — z sowieckimi dziennikarzami”. Zwróciłem uwagę, czym generał tłumaczy wprowadzenie stanu wojennego w Polsce: „Obniżyć temperaturę wrzenia społecznego”. Sowiecki dziennikarz nazwał stan wojenny „narzędziem niezbędnym do ochłodzenia temperatury między walczącymi ze sobą stronami”. Jest to ciekawe dlatego, że sądząc ze słów generała Nikołaja Szaposznikowa, obecnie marszałka lotnictwa i ministra obrony, w czasie puczu dowódcy wojsk lotniczych, ówczesny minister obrony, marszałek Jazow, tłumaczył konieczność przewrotu „koniecznością uspokojenia ludności” (*Niezawisimaja gazeta*, 11.9.91).

To, co się udało generałowi Jaruzelskiemu, nie udało się marszałkowi Jazowowi i pozostałym puczystom. Przewrót spalił na panewce. Z lekką tylko przesadą można powiedzieć, że nie mógł się udać, skoro właściwie nie miał miejsca. Apel spiskowców do narodu pt. „Oświadczenie kierownictwa sowieckiego”, podpisany przez Janajewa, Pawłowa i Baklanowa, zawiera główne elementy nieuniknionej porażki. Przede wszystkim spiskowcy obnażyli się w nim niemal do cna, nie wspominając w tekście ani razu o socjalizmie ani o partii. Przewrót miał, ich zdaniem, uratować wielkie mocarstwo, a ideologią wywrotowców był rosyjski patriotyzm. Tymczasem w Moskwie istniał już drugi przywódca, ucieleśniający patriotyzm, mianowicie Borys Jelcyn. Fakt, że w stolicy istniały dwa ośrodki władzy, był główną przyczyną porażki puczu: jego przeciwnicy mogli się powoływać na istnienie praworządnie wybranego rosyjskiego prezydenta. Tekst apelu do narodu zawiera też inną osobliwość: nie ma w nim ani jednego słowa, którego by nie wymówił — przy rozmaitych okazjach — Michaił Gorbaczow. Spiskowcy nie występowali przeciw Gorbaczowowi — przeciwstawili tylko Gorbaczowa ze stycznia 1991 r. Gorbaczowowi z sierpnia. Po powrocie do Moskwy prezydent i *gensiek* wciąż jeszcze nie wiedział, czego chce. Jego pierwsze nominacje (w dowództwie wojska i KGB) i pierwsze oświadczenia („byłem i jestem komunistą”) dowodziły, że niczego się nie nauczył. Zmienił front dopiero po dwóch dniach i zrealizował marzenie Konrada Wallenroda.

Pamiętam z dziecińczych lat początek „Tajemniczej wyspy” Jules Verne'a. Bohaterowie uciekają balonem z oblężonego Nowego Orleanu. Opada? — pyta jeden z nich. — Nie, spada — odpowiada inny. I młodzieńcy zaczynają wyrzucać co cięższe przedmioty, aby odciążyć

balon i wznieść się w powietrze. Na początku wyrzucają to, bez czego mogą się obejść, potem całą resztę, włącznie z koszem. Tak właśnie przedstawiają się dzieje *pieriestrojki*. Przez sześć lat Gorbaczow odciążał balon pierwszego w świecie państwa socjalistycznego w nadziei, że zdoła utrzymać go w powietrzu, a siebie u władzy. Wyrzucił kraje satelitarne, dogmaty ideologiczne, aż wreszcie odrąbał kosz, w którym siedział — mianowicie partię komunistyczną.

23 sierpnia podczas przemówienia Gorbaczowa do deputowanych Rady Najwyższej Rosji Borys Jelcyn podpisał dekret „O zakazie działania partii komunistycznej za poparcie puczu”. Następnego dnia Michaił Gorbaczow oświadczył, że rezygnuje z funkcji generalnego sekretarza i wzywa KC KPZS, aby się rozwiązał. Kiedy upadły partie komunistyczne w krajach Wschodniej Europy, było jasne: żyły z woli Moskwy i rozpadły się, kiedy Moskwa przestała je popierać. KPZS to inna sprawa. W 1985 r. partia sowiecka liczyła 20 milionów członków. W sierpniu 1991 — 15-16 milionów. Z rozkazu wodza popełniła samobójstwo bez słowa sprzeciwu, potulna jak zawsze. W 1903 r. Lenin stworzył „partię nowego typu”, ugrupowanie zawodowych rewolucjonistów o dyscyplinie wojskowej. Pierwsze samobójstwo partii, zwanej wówczas WKP(b), miało miejsce w latach 1935-38 na rozkaz Stalina. Wtedy wódz postanowił zlikwidować partię Lenina i założyć własną. W 1937 r. było więcej członków partii w więzieniach aniżeli na wolności.

Mądry Stalin zlikwidował komunistów, ale nie tknął struktury partii. Gorbaczow zażądał, aby sama partia popełniła hara-kiri. Oddana dowódcom armia przekształciła się w bezładny tłum, który bez oporu oddał swoje nieruchomości, konta bankowe, archiwa. Tylko to i owo starano się zamaskować. Troje ludzi popełniło w sierpniu samobójstwo. Pierwszy był jeden ze spiskowców, Borys Pugo. W Moskwie powiadają, że kilkakrotnie do siebie strzelał. Po nim poszedł marszałek w stanie spoczynku Achromiejew, doradca Gorbaczowa. Jego śmierć też jest zagadkowa: nie ma żadnych dowodów, że uczestniczył w puczu, a umarł nie od kuli, jak przystało żołnierzowi, tylko na sznurze. Jednak najbardziej tajemnicze samobójstwo popełnił Nikołaj Kruczyna. Administrator KC KPZS, człowiek, który zarządzał finansami partii, wyskoczył przez okno. W Moskwie opowiada się (i pisze w gazetach), że „za dużo wiedział”, między innymi o zagranicznych kontaktach partii.

Wszystko to są szczegóły. Najważniejszy jest fakt, że partia, która powstała na początku wieku, zdobyła władzę w 1917 r., zbudowała totalitarne państwo w Rosji, po czym rozrosła się drogą przerzutów na cały świat, partia Lenina-Stalina przestała istnieć. Na pewno będą jeszcze próby jej wskrzeszenia, niewykłuczone, że udane. Ale nie będzie to już ta sama partia. Źródłem jej siły był mit — potwierdzony „naukowo” — że jest to partia niezwyciężona. Jej ideologia była niezwyciężona, gdyż jedyna słuszna, i słuszna, gdyż niezwyciężona. Druzgocąca porażka, która wyraziła się przede wszystkim dezercją wodzów, skazała tę partię na śmierć.

Porażka puczu, upadek partii komunistycznej... Trzecia nowina ze Wschodu to upadek imperium. Temat ten długo jeszcze będzie aktualny. Dziś chcę zwrócić uwagę na jedną tylko osobliwość, związaną z rozpadem KPZS. Najbardziej popularnymi hasłami są obecnie na całym terytorium „byłego ZSSR”, jak się oficjalnie mówi — niezawisłość narodowa i demokracja. Kto poza najbardziej zażartymi reakcjonistami powie „nie”? Jeśli się jednak przyjrzymy temu, co się naprawdę dzieje, łatwo dostrzeżemy, że na prezydentów republik wybierani są — demokratycznie — najsprytniejsi politycy, którzy występują pod hasłami niepodległości. Szczególne sukcesy odnoszą, jeśli nazwą się antykomunistami. Najczęściej robią to byli przywódcy komunistyczni, którzy do wczoraj propagowali ideologię komunistyczną. Na przykład przyszedł prezydent Ukrainy, Leonid Krawczuk.

Komunizm w nowej postaci dryfuje na południe. Prezydentem Azerbejdżanu został — demokratycznie wybrany — były partyjny boss A. Mutalibow. W Kazachstanie zostanie wybrany były pierwszy sekretarz, N. Nazarbajew. Sytuacja jest identyczna w Turkmenii, Uzbekistanie, Kirgizji. Pytanie, czy i w centrum nie przetrwa komunizm — w nowej, powtarzam, postaci. Istnieje przysłowie „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”. Innymi słowy, nie należy ludziom wypominać przeszłości. Co więcej, system był taki, że człowiek pragnący kariery mógł ją zrobić tylko w partii. Tym niemniej odnotujmy, że Borys Jelcyn dopiero rok temu wystąpił z partii, i ludzie nie mają dość słów dla jego odwagi. Jeden z głównych dzisiejszych demokratów i postępców, Aleksander Jakowlew, twórca *piersirojki*, bliski doradca Gorbaczowa i człowiek, którego słucha Jelcyn — wczoraj był czołowym ideologiem partii. W wywiadzie, którego udzielił *Financial Times* (27.8.91) Jakowlew tłumaczy, że dwa lata temu zaczął ponownie czytać i uczyć się klasyków marksizmu i odkrył, że ani jedna przepowiednia Marksa i Engelsa się nie spełniła. W związku z tym — po 47-miu latach wiernej służby — wystąpił kilka dni temu z partii.

Gęsta mgła skrywa przed oczami współczesnych wszystko, co dzieje się na ogromnych połaciach byłego Związku Sowieckiego. Nie ulega kwestii, że byli komuniści starają się uratować co się da z komunistycznej spuścizny. Bodaj Ignazio Silone powiedział kiedyś, że decydujący bój rozegra się między komunistami i byłymi komunistami. Dziś widać, że nierzadko jest to walka pozorną. Po Moskwie krąży ostatnio dowcip, który moim zdaniem trafnie wyraża sytuację. Na zebraniu dyrektorów fabryk kielbas kierownictwo chwali jak może jednego z dyrektorów za wysoką jakość produkcji. Dyrektora wywołują na trybunę, aby opowiedział, jak to robi. Dumny przodownik wstaje i zaczyna: Biorę gówno, dodaję trochę farszu... Tu odzywają się zewsząd krzyki protestu: Zwariowałeś, jeszcze farszu dodawać???

Problem polega na tym, że nawet o te niewielkie ilości farszu, niezbędne do wyzwolenia sowieckiej produkcji, trzeba dziś zebrać za granicą...

O religii bez namaszczenia

Spotkałem Jezusa z Nazaretu

Z BRATEM DANIELEM RUFEISENEM Z IZRAELA
ROZMAWIA AGATA TUSZYŃSKA

Urodził się w wiosce Zadziele koło Żywca. Wioski już nie ma, bo została zatopiona i to jest znak, że nie ma dokąd wracać. Od dzieciństwa znał dobrze niemiecki i to również był jeden ze znaków prowadzącego go od początku przeznaczenia. Oswald Rufeisen otrzymał imię Szmul Aron dopiero na bar mycwie.

Maturę zrobił w 1937 roku w Bielsku. Potem pojechał do Wilna, pracował, myślał o wyjeździe do Palestyny.

Większą część okupacji spędził na Białorusi, w okolicach Nowogródka, nad Niemnem. W miasteczku Mir, znanym dzięki Jesziwie, pełnił funkcję tłumacza przy okręgowym dowódcy policji. Nosił niemiecki mundur. Otrzymał nawet stopień podoficera z prawem posiadania broni i konia. Współpracował z żydowską partyzantką, zorganizował ucieczkę przed zagładą z tamtejszego getta, ocalił wielu Żydów. Brano go niekiedy za niemieckiego prowokatora.

Wydał go niejaki Stanisławski, również Żyd, ale dowódca Hahn nie uwierzył w to, co mu doniesiono. Oswald Rufeisen wyznał prawdę. Chciał umrzeć jako Żyd. Pozwolono mu uciec.

Znalazł schronienie w domu zakonnicy. I tak dotarł do Boga. Kiedy skończyła się wojna, wstąpił do klasztoru. Po sześciu latach otrzymał dyplom zakonnika. Wybrał zakon karmelitów, by dotrzeć do Izraela. W 1959 roku stanął na Ziemi Świętej. Ale gdy rok później poprosił o obywatelstwo izraelskie na podstawie prawa o powrocie, odmówiono mu. Przez jakiś czas mieszkał i pełnił swoją duszpasterską posługę na prawach cudzoziemca. Prawa obywatelskie otrzymał poprzez naturalizację. Rezyduje w Hajfie, w klasztorze Stella Maris, głównej siedzibie zakonu karmelitów.

Agata TUSZYŃSKA: — *Bracie Danielu, kim pan jest naprawdę?*

Daniel RUFEBSEN: — Pani przychodzi z bardzo trudnym pytaniem. Być może łatwiej byłoby mi na nie odpowiedzieć trzydzieści lat temu, aniżeli dziś, może nawet pięćdziesiąt lat temu. Na początku wydawało mi się, że ten problem jest jasny: Żydzi są narodem i ja do tego narodu należę. Są także grupą religijną i kiedyś do niej należałem. Myślę, że o wiele łatwiej było zdefiniować polskość Mickiewiczowi, gdy był na wygnaniu, niż na przykład Tuwimowi, który był polskim poetą i mieszkał w kraju. Te sprawy normalizują się tutaj w Izraelu. Normalizują się, bo my znowu jesteśmy u siebie, a jednocześnie budujemy coś nowego. Nowego i prastarego. Nowego na starych fundamentach. To jest jakby nowa latorośl starej oliwki. Tak nawet często jest przedstawiany naród żydowski.

Ja wolę nazwę Izrael niż nazwę Judea, choć nazywano nas Judejczykami przez ponad dwa tysiące lat. O Izraelu jest w Nowym Testamencie tylko jedna wzmianka, u świętego Mateusza. Józef z Marią i Dzieciątkiem mają wrócić do ziemi Izraela. Więc Judea podkreśla nawiązanie do najstarszej tradycji, do bardzo dawnych resztek, które tutaj zostały.

A.T.: — *Ale bycie Izraelczykiem to nie to samo, co bycie Żydem?*

D.R.: — Spotka tu pani różne zdania. Młodzi powiedzą, że są najpierw Izraelczykami, a potem Żydami, albo że są Izraelczykami, a Żydzi to byli ich rodzice. Nie można oczywiście generalizować, tym bardziej że jest teraz, nie masowy, ale jest, powrót do religii. I wówczas sprawy znowu się komplikują. I kiedy pani pyta kim jestem, to trzeba zapytać, czy jestem Żydem religijnym czy narodowym, bo inna będzie religijna definicja Żyda, a inna narodowa.

Anachronizm, bo według mnie to jest anachronizm, niezgodność z zasadami socjologii współczesnej i religioznawstwa współczesnego, polega na tym, że Żydzi łączą nierozdzielnie religijność z narodowością. Łączą je w oparciu o jakiś dług wdzięczności. Ja w tej chwili drzę o Kościół w Polsce. Ma się temu Kościołowi wiele do zawdzięczenia i nie można mu powiedzieć: dziękuję, tyś spełnił swoją funkcję, teraz obejdzimy się bez ciebie. Podobnie rzecz się ma z narodem żydowskim.

A.T.: — *Bez religii żydowskiej nie byłoby tego narodu.*

D.R.: — Religia była najważniejszym czynnikiem, dzięki któremu utrzymała się i utrwaliła przynależność do tej samej grupy

etnicznej. Teraz byłoby lepiej uwolnić się od tego. Nie, nie jestem za narodem bez religii i bez Boga. Żyd tak nie potrafi. Jakoś nie potrafi. W całości, bo być może pojedynczy tu i ówdzie będzie rarytasem. Bez Boga. Ale na ogół pojęcie przynależności żydowskiej jest jakoś metafizycznie połączone z kontekstem Biblii i Boga. Tragedia polega na tym, że z chwilą zniknięcia normalnego życia, normalnych układów między czynnikami społecznymi a religijnymi, tutaj na tej ziemi, dwa tysiące lat temu blisko, z chwilą rozproszenia diaspory, religia przejęła rolę jedynego czynnika wiążącego. Wtedy nie mogła sobie pozwolić na luksus pluralizmu. Pluralizm w tamtych warunkach zniszczyłby jedność, pogłębił rozbitcie. Przyjęła więc formę monolitu i to monolitu ustalonego prawami normatywnymi. Bo na tym polega żydostwo dzisiaj i żydostwo religijne dzisiaj jest bardziej przestrzeganiem praw normatywnych, aniżeli określoną wiarą w Boga.

A.T.: — *To jest swoisty paradoks. W nowoczesnym państwie religia w wydaniu ortodoksyjnym staje się anachronizmem, mimo, że to państwo zawdzięcza jej swoje istnienie.*

D.R.: — Mamy teraz do czynienia z dwiema siłami. Jedną jest państwo, które ma swoje prawa, swoje dążenia, swoje tendencje dotyczące przyszłości, drugą jest religia. Religia żydowska z natury rzeczy jest teokratyczna. Jest bardzo demokratyczna, daje wiele do powiedzenia człowiekowi, ale jest teokratyczna, bo nie dopuszcza buntu wobec określonego porządku rzeczy. Kiedy zbuntował się Spinoza, został wyklęty, choć żydostwo używało klątwy bardzo rzadko, dużo rzadziej niż Kościół katolicki. Widocznie Spinoza posunął się za daleko. Tutejsi ortodoksi często posuwają się za daleko, zohydzając religię w oczach społeczeństwa.

Ci religijni to są ludzie, którzy w procesie przestawiania się na nowe warunki Izraela zatrzymali się w drodze. Ich psychika została gdzieś tam zraniona i takimi pozostali. Ale przecież piękni, prawdziwie wierzący Żydzi religijni są Izraelowi potrzebni. Potrzebni są tacy, którzy patrzą w przyszłość, albo tacy, którzy patrzą w daleką przeszłość. Bo my potrzebujemy dwóch rzeczy jednocześnie: realizmu i widzenia teraźniejszości, ale naznaczeni duchem proroczym, bez wizji przeszłości również nie możemy się obejść. To jakoś należy do naszej natury.

A.T.: — *Ortodoksi z Mea Shearim nie uznają państwa Izrael, wciąż czekają na przyjście Mesjasza.*

D.R.: — Ale nie mogliby nań czekać na tej ziemi, gdyby nie to państwo. Żydzi z Mea Shearim to jest grupa, która się zamknęła,

która się odgradziła od reszty, która nie dostrzega Boga. To jest grupa ateistyczna. To są ci, którzy nie widzą Boga działającego dzisiaj w historii. Bo Bóg to przecież nie jest tylko Bóg, który przemawiał do Mojżesza albo który przemawiał przez Jezusa Chrystusa. To jest Bóg, który działa także dzisiaj. Bóg, który był obecny również w Shoah, chyba jakoś był obecny. Nie mogę powiedzieć, że Boga zabito w Oświęcimiu. To jest niemożliwą rzeczą, żeby zbrodniarze mogli zabić Boga. Zbrodniarze zabijali ludzi, zabijali człowieka, może zabijali czasami Boga w tych ludziach, ale działania Bożego nie mogli zabić.

Zapytałem papieża w rozmowie osobistej, czy nie jest rzeczą dziwną, że w trzy lata po zagładzie jednej trzeciej narodu żydowskiego powstaje państwo Żydów, którego nie było dwa tysiące lat. „Czy Wasza Świątobliwość nie widzi w tym jakiejś wyższej sprawy Boga działającego w historii?” „Niewątpliwie — odpowiedział — niewątpliwie”.

A.T.: — *Czy to ma być rodzaj nagrody za te wszystkie cierpienia?*

D.R.: — To nie jest nagroda. Ja nie wiem, jaka będzie nagroda. Jesteśmy zaledwie jedno czy półtora pokolenia od tego co się stało. Ale jest jakaś wewnętrzna spójnia między tym, co się stało, a tym, co pani tu obserwuje. Może nie byłoby Izraela? A jednak Izrael w historii Żydów stanowi punkt rewolucyjny, to nie jest zwykła kontynuacja. Powiedziałbym raczej — rewolucyjna dyskontynuacja, która nie wiadomo jeszcze do czego doprowadzi.

A.T.: — *Próbuje pan prowadzić dialog żydowsko-chrześcijański...*

D.R.: — Nie jestem właściwą osobą do tego dialogu. Dla wielu Żydów jestem odszczepieńcem, zdrajcą. Muszę się z tym pogodzić. Wielu ludzi odczuwa do mnie żal. Dlaczegoś nam to zrobił, dlaczego właśnie ty? Zapisalem się na kartach historii drugiej wojny, dlatego nie mogą mi wybaczyć, że tu przyjechałem.

A.T.: — *Dlaczego tak się stało — wtedy?*

D.R.: — Tak się stało dlatego, że byłem świadkiem zagłady. Nie tylko byłem obiektem zagłady, ale byłem jej świadkiem. Byłem wtedy pełen pytań do Boga — jak mógł na to pozwolić, jak mógł do tego dopuścić. I spotkałem się z Jezusem z Nazaretu, w którym rozpoznałem najpierw bardzo pięknego człowieka, a potem mojego brata. A potem wysłannika Bożego Ukrzyżowanego. A potem zmartwychwstałego. Trzeba dodać to

— zmartwychwstałego, bez tego nie byłoby nic. Pani teraz rozumie, dlaczego ja łączę Shoah z państwem. To nie jest dokładnie jak śmierć i zmartwychwstanie, ale coś bardzo podobnego.

Pamiętam, byłem kiedyś zaproszony do szkoły kibucowej, miałem mówić o wierze. Była wtedy rocznica, dzień Shoah. Ja zresztą nie lubię tej nazwy, uważam, że jest niewłaściwa, jak nazwa Holocaust, co znaczy hekatomba, czyli ofiara spalania. Ku czyjej czci została ta ofiara złożona? — pytam. Kto wymyślił tego rodzaju nazwę? Shoah znowu oznacza kataklizm, zagładę. To był epizod straszny, choć dziś mówią, że rzeź Chmielnickiego to był większy Shoah. Więc opowiadałem tym młodym ludziom o moich przeżyciach wojennych, ale nie chciałem rozstać się z nimi tak na czarno, bez żadnej nadziei. Zakończyłem to takim usprawiedliwieniem — dlaczego ja wierzę. Są ludzie, którzy utracili wiarę w tym samym okresie. Ja odnalazłem Boga, nie inaczej. Poprzez nadzieję, która wynikała z asocjacji śmierci i zmartwychwstania Jezusa, kaźni Jego na Golgocie — z Golgotą mego narodu, męką bez żadnego sensu i bez żadnej winy. Musiałem mieć ten sens, bo inaczej nic nie miałoby sensu. Byłbym zmuszony odebrać sobie życie. Popatrzcie na ten sztandar tutaj, sztandar Izraela — mówiłem — ma na sobie czarną wstęgę. Gdyby nie ta czarna wstęga, nie byłoby tego sztandaru.

A.T.: — *Pan się identyfikuje z Izraelem.*

D.R.: — Jestem Izraelczykiem nie tylko z obywatelstwa, ale z przekonania. Nie mówię, że jestem syjonistą, bo syjonista to jest ktoś w drodze, a ja już jestem u celu. Ale sędziowie w sądzie najwyższym orzekli, że będę „bratem na zewnątrz” i ja się z tym pogodziłem. To znaczy, że jestem bratem, ale niezupełnie wewnątrz.

Jestem księdzem katolickim i pracuję jako ksiądz katolicki już 39 lat, ale jednocześnie wróciłem do korzeni chrześcijaństwa tutaj. Nie mogłem pozostać takim księdzem, jakim byłem gdy przyjechałem z Polski, ani takim samym katolikiem. Dlatego, że katolicyzm w obecnej formie jest wynikiem rozwoju historycznego. Ja nie chciałem go tłumaczyć z łaciny lub greki na hebrajski. Teraz, kiedy jestem tu, gdzie wszystko się zaczęło, mam możliwość przywrócenia Kościołowi także tej formy, która była jego macierzą.

To nie jest to samo, być chrześcijaninem w Ghanie albo w Korei Południowej, albo być chrześcijaninem w kraju, który się nazywa Izrael i mówi dziś znowu po hebrajsku. To nie jest to samo. Tamten nie jest rzucony na żadną konfrontację, ja jestem rzucony na konfrontację. Z własnego wyboru, tak. Tak chciałem.

Ja na nią zostałem rzucony z racji okoliczności. Jeśli pani chce, to nazwie to pani opatrnością. Na początku nie zdawałem sobie sprawy, co przede mną stoi. Ja zawsze, jak to mówią po hebrajsku — „wpadam między krzesła”. Nie mogę nigdy po prostu siedzieć na jednym krześle, tylko tak — trochę tu, trochę tam. Ale jest mi z tym dobrze. Może dlatego, że byłem partyzantem podczas wojny, przyzwyczailem się, że idę sam. Może tutaj nie jestem zupełnie sam, ale nawet gdyby mi przyszło żyć samemu, nie byłoby to dla mnie za trudne, przywykłem.

Bo z historią nie można walczyć. Po raz pierwszy znowu mamy w kościele język hebrajski i Żydów, którzy mieszkają w tych samych miejscach, gdzie powstało chrześcijaństwo. I mamy możliwość konfrontacji. Możemy albo zamknąć się całkowicie w swojej muszli i bronić przed otoczeniem, albo otworzyć się i z konieczności starać przystosować do swego przeciwnika. Konfrontacja nie polega na nawracaniu się wzajemnym, tylko na przyjęciu się wzajemnym.

A.T.: — *Ale przecież żydostwo było żydostwem właśnie dlatego, że nie przyjęło Jezusa z Nazaretu. Trudno to teraz zmienić tylko dlatego, że istnieje państwo Izrael. Skądinąd chrześcijaństwo przyjęło charakter często antyżydowski, a już zawsze ażydowski.*

D.R.: — Wie pani, co to jest katolicyzm? Trzeba zapytać o to świętego Pawła. To on rzucił główne idee żydostwa w świat. W ten szeroki świat imperium rzymskiego, by w końcu powalić tego olbrzyma na łopatki. Tylko przy okazji ten nowy Kościół, który on stworzył, zniszczył jego własny, pierwotny. Katolicyzm pochodzi od greckiego słowa *katholo*, co znaczy — zgodnie z pełnią. Dla moich ojców w wierze Piotra, Pawła, Jana, ta pełnia oznaczała nie tylko my — także narody świata. Czyli pierwotny katolicyzm był Kościołem składającym się z Żydów i nie-Żydów. Niestety od IV wieku Kościół oznacza Kościół grecki, wyłącznie grecki.

A.T.: — *Dla tego Kościoła dialog jest groźbą asymilacji.*

D.R.: — Jeśli nie dokona się jakaś zmiana, to jest to Kościół skazany na wymarcie. W każdym razie na izolację. Ja myślę, że chrześcijaństwo dzieli się dzisiaj nie tyle na prawosławie, protestantyzm i katolicyzm, ile na chrześcijan otwartych i zamkniętych. Na chrześcijan otwierających się na możliwości dialogu i przyszłości i chrześcijan, którzy pilnują tego, co osiągnęli.

A.T.: — *Polska należy...*

D.R.: — Należała do tych ostatnich. Ale teraz coś się zmienia.

A.T.: — *Cała Afryka chrześcijańska, Japończycy stają chyba przed tym samym problemem co wy, mała grupka chrześcijan żyjących między Żydami?*

D.R.: — Tak. I pytają: czy nasi studenci muszą się uczyć greckiej filozofii, żeby zrozumieć tego rabina z Nazaretu, który był Mesjaszem? Takie pytanie postawiłem jednemu z kardynałów w Rzymie. Rozzłościł się na mnie. Tak jakoś ironicznie powiedział, że dla mnie Jezus jest chyba kimś więcej niż tylko rabinem z Nazaretu. Odpowiedziałem, że na pewno jest dla mnie kimś więcej, ale we wszystkich ewangeliach nazywają go — rabi. On należał do określonego środowiska kulturowego i to trzeba uwzględnić. Ja przychodzę teraz z jego rzeczywistości, którą trudno negocjować. I będę się upierał, że żydostwo to nie jest tylko jedna określona forma religijna. Kiedy byliśmy normalnym narodem, było inaczej. Kiedy ta religia żyła w normalnych warunkach, z językiem, kulturą, ziemią, z uprawą tej ziemi — to było coś innego. Zgoda, to nie działo się wczoraj, to było dwa tysiące lat temu, ale to było w okresie przełomowym. Wtedy nas wypędzano, teraz wracamy. To jest ważne, że tak było, kiedy nas wypędzano. Dziś wracamy szukać tych korzeni, które tkwią w tej ziemi. Pierwsi chrześcijanie modlili się w synagogach razem z Żydami. Apostołowie chodzili do świątyni jerozolimskiej na ofiarę i modlitwę. Uczestniczenie w religii żydowskiej nie było traktowane jako odejście. Pismo święte chrześcijan, Nowy Testament, było pluralistyczne.

Grek tego nie może zrozumieć, bo Grek szuka prawdy, wtedy gdy Żyd szuka Boga. Grek szukał prawdy o Bogu. A Bóg prawdziwy u Żyda oznaczał Boga wiarygodnego. Bóg, któremu można zawierzyć. A Bóg prawdziwy u chrześcijan oznacza dzisiaj — od Greków — Boga, który nam objawia o sobie prawdy. I stąd Żyd pyta: komu mam zawierzyć, czy mam Jemu zawierzyć, czy On jest godzien mego zaufania (przepraszam Boga za prawie że bluźnierstwo). Wtedy gdy chrześcijanin od IV wieku pyta: w co mam wierzyć? W jakie prawdy?

A.T.: — *Jest pan członkiem Stowarzyszenia Hebrajskich Chrześcijan. Zostaliście oficjalnie zatwierdzeni przez państwo, działacie w Izraelu i w diasporze.*

D.R.: — Jest to organizacja działająca na prawach izraelskich, nie kościelnych, dlatego żadna instytucja wspierająca tutaj Kościół nie chce nas wspomagać. Mamy Ośrodek Duszpasterski,

chcemy budować Dom Złotej Jesieni. Nie wiem, czy będzie dla nas miejsce w ramach Kościoła hebrajskiego, na razie działamy na prawach państwowych.

My się zgłaszamy do głosu — Jerozolima, jako prawzór rozmaitych możliwych form Kościoła. Jerozolima jako model. Nie to, żebyśmy chcieli, żeby papież przeniósł się tutaj z Rzymu, jeszcze by tego brakowało. Ale myślę, że robimy tu dobrą robotę dla Kościoła, ta mała grupka która nic nie znaczy. To my się mamy zmieniać — powie ktoś. My — nas jest miliony, dla tych paru osób, które myślą inaczej? Tak — odpowiem — ale te parę osób myśli jak Piotr i Paweł. Chciałbym, żeby tu w Hajfie, w Galilei na uniwersytecie powstała katedra chrześcijaństwa pierwotnego i islamu pierwotnego. Tylko my, judeo-chrześcijanie, będziemy mogli nawiązać dialog z islamem, bo islam jest przecież z tego samego korzenia.

Jeżeli się toruje nowe drogi (to są drogi prastare, ale przecież też jakoś i nowe), trzeba z góry przygotować się na to, że się będzie samemu, albo że nas będzie mała grupka. Tak było z Jezusem, tak było z Pawłem. Prawdopodobnie wszyscy apostołowie stali przeciwko Pawłowi, łącznie z Piotrem. Żaden się nie mógł pogodzić, że wejdą do Kościoła ludzie nieobrzezani.

Myślę, że judaizm stanie się na tyle pluralistyczny, że i dla takiego Żyda jak ja znajdzie się tam miejsce. I może przyjdzie taki dzień, że Kościół stanie się na tyle katolicki i pluralistyczny, że i dla takiego chrześcijanina jak ja znajdzie się tam miejsce.

A.T.: — *Kościół jeszcze dotąd nie uznał formalnie Izraela.*

D.R.: — Kościół boi się tej konfrontacji ze swymi własnymi początkami.

A.T.: — *Żydzi cierpieli przez całą swoją historię w imię krzyża.*

D.R.: — Ja, kiedy żegnam się w czasie mszy świętej i kiedy błogosławie, czynię znak krzyża, ale mam chrześcijan, coraz więcej, którzy się nie żegnają. Przestali się żegnać, bo czują się winni jako chrześcijanie za krzywdy wyrządzone Żydom. A my żyjemy między Żydami i nie może nas to nie obchodzić. Kościół triumfujący nie rozumie tego, trzeba Kościoła, który umie uklęknąć i uderzyć się w piersi. Tak bardzo proszono, żeby papież w imieniu chrześcijaństwa uderzył się w pierś i powiedział *nostra culpa* Żydom, myśmy zawinili wobec was i prosimy o przebaczenie. To się pokazało po raz pierwszy w Liście Pastorskim Episkopatu Polskiego z 20 stycznia. Szkoda, że do tego

biskupi zostali zmuszeni z racji wyborów i tych wszystkich idyotyzmów, które przy tej okazji w Polsce powiedziano. Ale uczynili to.

A.T.: — *Polska nie jest jedynym krajem, w którym Żydów spotkała krzywda.*

D.R.: — Istniały cztery społeczności, do których Żydzi mieli odniesienie negatywne. Najstarsza to jest Kościół, a potem Hiszpania, później Polska, a może odwrotnie, potem Niemcy, a na końcu Polska. Bo Polska to jest kwestia przełomu wieku, to jest stosunkowo nowa rzecz. Te sprawy powoli się redukują. Najpierw z Niemcami. Nie dlatego, że oni dali pieniądze, ale dlatego, że to był krótki konflikt. Hiszpania to było coś okropnego, wszystko zostało przerwane dość dramatycznie. Gdyby nie to, że Polska zerwała stosunki z Izraelem w 1967 roku, wszystko wyglądałoby inaczej. Ludzie, którzy nosili w sobie ten jad — żalu czy nienawiści — rozwijali go, przekazywali innym, w tej chwili to jest o wiele trudniej naprawić. I jeszcze do tego po wojnie Żydzi źle przysłużyli się sprawom Polski. Polska i Kościół zostały więc jako tereny konfliktowe.

A.T.: — *Co Pan sądzi o podróżach młodych Izraelczyków do Polski, podróżach, które są wizytacją obozów, terenów gett, zgłiszcz?*

D.R.: — Ja łączę okres Holocaustu z istnieniem państwa, ale jednocześnie nie chciałbym, żebyśmy tym żyli. Z drugiej strony trudno powiedzieć tej młodzieży — nie jedźcie, nie oglądajcie krematoriów. Ale trzeba im również pokazać coś innego, młodzież polską i normalny kraj. Kraj, z którym jutro będziemy handlowali i budowali wspólną przyszłość.

Stare pokolenie przekazuje swoje kompleksy młodemu. Ja nie wiem, jak to młode sobie z tym poradzi.

A.T.: — *Ale Izraelczycy nie cierpią z racji antysemityzmu. Oni są uwolnieni od obowiązku niesienia w sobie pamięci stale doznawanych krzywd.*

D.R.: — Tym się różnimy, pamięcią. Żydzi z diaspory mają już tylko przeszłość. Tutaj pojawia się również element przyszłości. Wie pani, u Żydów najważniejsza jest pamięć, ale największą cnotą jest nadzieja. Bez nadziei ten naród nie przetrwałby tego, co przetrwał. A nadzieja jest zawsze skierowana ku przyszłości.

A.T.: — *Nadzieja na co?*

D.R.: — *Nadzieja dotycząca jakiejś misji wobec świata, jaką Izrael ma spełnić.*

A.T.: — *Czy to jest związane z religią?*

D.R.: — *Tak. Cała religia żydowska jest przesiąknięta nadzieją. Ja może przeholowałem, kiedy nazwałem tych ludzi z Mea Shearim ateistami. U nich nadzieja łączy się z przyjściem Mesjasza, ale tylko z przyjściem Mesjasza. Oni nie widzą Boga dzisiaj działającego. Na tym polega ich błąd teologiczny. I ich tragedia. Dla nich to państwo jest dziełem szatana, podczas gdy dla mnie jest dziełem Boga.*

A.T.: — *Proszę mi powiedzieć, czym jest dla pana jerozolimskie Ściana Placzu?*

D.R.: — *Ten mur nie ma w sobie nic świętego. To jest zewnętrzny mur placu świątynnego, nie samej świątyni. Żydom religijnym do dziś nie wolno wchodzić na plac koło meczetu, bo nigdy nie wiadomo, czy nie stąpają po miejscu najświętszym. Tylko kapłanom wolno tam było wchodzić i to raz do roku. Z Góry Oliwnej Żydzi oplakiwali Jerozolimę, w której nie wolno im było mieszkać. Za czasów rzymskich i bizantyjskich. Za muzułmanów, gdy już wrócili do miasta, znaleźli tę resztkę muru. Stała się sercem narodu żydowskiego.*

Kiedy udostępniono nam wschodnią Jerozolimę w 1967 roku, poszedłem do muru z moim bratem. Poszliśmy obaj — on Żyd, ja chrześcijanin. Dla mnie to też był symbol.

Hajfa, maj 1991

Rozmawiała: Agata TUSZYŃSKA

Kronika kulturalna

Wspomnienie o Mozarcie

Czytał po niemiecku, francusku i włosku. W tych trzech językach pisywał też listy. Podpisywał je — jeśli już rozpisywał monogram imion — Wolfgang Amadè Mozart. Do zlatynizowanej formy drugiego imienia, jakim się go ostatnio nazywa, przyzwyczaili nas wydawcy i biografowie niemieccy. Niektórzy (Niemtschek) nazywali go wręcz Gottlieb. On sam, dla żartu, przedstawiał się niekiedy jako: Wolfgang Amadeus Mozartus. W metryce miał zapisane — Theophilus. Po polsku byłoby mu Bogumił.

Swojej kuzynce Marii Annie Tekli zalecał: „*J'espère que vous aurés deja pris quelque lection dans la langue française — zachowano pisownię oryginału — et je ne doute point, que — Ecoutez: que vous saurés bientôt mieux le français, que moi; car il y a certainement deux ans, que je n'ai pas écrit un môt dans cette langue*”. („Mam nadzieję, że rozpoczęłaś już Pani lekcje języka francuskiego i wcale nie wątpię, że — proszę posłuchać: że wkrótce będziesz Pani znała francuski lepiej ode mnie; ponieważ upłynęły już co najmniej dwa lata, odkąd w tym języku nie napisałem ani słowa”). Adresatka tego listu, intrygująca kuzynka Bäsle, miała podówczas dziewiętnaście lat i mieszkała z rodzicami w Augsburgu; Wolfgang Amadè był dwudziestojednoletnim młodzieńcem, przebywającym czasowo w Mannheim. Dziesięć lat później Mozart znał już także język angielski i myślał o wyjeździe na dłużej, może na stałe, do Anglii — śladem syna Bacha, Johanna Christiana, śladem Händla, przed Haydnem.

Czytał setki librett operowych, zbiory poezji, almanachy. Znał „Cierpienia młodego Wertera” Goethego (1774) oraz „Fedona czyli o nieśmiertelności duszy” Mojżesza Mendelssohna (1767), książki znalezione w pozostałym po nim zbiorze.

Wstawał o 5–6 rano. Po wizycie fryzjera wybierał się często, za radą lekarza, na konną przejażdżkę do podwieńskich las-

ków. Kiedy konia sprzedał (za 14 dukatów), chadzał na piesze spaceru. Do 10-ej rano pracował, bardzo szybko. Uwerturę do „Don Juana” napisał w dwie godziny przed próbą. Po 10-ej przychodzili do niego uczniowie. Dwa najważniejsze meble w jego domu — wielokrotnie się przeprowadzał — to fortepian i stół bilardowy. Grywał też w kręgle i karty. Jako jedenastoletni smyk nauczył się fechtunku. Był szybki, zwinny; lubił tańczyć, skakać przez stołki, dokazywać.

Bliski termin koncertu — a często występował — zmuszał go do zawieszenia zwykłych czynności. Pod presją czasu pracował wydajniej.

Jego ulubioną potrawą były smażone pstrągi oraz knedle nadziewane siekaną wątróbką, które spożywał z kwaszoną kapustą. Pijał wino bądź kawę. Palił niekiedy fajkę. Jadał zazwyczaj w gospodach bądź przynoszono mu stamtąd gotowe posiłki. Jego kelnerem i służącym, a właściwie totumfackim, był Joseph Deiner. Miał też ulubionego drozda, po którego zamilknięciu napisał wierszowaną elegię. Lubiał dowcipne rymowanki. Potem kupił sobie kanarka.

Podróżował. Całe życie był w drodze. Pierwszą podróż odbył z Salzburga do Monachium jako sześciolatnie cudowne dziecko, „dziw natury”, by w towarzystwie starszej od niego o pięć lat siostry Marii Anny (Nannerl) i ojca wystąpić na dworze elektora bawarskiego. Jest w British Museum miedzioryt J.B. Delafosse'a z 1764 r., portretujący to niezwykle trio: trzynastoletnia panienka w długiej sukni trzymająca w dłoniach nuty stoi za fortepianem, przy którym na wysokim fotelu, nie sięgając nóżkami ziemi, siedzi mały chłopczyk, ubrany i uczesany zupełnie jak jego papa, starszy od synka o trzydzieście siedem lat. Maria Anna śpiewa, Wolfgang Amadè gra na fortepianie, Leopold wtóruje im na skrzypcach. Swobodna postawa ojca — skrzypka stojącego w półskłonie z tanecznie skrzyżowanymi nogami — wyraźnie pokazuje, kto tu ważniejszy.

Ta muzykująca rodzina będzie występować razem jeszcze przez siedem lat. 9-go czerwca 1763 r. wyrusza razem na wielkie tournée po Europie, by wrócić do rodzinnego Salzburga dopiero po trzech i pół latach. Pięć lat później tyle samo mniej więcej czasu potrzebował James Cook na okrażenie ziemi.

Trasa podróży Mozartów wiodła przez Monachium, Frankfurt (tu słyszał ich czternastoletni Goethe), Bonn i Brukselę. 18-go listopada 1763 r. Mozartowie przyjechali do Paryża. Właśnie podpisany tu traktat zakończył sprowokowaną zajęciem Śląska przez Prusy „wojnę siedmioletnią”, która w swej części zamorskiej doprowadziła do utraty Kanady przez Francję. Rok wcześniej J.J. Rousseau opublikował „Umowę społeczną”. W Paryżu Mozartowie zatrzymali się przez pięć miesięcy. Stąd

10-go kwietnia 1764 r. wyruszyli do Londynu, przez Calais. W drodze powrotnej, przez Dunkierkę, trafili do Gandawy, Hagi i Amsterdamu. Pod koniec marca 1766 r. byli znów w Paryżu, by po trzech miesiącach wyruszyć dalej do Lyonu, Genewy, Zurychu, a potem znów Monachium. 29-go listopada wrócili do Salzburga.

Wolfgang Amadè w towarzystwie swej matki odwiedził ponownie Paryż w 1778 r.; przedtem jednak razem z ojcem odbędzie trzy podróże do Włoch. W czasie pierwszej z nich, trwającej od grudnia 1769 do marca 1771, dwaj panowie Mozartowie zostali przyjęci na prywatnej audiencji przez papieża, który „cudownemu dziecku”, podówczas już 14-letniemu chłopcu, przyznał insygnia rycerskiego Orderu Złotej Ostrogi na czerwonej wstążce. Od 14-go maja do 25-go czerwca 1770 r. Mozartowie przebywają w Neapolu, koncertując w domach arystokracji i dyplomatów. Wracają przez Mediolan, gdzie Wolfgang Amadè dyryguje od klawesynu trzema pierwszymi wykonaniami swej młodzieńczej opery „Mitridate, Rè di Ponto”, napisanej w czasie pobytu we Włoszech do libretta opartego na tragedii Racine'a.

Trudno się dziwić, że kto tak zaczyna, temu podróżowanie wchodzi w krew. Wszędzie gdzie był, grał. Znał więc Europę — i to nie jako turysta czy pielgrzym, lecz jako wirtuoz, mile widziany gość, choć tylko muzyk. Tą „przenośnością” swojego kunsztu, która ponad wiekami łączyła średniowieczne czeladnictwo cechowe (por. angielskich *journeymen*) ze współczesnym impresariatem, zaśluzili sobie Mozartowie na kąśliwą uwagę cesarzowej Marii Teresy von Habsburg (12 XII 1771): „*gens inutiles ... courent le monde comme des gueux*” („ludzie nieużyteczni ... biegają po świecie jak żebracy”). Tym sposobem zniechęciła ona swojego syna, arcyksięcia Ferdynanda, rezydującego w Mediolanie gubernatora Lombardii, do przyjęcia Wolfganga Amadè na stanowisko narodowego kompozytora, o które zabiegał. Nie ona jedna się na Mozarcie nie poznała.

Ostatnią swoją podróż odbył Mozart do Pragi, którą bardzo lubił i gdzie jego lubiano (po wykonaniu „Wesela Figara” pod batutą kompozytora słyszało się tu na ulicy ludzi podśpiewujących lub pogwizdujących sobie arie z tej opery; w Pradze w 1787 r. odbyło się światowe prawykonanie „Don Juana”). Ale wcześniej odwiedził też Ołomuniec, Bratysławę i Brno.

Mozart nigdy w Polsce nie był, ale przecież z Polakami się zetknął. Słyszał inne „cudowne dziecko”, Mikołaja Zygmuntowskiego z Krakowa, fenomenalnego wiolonczelistę. W 1778 r. ten siedmioletni wirtuoz wprowadził Paryż w zachwyt. Zmarł wkrótce potem, mając zaledwie piętnaście lat. W 1785 r. w Wiedniu słyszał polskiego skrzypka, wilnianina, Feliksa Janiewicza. Pełen

podziwu dla jego natchnionej gry Mozart specjalnie dla niego napisał *Andante* A-dur na skrzypce i orkiestrę (K.V. 470).

Wiadomo też o Polakach, którzy słyszeli Wolfganga Amadè grającego. Lubomirscy w Wiedniu i bracia Sołtykowie figurowali na listach koncertów subskrypcyjnych, w których występował Mozart (informację tę zawdzięczam uprzejmości pani Jolanty Bilińskiej z Warszawy). Wreszcie młodszy syn Mozarta, Franz Xaver, przez długie lata działał we Lwowie jako pianista, nauczyciel, organizator koncertów i dyrygent założonego w 1826 r. Towarzystwa św. Cecylii. Zmarł w 1844 r. w Karlowych Varach (Karlsbadzie).

No dobrze, ale na czym polegał geniusz Mozarta? Czym się ten „rodem — Austriak, sercem — obywatel świata” wyróżnił w sposób szczególny w skali stuleci?

Na twórczość Mozarta składa się 626 utworów policzonych przez Ludwika Köchla. W tym 21 oper, 18 mszy, 25 koncertów fortepianowych, 51 symfonii, 50 kwintetów, kwartetów i triów, nie mówiąc o utworach na fortepian solo. A trzeba pamiętać, że twórca tego dzieła żył zaledwie trzydzieści pięć lat, natomiast zaczął komponować (ojciec zapisywał nuty) w wieku lat pięciu. Notabene, Vincenzo Bellini żył tylko trzydzieści cztery lata, Chopin — trzydzieści dziewięć, Rimbaud i Byron — po trzydzieści sześć, Jesienin — trzydzieści. Ale młodszy syn Mozarta, wspomniany wyżej Franz Xaver, żył lat pięćdziesiąt trzy, matka Mozarta — pięćdziesiąt osiem, ojciec — sześćdziesiąt dziewięć, starszy syn Wolfganga Amadè, Carl Thomas — siedemdziesiąt cztery, siostra Mozarta, Nannerl — siedemdziesiąt osiem, żona Mozarta, Konstancja z domu Weber — osiemdziesiąt lat (zmarła w 1842 r.), z tego żoną Mozarta była tylko przez osiem lat.

Mozart pisywał przeciętnie po dwadzieścia tytułów rocznie, mniej więcej co drugi tydzień komponował jeden utwór „da capo al fine” — od początku do końca. A były w tym suity liczące po dwanaście tańców lub czteroaktowe opery („Wesele Figara”), liczone przez Köchla jako jedna pozycja. Szczególnie płodne okazały się dla Mozarta lata 1784–87. W ciągu tych czterech lat skomponował dwanaście koncertów fortepianowych, „Wesele Figara”, „Don Juana”, pięć kwintetów o różnej obsadzie, pięć kwartetów smydkowych, dwa kwartety fortepianowe (tzn. z udziałem fortepianu), trzy tria, pięć sonat na fortepian, jedną symfonię (D-dur, „Praską”), prawie wszystkie pieśni, jakie kiedykolwiek napisał. No i „Eine kleine Nachtmusik”. *Satis?*

A w międzyczasie koncertował, dyrygował, grał na fortepianie. Grywał też na organach, altówce, skrzypcach, śpiewał. Miał głos tenorowy.

Komponował właściwie stale: w swojej pracowni, w podróży, także pijąc kawę czy grając w bilard. Kiedy utwór był już

w słuchu wewnętrznym i pamięci muzycznej gotowy, zapisywał go szybko piśmem równym, czytelnym, choć drobnym. Samo zapisywanie utworu było procesem poniekąd automatycznym. Preludium fortepianowe C-dur (w katalogu Köchla nr 383 a) skomponował podczas pisania trzygłosowej fugi w tej samej tonacji. Przypadek akrobatyki kompozytorskiej, o której byśmy nie wiedzieli ani się jej domyślali, gdyby w liście do siostry z dnia 20 IV 1782 r. Mozart nie czuł się zobligowany wyjaśnić, dlaczego to preludium przysłała jej zapisane w odwrotnej kolejności, po fudze. „Komponowanie mniej mnie kosztuje wysiłku niż odpoczywanie” — pisał we wrześniu 1791 r. do swojego librecisty Lorenzo Da Ponte.

Niektóre utwory Mozarta zaginęły, o innych on sam zapomniał, kiedy w 1784 r. zaczął sporządzać spis swoich kompozycji. Inne jeszcze jego pomysły muzyczne „pożyczano sobie”. Melodią *Intrady* G-dur z młodzieńczej śpiewogry Mozarta „Bastien i Bastienne” (opartej na librecie „Le devin du village”, dziełka scenicznego, którego autorem, zarówno tekstu jak i muzyki, był J.J. Rousseau), posłużył się Beethoven (świadomie?) w motywie czołowym „Eroiki”. Kiedy w wieczór wigilijny łamiemy się oplatkiem przy wtórze kolędy „Cicha noc, święta noc” — to też jest Mozart, „pożyczony” przez organistę austriackiego Franza Xavera Grubera (1787–1863) z *Andante* pierwszej części *Divertimenta* Es-dur na instrumenty dęte (K.V. 240 a).

Czy widziany od strony twórczości geniusz Mozarta staje się nam bliższy, bardziej zrozumiały? W „Dykcyonarzy muzycznym” Jana Jakuba Rousseau, opublikowanym w Genewie w 1767 r., pod hasłem „geniusz” czytamy:

„Nie dociekaj, młody artysto, czym jest geniusz. Jeśli go masz — sam odczujesz. Jeśli go nie masz — nigdy nie dowiesz się, czym jest. Geniusz muzyka poddaje pod władzę swej sztuki wszechświat cały. Maluje dźwiękami wszystkie obrazy; każe mówić nawet ciszy” (przekład Zofii Sokolowskiej).

Kiedy 10-go maja 1781 r. Mozart złożył arcybiskupowi Salzburga, Hieronimowi Colloredo, rezygnację ze stanowiska koncertmistrza i organisty, które piastował od dwóch lat (w sposób mniej regularny i z przerwami na podróże pozostawał na usługach dworu arcybiskupiego już od lat ponad dziewięciu, czyli przez niemal połowę swego dotychczasowego życia twórczego), dokonał tym samym desperackiego kroku, który biografia tego kompozytora pozwala wyposażyć w rozmaite okoliczności towarzyszące, ale którego sens zasadniczy był przecie-

jeden: odejście od Kościoła. Co prawda również po wyjeździe z Salzburga zdarzało się Mozartowi pisywać muzykę religijną — Mszę c-moll, niedokończoną, motet „Ave verum Corpus” czy słynne Requiem, rozpoczęte w ostatnich tygodniach życia i również niedokończone — jednak przed rokiem 1781 komponował jej znacznie więcej. Był autorem 18 mszy, w tym wielkiej Mszy koronacyjnej C-dur (K.V. 317), oraz ponad trzydziestu innych utworów sakralnych, w tym Litanii loretańskiej (K.V. 109).

W gruncie rzeczy niewiele wiemy o życiu wewnętrznym Mozarta — fakty zewnętrzne nie muszą być jego ilustracją. Jeśli idea Boga stanowi istotny składnik kultury europejskiej w ogóle, muzyka Mozarta, także ta czysto instrumentalna, z całym swym bogactwem, głębią i pięknem, odnosi się do Boga w sposób absolutny, nie ograniczony literą Pisma — może tym prawdziwszy. Niemniej wspomniana decyzja, z którą wiązało się przeniesienie się Mozarta z Salzburga do Wiednia, wyznacza w jego życiu wyraźną cezurę.

Nie tak dawno temu, w tym samym stuleciu, Jan Sebastian Bach, przez dwadzieścia siedem lat kantor kościoła św. Tomasza w Lipsku (innego, ewangelickiego wyznania), nie umiałby się zapewne zdobyć na podobny krok. Powodów do narzekania i jemu nie brakowało: nieporozumienia z władzami kościelnymi i miejskimi, mizerny poziom chóru itd. Ale rzecz nie w tym, że Bach „nie mógł, choć chciałby”, lecz w tym, że „nie chciał”, bo koniec końców nie było po temu potrzeby.

Protestantyzm, Kościół w XVIII wieku nadal jeszcze „wojujący”, był w swym odwołaniu się do sił żywotnych narodu niemieckiego postępowy, będąc właśnie konserwatywnym. Hasło „powrotu do Biblii” poprzedziło hasła „powrotu do natury”, do wspólnoty pierwotnej i do innych powrotów, których sens nie był jednoznacznie wsteczny bądź progresywny. Niemniej romantyzm niemiecki mógł oprzeć się na Bachu i w nim, a nie tylko w ludowości, znaleźć pierwszy kamień milowy w swym poszukiwaniu „dawności”. Oczywiście wkład katolicyzmu w rozwój tego romantyzmu jest niezaprzeczalny (dość wymienić Wackenrodę czy Schlegla), jednak to nie jemu przypadła tu do odegrania główna rola. Racjonalizm bachowskiej polifonii harmonizował z powagą luterańskiego chorału. To na tej glebie wyrósł zastęp geniuszy muzycznych — od Beethovena po Mahlera. „Ein feste Burg ist unser Gott” („Trwałą ostoją jest nasz Bóg”) — mógł sobie nucić i myśleć J.S. Bach w swej kantacie nr 80.

Kontrreformacja, która szczególnie poparcie zyskała właśnie ze strony austriackich Habsburgów i niewątpliwie sukcesy odniosła w dziedzinie szkolnictwa (jezuici, pijarzy), nie zdołała przecież wzniecić zarzewia odnowy religijnej w stopniu wystar-

czającym. W nożycach z jednej strony Inkwizycji, formalnie zniesionej dopiero w 1820 r., z drugiej strony — rywalizacji zakonów, sprawy „żywej wiary”, bądź uchodziły za oczywiste (wcale nie tak oczywiste) założenie wyjściowe, coś, co się „wysysa z mlekiem matki” bądź w tumultach życia schodziły na dalszy plan. Winne temu były nie tylko czasy — okres Oświecenia, działalność Encyklopedystów, wystąpienia Woltera (hasło „écrasez l'infame”, 1759), ale i słabość wewnętrzna Kościoła, którego krytyka nie zdołała wzmocnić. Kiedy w 1773 r. papież Klemens XIV, franciszkanin, rozwiązał zakon jezuitów, było to jakby publicznym przyznaniem się do omyłności dróg Kościoła. Kilkadziesiąt lat później, w 1814 r., „błąd” ten naprawiono, zakon jezuitów został reaktywowany, ale to już była inna Europa. Dla orientacji i rozterki duchowej Mozarta nie bez znaczenia musiał być fakt, że on tego papieża, podejmującego decyzje likwidacyjne tak niebywale, trzy lata wcześniej (w 1770 r.) poznał osobiście. To był i „jego” papież.

Po odmowie dalszego spełniania posług muzycznych na dworze arcybiskupa Colloredo i opuszczeniu Salzburga, przed młodym, dwudziestopięcioletnim kompozytorem otworzył się nowy rozdział życia niepewnego, choć wolnego. Tak byłoby i dziś, a co dopiero wtedy! Alternatywą Kościoła (stanu drugiego) stał się dla Mozarta siłą rzeczy stan pierwszy, arystokracja — nie tylko jej salony, lecz także cała sfera jej kultury duchowej. Dla muzyka nie było podówczas innych alternatyw.

Mozart tuż przed Rewolucją Francuską odwiedził z koncertami wiele dworów europejskich — królewskich, książęcych — w ich apogeum; on naprawdę wiedział — „porównawczo” by tak rzec — na czym kultura tych kręgów polegała. Widział ich wszystkich z ukosa, z boku, siedząc przy fortepianie. Szczególny punkt widzenia! A miał dobry zmysł obserwacyjny, umiał parodiować charaktery. Wiedział, „co się nosi” w wyższych sferach Paryża, Londynu, Wiednia, Mediolanu czy Rzymu — i zgodził się na tę formułę.

Jeszcze pół wieku później Fryderyk Chopin dostrzegł w arystokracji jedyną dobrą publiczność dla swej muzyki. Pisał do Wojciecha Grzymały: „Między klasą *bourgeoise* trzeba czegoś zadziwiającego, mechanicznego, czego nie umiem; wyższy świat, co wojażuje, jest dumny, ale ukształcony i sprawiedliwy, jeżeli się przypatrzeć skłoni” (2 VI 1848).

W Wiedniu pierwszą uczennicą Mozarta została Maria Karolina Thiennes de Rumbke, kuzynka wicekanclerza dworu habsburskiego. W 1763 r. w Paryżu młodocianego Mozarta otoczył opieką i wprowadzał na salony baron Friedrich Melchior Grimm, sekretarz księcia Orleanu. W 1768 r. w Wiedniu Mozart zyskuje protektora w osobie ambasadora rosyjskiego,

księcia Galicyna. Najtrwalszym wiedeńskim mecenasem i przyjacielem Mozarta okaże się baron Gottfried van Swieten.

Ale rzecz nie w tym, co ten *beau monde* dał Mozartowi (np. van Swieten przekonał go do Bacha), lecz i w tym, co Mozart dał temu „światu”, obdarzając go swą muzyką. W czym ta muzyka dorównywała swoim słuchaczom, na czym polegał jej własny arystokratyzm?

Najbardziej fascynującą cechą mozartowskiej muzyki jest niewątpliwie jej *esprit*. Kierkegaard bodaj pierwszy wysłyszał tę jakość w operach Mozarta i próbował ją opisać. Oto muzyka „roztączonymi dźwiękami skrzypiec... zwinnie i lekko przebiega nad przepaścią życia”, dźwięki „pienią się jak wino” („Albo — albo”, 1843). Chodzi oczywiście o „Don Juana”, ale i o inne opery — „Wesele Figara”, „Czarodziejski flet” — tworzące, niczym składanka magiczna, jedną całość fabularno-mityczną jako wcześniejsze lub późniejsze „stadia erotyki bezpośredniej czyli erotyki muzycznej”.

Muzyka Mozarta nigdy nie jest nudna. Jej zalety „techniczne” tak oto określił Arnold Schönberg: 1. nierówna długość fraz, 2. koordynacja heterogenicznych elementów i tworzenie z nich jednolitych całości tematycznych, 3. niesymetryczność struktur w budowie tematów i ich części składowych, 4. kunszt formułowania muzycznych myśli ubocznych (wypowiadanych „na stronie”), 5. zgrabne wstępy i łączniki (por. artykuł *National Music* 2 z 1931 r. w książce A. Schönberga „Style and Idea”, 1975).

Muzyka Mozarta musiała być elegancka i dowcipna. Tak po prostu jest skonstruowana.

Drugą cechą arystokratyzmu tej muzyki jest jej łagodność, umiar. 26-go września 1781 r. Mozart pisał do swojego ojca: „Namiętności, nawet gwałtowne, nigdy nie powinny wzbudzać niesmaku, muzyka nawet w najstraszniejszych sytuacjach — chodzi o „Uprowadzenie z seraju” — nie powinna obrażać uszu, tylko zawsze musi się słuchaczowi podobać, czyli zawsze musi pozostać muzyką”.

Łagodność, półgłos. (W innym planie akustycznym: tylko byle szlachetka sądzi, że tym bardziej będzie „panem”, im srożej huknie na „chama”.) Łagodność wyznacza zarazem właściwy dystans. Słyszac trąby jerychońskie — wolelibyśmy wziąć nogi za pas. Muzyka dobrze słyszalna, choć cicha — tworzy intymny krąg, sprzyja skupieniu i marzeniu.

Łagodny wyraz — to bodaj zasadnicza cecha odróżniająca Mozarta od Beethovena, łączonych poza tym wspólną nazwą „klasyków wiedeńskich”. O hafaśliwych miejscami symfoniach Beethovena, o płątaninie ich tematów (*rerum concordia discors*) powiedział Ludwik Tieck, współczesny ich twórca, iż jest to

„muzyka szaleńca” (*die Musik eines Rasenden*). Antymilitarystycznie nastawiony Bertolt Brecht słyszał w muzyce Beethovena echa europejskich pól bitew — i nie lubił jej. Nawet Ryszard Wagner, mistrz patosu, odczuł w IX Symfonii Beethovena przesadę ekspresji: „wysilek niemowy” (tj. muzyki czysto instrumentalnej), by jednak przemówić. Stąd we własnej muzyce postanowił ten afatyczny dźwięk (chaos) „wybawić” śpiewnym słowem (*logos*). Rezultatem tego stała się muzyka często zbyt głośna i zbyt krzykliwa. Krzyk ten, jak i wszelkie inne przesterowania dźwiękowe wciskające słuchacza w fotel, terroryzujące go — są w gruncie rzeczy mało muzyczne. Odwykliśmy jakoś od słuchania ryku sztormów, grania armat — i delektowania się nimi. Nauczylismy się bać tego, co nieludzkie.

Mozart przedkłada nad naturę — kulturę. Najbliższy jego poczucia miary wydaje się „niemy krzyk” — koncepcja zarysowana we współczesnym mu traktacie Lessinga „Laokoon czyli o granicach malarstwa i poezji” (1766). Dramatyzm rzeźby antycznej zwanej „Grupa Laokoona” jest — zdaniem Lessinga — tym większy, że wysilek ramion ojca, usiłującego oddalić od siebie i od swoich synów duszące zwoje węży, nie osiągnął jeszcze maksimum napięcia; został uchwycony w trakcie dokonywania go, w którym my, widzowie, spontanicznie uczestniczymy. My też nie chcemy tej śmierci.

Podobny zamiar wciągnięcia widza w przedstawioną akcję jest czytelny w niektórych obrazach Rafaela.

Trzecią cechą arystokratyzmu muzyki Mozarta jest jej „panowanie nad słowem” — i to nie tylko w utworach zaopatrzonych w tekst. Mozartowi „nie płacze się język”; mówi, co ma do powiedzenia, i milknie. Być może muzyka jest w ogóle „sztuką milczenia”, tzn. umiejętnością „mówienia” pozasłownego, mówienia nawet ciszą — jak chciał J.J. Rousseau. Milczenie muzyków — oczywiście poza wokalistami — to pierwsze doświadczenie każdego, kto kiedykolwiek próbował grać na jakimś instrumencie. Ale chodzi o jakość tego milczenia.

Od nie wiadomo jak dawna, ale zwłaszcza od XVIII wieku — od momentu wejścia na forum publiczne „trzeciego stanu”, który również językowo nie zawsze dawał sobie radę — ekspresja słowna zaczęła ulegać erozji. Doszło do tego, że — jak pisze Gombrowicz w swoim „Testamencie” — dziś często „już się nie wie, co się mówi”. Jeszcze w XVII w. obok retoryki i sztuki krasomówczej uczono „sztuki milczenia” (Abbé Dinouart). Jej głównym zaleceniem było: „mieć twarz otwartą i usta zamknięte” — twarz zachęcającą innych do rozsądnego odezwania się, bystre, przyjazne spojrzenie. Potem rozgadaliśmy się sami...

Gdyby to miało przywrócić mowie naszej sens, może właśnie w „niemiej” muzyce Mozarta, w odzwierciedlonym w niej

brzmieniu świata tamtych lat, moglibyśmy wysłyszeć zapis „miloczenia”, którym się ona tak po mistrzowsku posługuje?

Kolejna cecha muzyki Mozarta to jej dialogowość. Jest ona przedziwnie śpiewna — nawet w utworach czysto instrumentalnych. Spokojny rytm, powracanie melodii, ich wdzięk — sprawiają, że łatwo i chętnie nucimy je sobie, towarzyszymy im. Ale Mozart jest przekorny, zwodzi nas, przyspiesza, moduluje, zaskakuje nowymi pomysłami muzycznymi, myślami ubocznymi, by potem znów pozwolić nam na unisonową „jednomyślność”. Słuchanie jego muzyki jest jak rozmowa z kimś miłym i inteligentnym.

A w historii muzyki tyle jest poza tym muzyki monologizującej!

Piątą cechą arystokratyzmu muzyki Mozarta jest zapisane w jej nutach wyczucie sytuacji, właściwy rozkład akcentów. Dotyczy to przede wszystkim oper, ale nie tylko ich. „Wesele Figara”, z wykwintnym dystansem i dowcipem opowiadające historię „z życia służby”, to w całości „opera sytuacyjna”. Weźmy dla przykładu finał jej pierwszego aktu. Biedny paż Cherubin, przyłapany na niewinnych amorach z Zuzanną (a na „winne” amory z nią też jest paru kandydatów), zostaje przez hrabiego Almavivę zesłany do wojska. Żeby mu umilić to „wcielanie się” do armii, zostaje natychmiast, na drogę, mianowany oficerem. Na scenie, „realnie”, nic się jeszcze nie dzieje, ale intencje wybiegają już daleko wprzód. Muzyka towarzysząca tej niby-akcji w sposób błyskotliwy oddaje kolejne jej załamania i fluktuacje nastrojów, wieńcząc akt wojskowym marszem triumfalnym — to pod adresem pазia. Żeby nam nie było żal — sympatia nasza jest w tej scenie po stronie Cherubina — marsz jest tylko mały i gustowny.

Wreszcie ostatnią z wyróżnionych tu cech muzyki Mozarta, sumującą niejako wszystkie cechy poprzednio wymienione, jest jej autentyczność, żywość. *Allegro* czyli wesoło, *con brio* czyli z wigorem, *vivace* czyli żywo — to określenia odpowiednie dla prawie każdego jej aktu, również w częściach melancholijnie zamyślonych i powolnych.

Literatura, poezja — mogą opisać uczucie, obraz — może je przedstawić malarsko w jednej, zakłętej chwili. Ale jak oddać jego wewnętrzny kształt, jego wahania i napięcia, zmienność i niezmienną — sejsmogram uczucia? To potrafi jedynie muzyka, sztuka, która niczym „relikwie w kosztownych monstrancjach” zamyka w swych dziełach odruchy serca, uczucia chwilowe i stałe — pisał romantyk niemiecki Heinrich Wackenroder w swych „Fantazjach o sztuce dla przyjaciół sztuki” (1799).

Korzystając z tych nadzwyczajnych właściwości muzyki, znając wszystkie tajniki swej sztuki, stworzył Mozart muzyczny

„portret grupowy” osiemnastowiecznej arystokracji. Udany portret.

Jaki ma sens mówienie dziś o arystokracji, której godzina historyczna, jak się wydaje, już dawno minęła? Po „trzecim stanie” przyszła kolej na „trzeci świat”...

Ale przeszłość przecież nie mija. Relatywizm czasu sprawia, że żyjemy w „muzeum wyobraźni”, pełnym wczorajszych pamiątek. Dziś, wczoraj, jutro — to tylko punkty widzenia.

W lipcu 1917 r. Paul Klee zapisał w swoim „Dzienniku”: „Mozart i Bach są nowocześniejsi niż wiek XIX”.

A arystokracja? Cóż, dobre urodzenie z pewnością jest szansą. Ale akurat na tle biografii Mozarta widać, że zwykła ludzka podłość nie była obca tej warstwie. Wystarczy przywołać imię niesławnej pamięci hrabiego Karla Arco lub historyczne *faux pas* cesarzowej Marii Teresy. O ile „dobry gust” nie musi być własnością utytułowanych głów (i uszu), przecież w pojęciach „arystokracja” i „arystokratyzm” zawiera się treść głębsza niż tylko poczucie solidarności grupowej. Składa się na nią bez wątpienia indywidualizm, jako jeden z wyróżników antycznej kultury greckiej oraz tych wszystkich (tych nielicznych), którzy poczuwają się do spadku po niej; idee „człowieka wolnego” i „odwagi cywilnej” — opisaną w VIII księdze arystotelesowskiej „Polityki” ale też wartości właściwe muzyce Mozarta i ewidentnie w niej obecne: *esprit*, łagodność, dialogowość, żywość (w innym języku: aktywność). Filozof Ernst Bloch powie, że Mozart to „greckość w muzyce” („Geist der Utopie”, 1964). *Aristos* znaczy po grecku to co najlepsze, pod jakimkolwiek względem. Jesteśmy zobowiązani tego strzec — bez względu na pochodzenie.

Czy hrabią, czy Mozartem trzeba się urodzić? Czy jest jakiś punkt styczny łączący arystokratę ducha z arystokratą krwi? A rola wychowania? Wolfgang Amadè jest klasycznym przykładem dziecka, które nie tylko przyniosło ze sobą na świat genialny talent, ale które też z całą premedytacją zostało przez ojca do wykorzystania tego talentu przygotowane, by nie powiedzieć „wprawione” — w sposób, zdaniem niektórych biografów, zbyt brutalny, niszczący osobowość (?) i dzieciństwo tego dziecka. W dobie *prolonged adolescence*, „długotrwałego dojrzwania”, metody wychowawcze Leopolda Mozarta nie znajdują wielu zwolenników. A ich rezultat? — Mozart umarł młodo, w poczuciu może nie porażki życiowej, ale i nie triumfu. Zadłużony, opuszczony przez wielu, został pochowany w beziemiennym grobie.

Ale faktem jest też, że poza Mozartem niewiele jest muzyki naprawdę wartej słuchania. Gdzie są Bach, Chopin i Verdi naszych czasów? Czy za kolejnych dwieście lat przyjdzie uznać za ich następcę Szostakowicza, Messiaena i Pendereckiego? Co się z nami stało? Czy to tylko wina tłumów zaludniających teraz naszą ziemię? A może metody wychowawcze są nieodpowiednie?

Saint-Exupery swą napisaną w 1938 r. książkę „Terre des hommes” (w przekładzie Marii Morstin-Górskiej: „Ziemia — ojczyzna ludzi”) kończy następującą opowieścią:

„Wagony trzeciej klasy były przepelnione setkami polskich robotników wydalanych z Francji i wracających do Polski. Przechodząc przez korytarze musiałem skakać przez leżące ciała. (...) Usiadłem naprzeciwko pary małżeńskiej. Pomiedzy mężczyzną a kobietą dziecko zdołało sobie zrobić miejsce i spało. Ale potem odwróciło się do mnie i jego twarzyczka ukazała mi się w świetle lampy nocnej. Ach, co za czarująca twarz! Z tej pary urodził się złocisty owoc. Z tych ciężkich łachmanów zrodził się wytwór urody i wdzięku (...) Oto twarz muzyka, twarz małego Mozarta, obietnica pięknego życia. Jest jak mały książę z legendy. Co mogłoby z niego wyrosnąć, gdyby był chroniony, karmiony i otoczony kulturą! Kiedy w ogrodach drogą mutacji powstanie nowy gatunek róży, wszyscy ogrodnicy są poruszeni. Odłącza się tę różę, pielęgnuje ją i daje się jej najlepsze warunki rozwoju. Ale dla ludzi nie ma ogrodników. Ten mały Mozart zostanie tak jak inni zgnieciony przez druzgoczącą maszynę. (...) To nie jednostka, ale raczej rodzaj ludzki jest tu pokrzywdzony. Nie mam zaufania do litości. Dręczy mnie punkt widzenia ogrodnika a nie nędza, w której zresztą człowiek osiedla się jak w lenistwie. Tego, co mnie boli, nie uzdrowią kuchnie dobroczynne. Bo to, co mnie boli, to nie ta bezkształtność, to wymięcie i ta brzydota. To po trochu w każdym z tych ludzi zamordowany Mozart”.

Antoni BUCHNER

Perły Vermeera

„Jeśli chodzi o Vermeera z Delft, Odette zapytała Swanna, czy cierpiał z powodu kobiet, czy kobietom zawdzięczał swoją inspirację. Ponieważ zaś Swann wyznał jej, że nie ma o tym zielonego pojęcia, przestała się Vermeerem interesować”. Także dzisiaj, po tylu poszukiwaniach wszczętych w roku 1880 i kontynuowanych intensywnie przez wiele dziesięcioleci, Swann nie byłby w stanie zaspokoić ciekawości Odette. Johannes (albo według aktu chrztu Johannes) Vermeer zostawił po sobie tylko około czterdziestu obrazów. Nie znaleziono ani jednego jego listu, ani jednej kartki wyrwanej z notesu lub zeszytu lakonicznych choćby zapisów dla pamięci. Egzegeci skazani są na domysły i hipotezy. Był osaczony materialnymi kłopotami, dręczyło go ubóstwo, czy radził sobie na tyle dobrze jako handlarz i właściciel tawerny, by nie gonić za szybkim zarobkiem malarzkim, malować mało i powoli, przedkładać własne zadowolenie nad łatwy sukces? Był kalwinistą czy katolikiem? Urodzony w 1632 roku w wierze kalwińskiej, ożenił się co prawda potajemnie z katoliczką, ale czy sam przeszedł również potajemnie na katolicyzm? Kim była dla niego Catharina Bolnes, poślubiona w roku 1653? Miał z nią jedenaścioro dzieci (zdaje się, że siedmioro przeżyło, a czworo umarło), ale czy łączyło ich także głębsze uczucie? Został przyjęty do gildii malarzkiej Świętego Łukasza, dochrapał się w niej nawet godności wice-dziekana najpierw a dziekana potem, czy był jednak naprawdę ceniony przez współczesnych za swój niezwykły dar malarzski? Wszystko wskazuje na to, że nie opuścił nigdy ani na dzień rodzinnego Delft, że tam spędził całe życie od kołyski do grobu, a przecież istnieje drobna poszlaka, że około roku 1654 odwiedził Rembrandta w Amsterdamie. Dlaczego wezwano go do oceny włoskiej kolekcji malarzkiej, skoro nie odbył obowiązkowego wówczas dla malarzy wojażu włoskiego, a wiadomo że miał okazję podziwiać tylko dwa czy trzy płótna Caravaggia? Jak wyglądał? Czy identyfikowanie go z niektórymi postaciami męskimi w obrazach, co robił głównie Malraux, jest czymś więcej niż supozycją? W rejestrach miejskich figurują jego częste i wysokie pożyczki: na co je przeznaczał? Jeśli niektórzy badacze mówią o jego względnym dostatku, to czemu nazajutrz po śmierci wdowa musiała zastawić dwa obrazy u piekarza dla spłacenia długu? Tenże Malraux w postaciach kobiecych Vermeera widzi jego żonę i dwie córki; inni historycy sztuki, z dobrymi

argumentami w rękach, kategorycznie zaprzeczają. Niezliczone pytania, które można bez końca mnożyć. Prowadzą do jednej konkluzji: cokolwiek o nim wiemy, jest płodem bądź imaginacji bądź intuicji. A im mniej wiemy *na pewno*, tym bardziej zagęszcza się tajemnica.

Może tajemnica jest podstawowym elementem sztuki Vermeera? Sądząc z głosów o nim, tak; tajemnica łatwa na pozór do uchwycenia, nie umykająca mniej lub więcej celnym słowom jakiego określenia lub opisu, aby zaraz potem uprzytomnić patrzącemu, że jest zaledwie wierzchnią warstwą wielowarstwowego dzieła. Ze wszystkich pytań, wahań, wątpliwości, jakie rozsypałem wyżej, najistotniejsze jest według mnie przykucie Vermeera do Delft; nie, nie, przykucie sugeruje przymus, a tu chodzi o przywiązanie, o miłość do jednego miejsca. Rozumiem pokusę wysłania Vermeera do Amsterdamu, z wizytą do Rembrandta, podzielał pragnienie wyobraźni zobaczenia ich razem, obok siebie, Rembrandta pokazującego gościowi *Zuzannę w kąpielu*, Vermeera odwijającego z opakowania dla gospodarza *Dziewczynę w turbanie*. Pęd wyobraźni ośmiela nawet do podsluchania, co mówią. Ale dla prób przeniknięcia tajemnicy Vermeera więcej jest warte jego czterdziestotrzyletnie, nieruchome wtopienie w Delft, niż poddanie się galopującym meandrom wyobraźni. Chcąc się do niego przybliżyć, lepiej od razu powiedzieć: nie oddalał się nigdy poza rogatki swego rodzinnego miasta.

Zacznijmy tedy od miasta, od *Widoku Delft*, który Proust nazwał „najpiękniejszym obrazem świata”. Proust też, zgodnie z upodobaniami cieplarnianych rafinatów, uznał oczami Bergotte'a żółty kawałek muru w prawym rogu obrazu za namalowany tak wybornie, że oglądany oddzielnie mógł śmiało uchodzić za twór „samowystarczalnego piękna”. Bergotte w przedśmiertnym majaczeniu powtarzał: „Żółty kawałek muru”. Rafinacje tego typu, podobne do wskazywania palcem „jednego szczególnie wersu” w długim poemacie, lub „jednej zwłaszcza metafory” w ogromnej powieści, nie prowadzą naturalnie do niczego, poza pawim „patentem znawstwa” upragnionym przez ich autora. W wypadku *Widoku Delft* są gorzej niż śmieszne, bo irytujące. Cud namalowanego przez Vermeera miasta rodzinnego jest cudem *całości*.

Z jednej strony Kenneth Clark i Roberto Longhi. Clark zapewnia, że doskonałość odtworzenia atmosfery w *Widoku Delft* nie została przez nikogo prześcignięta, jeśli chodzi o „czystą dokładność”; ze wszystkich dzieł malarstwa obraz Vermeera jest „najbliższy kolorowej fotografii”. Longhi dostrzega w *Widoku Delft*, w połyskujących ceglach, rzadki aspekt „martwej

natury miasta”. Z drugiej strony wszyscy ci — historycy sztuki, pisarze, malarze — którzy wychodzą ze skóry, aby słowem przyspilić poetycką zagadkowość sztuki Vermeera: „zwierciadło magiczne”, „tęcza”, „promieniowanie materii”, „zaczarowane milczenie”, „światło jako niewyczerpana czarodziejka”, „alchemia”. Claudel nie znajduje wręcz właściwych przymiotników we własnym języku i pożyca z angielskiego *eery, uncanny*.

Ale Clark, pochwaliwszy „czystą dokładność” spowinowacaną z „kolorową fotografią” (niech mu to będzie wybaczone na Sądzie Ostatecznym), odnajduje swoją krytyczną subtelność w zdaniu o „tajemnie prawdziwej tonacji vermeerowskiej, użytej z nieludzkim prawie poczuciem dystansu, oderwania”. Malarz nie pozwolił swojej uwadze skoncentrować się na żadnym szczególe (dotyczy to również „żółtego kawałka muru”), aby każdą w obrazie rzecz zogniskować w absolutnej jedności kompozycji. Im dłużej ogląda się *Widok Delft*, tym bardziej obraz staje się skomplikowany, tym lepiej widać jak ściśle obmyślony jest jego rysunek, z tym większą precyzją łączą się w nim elementy składowe.

Ja jednak, godzinami wpatrując się w *Widok Delft*, widzę w nim piękności, o których napomykają pobieżnie nieliczni piszący o Vermeerze. Huizinga: „We wszystkim co maluje Vermeer daje o sobie znać równocześnie atmosfera wspomnień z dzieciństwa, spokój snu, całkowita nieruchomość i elegijna jasność, zbyt subtelna by ją nazwać melancholią. Realizm? Vermeer prowadzi nas daleko od wulgarniej i nagiej rzeczywistości codziennej”. Ważna jest, wróć do niej, inna uwaga Huizingi: „Vermeer nie ma tezy, określonej idei, nie ma nawet, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, własnego stylu” De Tolnay: „Obrazy Vermeera można bez wątpienia nazwać najdoskonalszymi martwymi naturami w sztuce europejskiej, martwymi naturami w sensie pierwotnym, *vie silencieuse, still-life, Still-leben*; wyrażają one znakiem rzeczywistość doskonałą, w której spokój owijający rzeczy i ludzi (traktowanych jako przedmioty) pozwala odgadywać tajemne między nimi związki. W obrazach tych trwanie zdaje się zawieszona, życie codzienne nabiera wyrazu wieczności”. Lorenza Trucchi: „Cała sztuka Vermeera jest zatrzymaniem chwili, poświęceniem za wiecznością. Vermeer nie jest klasykiem, przeciwnie, jest jednym z najnowocześniejszych malarzy XVII stulecia, właśnie dzięki tej tajemnicy, dzięki temu subtelnemu zwątpieniu o rzeczywistości”.

Widok Delft czyli wszechświat rodzinnego miasta, odbity w dole w lustrze wody, wzniesiony ku górze w szerokiej i wysokiej oprawie nieba. Panoramiczne bogactwo nie przeszkadza cyzelacji szczegółów, cyzelacji jakby rżniętej uważnie w szkle, lecz wolnej od zbyt pedantycznego dotyku cienkiego dółka.

Bogatsza też niż zazwyczaj gama kolorów, przy czym vermeerowska żółć odsunięta jest na dalszy plan, zmajoryzowana przez brunatno-rdzawy odcień murów i czerwień dachów. Miasto widziane *równocześnie* w rzeczywistości i w sennym marzeniu. Figury na przedzie, na tamtym brzegu piaszczystej łachy, po przeciwnej stronie kanału, robią wrażenie odciętych od panoramy, wyłączonych z obrazu. Delft zamartwiało na pozór, ale żywe w głębi, właśnie jak ocalona ze snu, a nie ulotna na szczęście, zjawia. Pod powierzchnią, w absolutnej i sekretnej ciszy czasu zatrzymanego, coś się w senno-realnym mieście dzieje. Bardzo wolno, w nieuchwytnym dla oka ruchu, jak rośnię i dojrzewa perła w muszli.

Co znaczy spostrzeżenie Huizingi, że Vermeer „nie ma tezy, nie ma idei, nie ma nawet własnego stylu”? Brak mi odpowiedniego, trafnego słowa, myślę jednak — i może to samo myślał Huizinga — o swoistej mediumiczności malarza z Delft.

Van Gogh pisał w liście z roku 1877: „Znasz malarza nazwiskiem Jan van der Meer (*sic*)? Namalował holenderską panią, piękną, dystyngowaną, która jest w ciąży. Paleta tego dziwnego artysty zawiera błękit, cytrynową żółć, perłową szarość, czerń i biel. To prawda, że w jego obrazach można znaleźć całą gamę kolorów, ale połączenie cytrynowej żółci, przygaszonego błękitu i jasnej szarości jest dla niego charakterystyczne, jak dla Velázquezza zgranie czerni, bieli, szarości i różowości... Holendrzy nie posiadali wyobraźni, lecz za to mieli nadzwyczajny smak i nieodzowny zmysł kompozycji”.

Ta dystyngowana pani w ciąży to *Kobieta w niebieskim kaftanie*, czytająca list. Czyta go na stojąco, obok stolika i dwóch krzesel, na tle wielkiej ściennej mapy; w pobliżu stolika wije się brązowy szal, na stoliku leży książka. „Dziwny artysta pozbawiony wyobraźni”, obdarzony za to „smakiem i zmysłem kompozycji”, stworzył z kilku zaledwie elementów portret z wnętrzem o tak zmityzowanej ekspresji, że nie powstydziłby go się Van Gogh, choć u Vermeera jest to ekspresja wyciszona, celowo przytłumiona, bez szalonych wibracji i skrętów, do których później przyzwyczał nas Vincent.

Brzmi może przesadnie „ekspresja zmityzowana”, a jednak taki ma charakter redukcja holenderskiej dekoracji pokojowej, na ogół u Holendrów bardzo rozrzućnej i wyszukanej, i bardzo zarazem obciążającej obraz, na rzecz osób. Dwie istnieją odmiany scen rodzinnych w malarstwie tego rodzaju, jedna kładzie nacisk na otoczenie (meble, układ mieszkania, przedmioty ozdobne, czarne kąty), druga na ludzi. Vermeer skupia całą prawie uwagę na ludziach. Wydaje się, że żyją zamknięci, że wszystko co ich zajmuje i dotyczy odbywa się w czterech ścia-

nach pokoju. Jeżeli *Widok Delft* nazwałem wszechświatem miast, to trzeba też u Vermeera dostrzegać tendencję do kreowania małych wszechświatów domowych w Delft. *Kobiecie w niebieskim kaftanie* czytającej list na tle mapy odpowiada *Dziewczyna czytająca list koło okna* (otwartego lecz bez skrawka krajobrazu), uroczą *Kobietę z listem miłosnym*, odrobinę banalna *Dziewczyna pisząca list*, przy stole zastawionym owocami *Dziewczyna w trakcie drzemki*, wreszcie *Kobieta z dzbanem*, która (także na tle mapy) odchyła ostrożnie ze spuszczoneymi oczami skrzydło okienne, jak gdyby obawiała się spojrzeć na Boży świat. Panuje u Vermeera w wizerunkach kobiet z tej serii aura klauzury. Może dlatego wyjątkową rolę odgrywa pisanie i czytanie listów, mowa wdrożonych do milczenia. Życie z zewnątrz wnoszą służące, pokojówki, mleczarki, ocierające się przelotnie tylko o domowe universum. Komórką, cząstką *Widoku Delft*, pokazaną w przybliżeniu i powiększeniu, jest *Uliczka*, gdzie czerwony mur domowej warowni wchłania trzy figurki kobiece. W bezruchu popołudniowej lub przedwieczornej godziny.

Słynna *Dziewczyna w turbanie* i *Dziewczyna z welonem* są przykładem vermeerowskiego portretowania samych głów kobiecych na ciemnym tle, bez ornamentacyjnej otoczki. Wszystko tkwi w przybraniu głowy i ramion, w niesłuchanie harmonijnym doborze kolorów, co sprawia że obie twarze stają się wyrazem piękna niemal angelicznego. Nie powinno dziwić, że cudowną, pełną słodyczy twarz *Dziewczyny w turbanie* zestawiano z *Madonną z Senigalii* Rafaela. A przecież takie portrety z nadziemskimi odcieniami czystości, wydestylowane ze sztuki Vermeera, nie mogą wyzwolić się całkowicie z pewnej sztuczności, jakby malarz chciał dowieść (sobie czy innym), że jego pędzel zdolny jest i do tego. Jest bez wątpienia zdolny, lecz geniusz Vermeera czuje się naprawdę w swoim żywiole, gdy złowiony i unieruchomiony odprysk świata zewnętrznego, ów fragment domowego universum, zawiera coś więcej niż samą głowę kobiecą. Już dwa portrety mniej zbliżone do ekstraktu piękna i obfitsze (jeśli tak można powiedzieć) w tło, *Dziewczyna w czerwonym kapeluszu* i *Dziewczyna z flautem*, ukazują Vermeera na twardszym, naturalniejszym dla niego, gruncie. A szczytem jest tu *Koronkarka*, gdzie nie wiadomo co bardziej podziwiać: twarz pochyloną nad robotą, z opuszczonymi powiekami i łokiem wyszarpiętym z fryzury, czy samą robotę, stolik pokryty podszkami, szpulkami, wielobarwnymi nićmi.

Z Rembrandtem łączyła Vermeera przede wszystkim teatralność, przy czym o ile mówiąc kiedyś o rembrandtowskiej „teatralności” posłużyłem się cudzysłowem, u Mistrza z Delft ten motyw w jego malarstwie ma cechy większej autentyczności,

wyduje się rozmyślny, zamierzony. Vermeer jak gdyby bawił się w inscenizację. Nawet kiedy nie wychodził poza jednoosobowe pozowanie, starał się przyłapać na gorąco gest teatralny. Trzy kobiety — każda w innym płótnie — grające na szpinecie, na lutni i na gitarze, tak je utrwalił artysta; i tak chciał, aby wyglądały i były tego w pełni świadome. Krokiem dalej jest *Atelier*. Pozuje do obrazu dziewczyna z instrumentem muzycznym w prawej ręce, z księgą w lewej, w wieńcu splecionym z liści laurowych na głowie; maluje ją na obrazie malarz, odwrócony do nas plecami, w birecie i kostiumowym odzieniu, na sztalugach zaczęte dopiero płótno odstawia chwilowo fragment laurowego wieńca; w tle mapa, na stole udrapowane jedwabie, w lewym rogu uchylona zasłona, z drewnianego stropu zwisa ciężki świecznik. Dziewczyna w luźnej niebieskiej szacie ma przymknięte oczy, gdyż tego wymagał pomysł inscenizacyjny. Obraz do tego stopnia teatralny, że oczekuje się by malujący odwrócił głowę do patrzących; ujrzeliby wtedy Vermeera w podwójnej roli, malarza i reżysera.

Cała seria obrazów teatralnych — *Koncert w trójkę*, zabawna *Kokietka*, zachwycająca kolorystycznie *Lekcja muzyki*, dość podstępny mężczyzna upijający kobietę w wiadomym celu, prześwietlony aż *Wojskowy z roześmianą dziewczyną* — prowadzi do arcydzieła gatunku, do wspaniałej sceny *U rajfurki*. Uśmiechnięta rajfurka w białym czepcu i żółtym kubraczku, do pasa przykryta dywanem, z kielichem w jednej ręce, drugą wyciąga po monetę, zapłatę z góry od trzech klientów w lupanarze. Stojący za nią mężczyzna w dużym kapeluszu, w czerwonej kurtce, kładzie jej dłoń na piersi; dwaj pozostali zerkają z półcienia, przy czym jeden zerkna na nas, na widownię. Zapytany o gradacyjną tabelę obrazów Vermeera, postawiłbym *U rajfurki* obok *Widoku Delft*.

Niewiarygodne wręcz dla mnie w teatralnych obrazach Vermeera jest współistnienie dwóch właściwości, które — rzekłbyś — powinny się kłócić, zmierzać raczej do zderzenia. Jak pogodzić ukrytą akcję dramatyczną, naturalną w każdej inscenizacji, z malarskim wyrazem czasu zatrzymanego? Jak Mistrzowi z Delft udało się zachować ten główny kanon jego poetyki — właśnie czas zatrzymany — wprowadzając jednocześnie na scenę czas płynący, czas zaczętego działania? Niech będzie uchylony rąbek malarskiego i poetyckiego sekretu Vermeera. Niech spróbują to zrobić ulubione przez niego perły.

Przedziwny obraz ta *Kobieta wążca perły*. Kobieta jest w ciężkiej, w ciemnoniebieskiej narzucie obszytej białym (prawdopodobnie gronostajowym) futerkiem, trzyma w prawej ręce maleńką jubilerską wagę, patrzy na nią zamyślona, na stoliku

walają się w nieładzie luźne perły i naszyjniki z pereł, od strony zasłoniętego firanką okna wdziera się skąpa smuga światła, obok okna wisi lustro, za kobietą połowę ściany zajmuje malowidło przedstawiające co?, Sąd Ostateczny?, piekło?, raj? Malarz *Alegorii wiary*, nieudanej zresztą, miał pewną słabość do ujęć alegorycznych. Zapewne i w *Kobiecie wążca perły* wije się jakaś alegoryczna nić, ale trudna do odgadnięcia.

Prócz tego obrazu, perły zdobią większość kobiet namalowanych przez Vermeera. Niekiedy rozmiarów rzadkich albo i niebywałych w naturze, na ogół rozmiarów normalnych, zawsze w formie kolczyków. Od czasu do czasu kolczykom towarzyszą również naszyjniki. Inwazja pereł u Vermeera zastanawiała niektórych historyków sztuki, ale wyciągali z niej wnioski dość pospolite: a to że perły były w epoce Vermeera ważnym składnikiem mody kobiecej i dzięki dalekim podróżom Holendrów należały do klejnotów stosunkowo łatwo dostępnych, nawet poza sferą zamożnego kupiectwa; a to że perłowa szarość, jak zauważył między innymi Van Gogh, miała swoje ważne miejsce w palecie Vermeera, często więc bywało najprostszym odwołać się paroma pociągnięciami pędzla do źródła koloru. Zdrowy rozsądek przytakuje takim wyjaśnieniom. Ale ja, nie będąc historykiem sztuki, lekce sobie ważę sądy i wyjaśnienia wyważone, oparte na tzw. konkretnych przesłankach, i w moich wizerunkach wybranych malarzy szukam czegoś zupełnie innego. Czego? Tego samego, co stanowi podstawę krótkiej noweli: poetyckiego jądra; w wypadku wizerunków malarzy, poetyckiego jądra ich sztuki.

A zatem umocniłem się stopniowo w przekonaniu (albo, jak zawyrokowałby historyk sztuki, wzruszając pogardliwie ramionami, uroliłem sobie), że Vermeer był zafascynowany tajemnicą narodzin i powolnego — bardzo powolnego, prawie statycznego — wzrostu perły. Perła rośnie i dojrzewa latami w muszli wokół jądra wielkości ziarenka piasku w tempie, które wolno nazwać czasem zatrzymanym. Czas zatrzymany zaś, jak parokrotnie napomknąłem, jest duchem malarstwa Vermeera. Chciałbym wierzyć, że Vermeer „rozsyłał” w swoich obrazach tyle pereł, aby uzmysłwić — może tylko sobie? a może także innym? — jak powstawały w wyobraźni, w oku i w inteligencji artysty. Każdy jego obraz jest perłą. Nie wyłączając perły największej i najpiękniejszej, *Widoku Delft*.

Przykry obowiązek każe na zakończenie powiedzieć słówko o perłach fałszywych, podrabianych, czyli o produkcji Van Meegerna. Że był falsyfikatorem wybitnym, nie trzeba długo dowodzić, skoro zamydlił oczy rzeczoznawcom pierwszej wielkości. Jednej tylko rzeczy nie mogą zrozumieć, jakkolwiek to co

powiem będzie pewnie uznane za wymądrzanie się *ex post*, gdy wiadomo już które perły vermeerowskie, i w jaki sposób, sfałszował zręczny malarski bankrut, zakochany podobno w sztuce Mistrza z Delft. Otóż Vermeer nie celował w tematach mitologicznych i religijnych, widać w nich od razu skrępowanie i przymus, a te właśnie tematy podrabiał z wyjątkowym upodobaniem Van Meegeren. Nie dawało to do myślenia ekspertom? Ze znanych mi jeden tylko obraz religijny zachwyca i wzrusza, *Chrystus w domu Marty i Marii*. Ale ta wizja strudzonego wędrowca, goszczonego przez dwie typowe Holenderki z ludu, mogłaby z powodzeniem być perłą znaną w jednym z domów Delft.

Lipiec 1991

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

O kulturę przez duże czy małe „k”?

Pytanie postawione w tytule stanowi problem, z którym bynajmniej niełatwo dać sobie radę. Od kilkudziesięciu lat żyję wśród ludzi, którzy wykazują na ogół słaby poziom ogólnej wiedzy i wykształcenia. Brak im podstawowych wiadomości z historii czy geografii. A jednocześnie ci sami Australijczycy są niewątpliwie ludźmi o dużej kulturze współzycia, kulturze na co dzień, przez małe „k”.

Wiadomo, że Polacy są bardzo przywiązani do tradycji. Wiemy także, że na nasze myślenie i wychowanie duży wpływ miała literatura. Nie ulega kwestii, że oba te czynniki stanowią źródła cennych i w jakimś stopniu *specyficznie polskich wartości*. One zaś z kolei odegrały w życiu narodu polskiego podstawową rolę: pozwoliły na przeżycie. Dzięki tym specyficznym polskim wartościom naród przetrwał hitlerowską okupację bez Quislinga i kolaboracji mającej miejsce w wielu krajach. Te specyficzne polskie wartości, których nie będziemy w tym miejscu katalogować czy omawiać, doprowadziły także do powstania „Solidarności” i, w dziesięć lat później, dały początek światowej klęsce komunizmu.

Z bezpośrednich kontaktów i ogólnych obserwacji Polaków urodzonych i wychowanych po wojnie odnoszę wrażenie, iż posiadają oni znaczny stopień *oczytania i ogólnego wykształcenia*. Zary-

zykowałbym twierdzenie, że przewyższają pod tym względem ludzi z wielu krajów na Zachodzie. Są więc nasi rodacy obznajomieni z Dickensem, Tołstojem, Molierem czy Kafką. Legitymują się na ogół znajomością Camusa, Hemingway'a lub Greene'a, nie mówiąc o całej plejadzie rodzimych pisarzy, od Prusa, Sienkiewicza czy Orzeszkowej, do Żeromskiego, Andrzejewskiego, Brandysów czy Konwickiego. Można chyba bez dużej przesady powiedzieć, że Polacy są *wychowani* na dobrej literaturze, choć oczywiście nie zawsze mieli dostęp do wszystkich jej dzieł.

A jednocześnie — nie musimy tu tego uzasadniać — ci sami Polacy tworzą społeczeństwo wykazujące się, niestety, *niskim stopniem cywilizacji*, tzw. kultury przez małe „k”.

Dziś już wszyscy oczywiście rozumiemy destruktywny, demoralizujący charakter systemu komunistycznego, w którym *volens nolens* wychowali się ci ludzie. Jego oddziaływania nie można było całkowicie uniknąć, niezależnie od takich czy innych dodatnich wpływów (np. rodziny czy Kościoła), pod którymi jednocześnie mogli się znajdować. I jest także jasne, że wiele lat będzie musiało upłynąć dla całkowitego usunięcia wszystkich skutków sowietyzacji. W tym miejscu chcielibyśmy tylko stwierdzić następujący fakt: przyjmowany przez nas za oczywisty *pozytywny wpływ literatury* (czy w ogóle kultury przez duże „k”) nie stanowił bynajmniej dla choroby sowietyzacji odpowiedniego (czy wystarczającego) antidotum. Okazuje się bowiem, że *ci sami ludzie*, szczącą się często, i nie bez racji, znajomością najlepszych dzieł rodzimej czy obcej literatury, potrafią *jednocześnie* wykazać prymitywizm i brak podstawowych cech niezbędnych dla kulturalnego, społecznego współzycia. Chodzi o brak takich postaw, jak:

- poszanowanie własnego słowa i wynikający z tego imperatyw solidności
- tolerancja i respekt dla odmiennych poglądów
- podstawowy, ogólny szacunek dla człowieka
- dbałość o wspólne mienie, o dobro publiczne, o sprawy dotyczące wszystkich
- akceptacja ludzi innych kultur, ras czy narodowości.

Ten krótki katalog wielkich polskich wad jest ogólnie znany. Przypomnienie ich tutaj nie ma na celu jeszcze jednej próby biadolenia nad nimi. Jasne, że wszyscy świątli ludzie pragną szybkiego ich zaniku. Chodzi natomiast o uzmysłowienie sobie, że znajomość literatury, dobrych sztuk czy filmów nie okazała się wystarczająca dla uniknięcia powstania tych ujemnych narodowych cech. Nie mogła widocznie kultura przez duże „k” zapobiec korupcyjnemu działaniu sowietyzacji, czy w wystarczającym stopniu przeciwdziałać wynikającemu z niej upadkowi cywilizacyjnemu.

Jeżeli teraz zgodzimy się, że podniesienie z tego upadku jest obecnie — obok szybkiego uzdrowienia gospodarki — podstawowym problemem Polski, zachodzi pytanie: jak można to osiągnąć? Zresztą pewien ogólny wzrost cywilizacji *jest warunkiem* podniesienia

z upadku gospodarki. Ale jak wychowuje się społeczeństwo, żeby szanowało wspólne dobro? Jak nauczyć ludzi dotrzymywania danego słowa? Jak zapewnić czystość klatek schodowych? Jak dojść do powszechnej akceptacji pluralizmu oraz do tego, aby ludzi *dlatego*, że są *inni* nie obrzucać epitetami w rodzaju Żyd, Ruch, brudny Arab czy „skośny” (czyli Azjata)? Jak to osiągnąć? Nie wiem. Nie zajmuję się socjotechniką, nie jestem „inżynierem ludzkich dusz”.

Ogólnie rzecz biorąc wydaje się, że rozwój demokracji, budowanie i funkcjonowanie tzw. społeczeństwa obywatelskiego — obok systemu prawa i praworządności — polegają na podejmowaniu *konkretnych*, często drobnych, *inicjatyw społecznych*. Na podstawowych *działaniach* w małej lokalnej społeczności wsi, bloku mieszkalnego, dzielnicy, czy szkoły. A ponieważ proces demokratyzacji oznacza generalnie zmniejszenie interwencji państwa w sprawy obywateli, może ono i *powinno* swą ewentualną rolę ograniczać do wyróżniania niezależnych inicjatyw społecznych w różnych dziedzinach. Symbolicznego choćby wyróżniania po to, aby zachęcać do ich rozszerzania i mnożenia. Postulat ten nie musi zresztą ograniczać się tylko do roli państwa, ale stanowić wskazówkę dla polityki wszelkich instytucji zajmujących się popieraniem kultury.

Odebranie kulturze poprzedniego mecenatu państwowego spotyka się często ze sprzeciwem twórców i innych jej przedstawicieli. Jest zupełnie zrozumiałe, że to oni właśnie biją na alarm i rwą włosy z głowy z powodu rzekomo nieuniknionego upadku kultury przez duże „k”, jaki ma być tego następstwem. Nie tu miejsce na analizę za i przeciw oficjalnego mecenatu kultury i wpływu, jaki wywiera on na jej rozwój. W najmniejszym stopniu nie umniejszam znaczenia przeczytania dobrej książki czy obejrzenia wartościowej sztuki. Ale konieczne jest zdanie sobie sprawy, że w wypadku zbankrutowanej Polski środki na popieranie kultury — jak wszystkie inne — są niezwykle ograniczone. I choć narażę się tutaj wielu przedstawicielom literatury, filmu czy sztuki twierdząc, że Polski nie stać na oficjalne poparcie kultury przez duże „k”. Dobra książka, film czy sztuka będą musiały zarobić na siebie, tak jak to się dzieje w wielu demokratycznych krajach zachodnich, w których mimo braku oficjalnego mecenatu ta kultura przez duże „k” nadal się rozwija. Natomiast te skromne środki, które posiada czy wypracuje borykające się z niezwykle trudnościami państwo na popieranie kultury muszą być przeznaczone dla tej „małej” kultury, kultury przez małe „k”. Całkowity priorytet powinny posiadać wszelkie inicjatywy społeczne polegające na wzięciu naszych spraw we własne ręce. A kiedy pod względem cywilizacji dorównamy w końcu krajom Zachodu, kiedy wreszcie wzbogacimy się trochę, będziemy mogli rozpocząć publiczną debatę na temat zakresu i form poparcia, na jakie powinna liczyć ta „duża” kultura, kultura przez duże „k”.

Jerzy BONIECKI

Dział polski w British Library

(CZY PRACA HANNY ŚWIDERSKIEJ PÓJDZIE NA MARNE?)

Aż do ostatniej wojny wiedza o Polsce nie należała do ważniejszych zainteresowań wielkich bibliotek naukowych Zachodu i gromadzony przez nie materiał był rzeczą przypadku: co wpadnie w ręce. W czasie Drugiej Rzeczypospolitej, gdy wreszcie śledzenie polskiego rynku wydawniczego ułatwiło pojawienie się bibliografii narodowej, kryzys ekonomiczny ciężko dotknął utrzymywane z publicznych funduszy księgozbiory, tak że dopiero po r. 1945 slawistyka (w odróżnieniu od zawsze honorowanej rusycystyki) zaczęła szerzej wkraczać do bibliotek naukowych na Zachodzie, a wśród ich pracowników pojawili się Polacy, dla których gromadzenie wiedzy o Polsce dla zachodniego odbiorcy stało się nie tylko służbowym obowiązkiem, ale i osobistym powołaniem.

Do takich pracowników książki polskiej należała dr Hanna Świdorska, która przez parę dziesiątków lat była jednoosobowym „działem polskim” w sekcji slawistycznej Biblioteki British Museum (od 1973 British Library). Do tego najbogatszego bodaj polskiego księgozbioru poza Polską dotarła okreśną drogą *via* Sybir (wywózka z Białowieży, gdzie jej ojciec był inspektorem Lasów Państwowych, w lutym 1940), Persję i Palestynę. Po półrocznej edukacji w szkole sowieckiej na posiołku Oktiabrskim w nowosybirskiej *oblasti* (kto by wtedy zgadł, że wyuczony tam język przyda się po latach w British Museum?) średnie wykształcenie otrzymała w polskich szkołach w Ain Karem koło Jerozolimy i w Stowell Park w Anglii, gdzie w 1950 r. zdobyła polską maturę. Że jednak trzecia wojna światowa i powrót do domu nie nadchodziły i polska matura okazała się mało przydatna, trzeba było w ciężkim trudzie, pracując jako *czarnoroboczy*, nauczyć się „prawdziwego” angielskiego i zdać angielską maturę. Dalszym etapem, typowym dla jej pokolenia (opisała to w *Moich uniwersytetach*) były studia na angielskich uczelniach, w tym wypadku historyczne w Birmingham i Oxfordzie, zakończone doktoratem w 1960 r. W następnym roku rozpoczęła główną pracę swego życia: w sekcji slawistycznej Biblioteki British Museum. Od 1959 r. jej polskie zbiory rozbudowywał ze znanstwem Michael Atkins, pierwszy w dziejach tej instytucji polonista, uczeń prof. Jerzego Pietrkiewicza¹, który miał już w swym dorobku głośną

1. Uwaga Redakcja 2-go wydania *Słownika pracowników książki polskiej* w Warszawie: szczególny o Michaelu Atkinsie w „Liście z Londynu” G. Nowak, *Kultura* nr 11/338 z 1975 r.

wśród londyńskich Polaków wystawę milenijną z doskonale zredagowanym katalogiem. Jego drugą specjalnością były języki i literatury Jugosławii i po kilku latach Hanna Świdierska przejęła od niego dział polski, gdy zdecydował skoncentrować się na Jugosławii. Jako miłośnik polskiej literatury, nadal jednak żywo interesował się książką polską i służył radą swej następczyni, stawiającej pierwsze kroki na niwie polskiej bibliografii i praktyki biblioteczej. Drugim źródłem tej wiedzy i natchnienia do wprowadzenia jej w życie była dr Maria Danilewiczowa, panująca wówczas w Bibliotece Polskiej w Londynie. W tych latach współpraca między tymi dwiema instytucjami (wymiana dubletów, czytelników i użytecznych informacji) była bardzo bliska.

Obok zwykłych prac biblioteczych, głównym obowiązkiem Hanny Świdierskiej było gromadzenie obejmujące druki krajowe, emigracyjne spoza Anglii (miejscowe wpływają jako egzemplarz obowiązkowy) i antykwariat, tu przede wszystkim zatkane „czarnej dziury” z okresu Dwudziestolecia. Przy użyciu pomysłowości i znajomości dziura została dość gruntownie zatkana, a z ważnych wydawnictw bieżących wszystko bodaj wpłynęło do zbiorów, choć niekoniecznie do katalogu, o czym dalej. Bliższe dane można znaleźć w *Kulturze*², nie ma więc potrzeby tutaj wracać do tego tematu.

Wczesne lata pracy Hanny Świdierskiej zbiegły się z rewolucją w handlu książką krajową, gdy powołana do jej rozprowadzania za granicą warszawska Ars Polona przystąpiła do nadzwyczaj skutecznego tępienia tego handlu przez nagłe i fantastyczne wyśrubowanie cen, sądząc widać, że świat kapitalistyczny jest tak zafascynowany Peerelem, że zapłaci każdą cenę. Hanna Świdierska usłyszała od ówczesnego, pożał się Boże, dyrektora tej Sztuki Polskiej: — Co Pani chce, kielbasa też podróżowała! — Ze fundusze bibliotek nie uwzględniają jednak ceny kielbasy, trzeba było przystąpić do organizowania wymiany z bibliotekami naukowymi w Polsce, co wyeliminowało „Sztukę” jako dostawcę „towaru” do British Museum. Miało to się przypomnieć Hannie Świdierskiej w następnych latach. Wymiana pozwoliła jej jednak zawrzeć bliższą znajomość i kilka przyjacieli i wiele się nauczyć od krajowych kolegów i koleżanek po fachu, choć nie zawsze doceniała wstępne komplementy w rodzaju: — Ależ pani mówi całkiem dobrze po polsku! — Miało to jednak i drugą stronę medalu, bo — w odróżnieniu do gromadzenia normalną drogą handlową, do czego wystarczy dobra księgarnia — współpraca z bibliotekami krajowymi postawiła ją w kłopotliwej sytuacji jako urzędnika instytucji angielskiej, z natury swej apolitycznej. Z jednej strony były to czasy, gdy służbowe podróże do Polski, nawet do instytucji naukowych i — co gorsze — w imieniu

2. H. Świdierska: „Polskie zbiory w British Library”, *Kultura* nr 6/417, 1982; P. Skrzynecki: „Warto by pomóc. Rozmowa z Hanną Świdierską”, *Kultura* nr 9/504, 1989.

instytucji angielskiej, pachniały zdradą narodową i dyskredytowały winowajcę w oczach emigracyjnych rejtanów. Oparte to było na bzdurnym dogmacie, że kto zwraca się o wizę do władzy „ludowej”, ten *ipso facto* uznaje tę władzę, i na nic nie zdały się kontrargumenty, że najbardziej nawet niezłomni, jeśli w Londynie konsumują polską wódkę i kielbasę, również działają na korzyść tej władzy. Z drugiej strony służbowe podróże i potrzeba wyrobienia wizy zakładały konieczność utrzymania minimum aprobaty teje „waaadzy”. Z tej sprzeczności nie zawsze można było wybrnąć stosując zasadę: biblioteki — przyjaciele, waaadza — wróg. Rzutowało to i na życie prywatne: przy pisaniu dla Kultury „Listów z Londynu” (1973-79) Hanna Świdierska była Grażyną Nowak, a w londyńskich *Wiadomościach* i przy wydaniu *Moich uniwersytetów* (Londyn 1971) i *Pogranicza* (Paryż 1980) Janiną Kowalską.

Waaadza zwróciła na nią uwagę w r.1973, gdy była współorganizatorką wystawy kopernikowskiej w British Museum, prawdopodobnie jako na osobę, która mogłaby się przydać do szerzenia wiadomej propagandy. Od tej pory zaczęła regularnie otrzymywać urzędowe zaproszenia na obchody rocznic Manifestu Lipcowego i inne patriotyczno-towarzyskie okazje w miejscowej ambasadzie i na „polonijne” rykowiska w ojczyźnie ludowej, z atrakcyjnymi wyżerkami itp. na koszt polskiego podatnika. Jako angielski urzędnik musiała odpowiadać formalnie, że dr Hanna Świdierska dziękuje za uprzejme zaproszenie i żałuje, że niestety, z powodu uprzedniego *engagement*... Zaniedbania w tym względzie prowadziły do pogawędek w rodzaju:

— Nie dostaliśmy odpowiedzi, czy wybiera się pani na Zjazd Naukowców Polskiego Pochodzenia.

— Nie, myślałam, że to pomyłka.

— ???

— Nie jestem ani naukowcem, ani polskiego pochodzenia.

— To czym pani jest?

— Bibliotekarzem i Polką, tak jak pani.

— Ale pani mieszka tutaj.

— Pani też.

— No, ale ja czasowo.

— Ja też, mam nadzieję, tylko czasowo. Zresztą, jak pani wie, Polacy są dziś wszędzie, również i w czarnej Afryce. Czy przez to stają się Murzynami, chyba żeby bardzo chcieli?

Wszystkie te flirty ustały jak uciął w 1978 r., gdy Hanna Świdierska pojechała do Warszawy na obchody 50-lecia Biblioteki Narodowej, instytucji szczególnie jej bliskiej, bo w jej wczesnym okresie pracowała tam jej matka, wówczas studentka polonistyki UW. Jak zwykle pojechała objuczona trefnymi książkami dla znajomych i bibliotek. Taki dar zawsze wręczała dyrektorowi BN, prof. W. Stankiewiczowi, gdy zapraszał ją do swego gabinetu. Tym razem jednak, zajęty organizowaniem tej wielkiej imprezy, był nieuchwytny. Okazja zdarzyła się podczas uroczystego spotkania w Sali

Wilanowskiej BN (dziennikarze, kamery, goście zagraniczni, tłum krajowych bibliotekarzy, a wśród gości panna Kosygin, dyrektor Biblioteki Zagranicznych Literatur w Moskwie). Wtedy dopiero okazało się, że zagraniczni mają Dyrektorowi wręczać dary publicznie, chcąc-nie-chcąc przyszło więc sprezentować przed kamerami kilka nowości w znanych każdemu PRLowskiemu łapsowci szarych okładkach Instytutu Literackiego, w tym *Szkice o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz Zielińskiej. Tegoż wieczora dary były wystawione na widok publiczny w foyer Filharmonii podczas uroczystego koncertu, gdzie tłum pożerał wzrokiem szare okładki i nikt nie chciał podziwiać olbrzymiego różowego kryształu z wieżami à la Pałac Kultury, którym Kosyginowa obdarzyła bratnią instytucję.

Podczas tych obchodów Hannę Świdorską napastowali osobnicy z Towarzystwa Polonia, którym bardzo zależało, żeby wystąpiła jako reprezentant „Polonii Brytyjskiej”, albo choć skorzystała z „luksusowej” wycieczki do Krakowa i okolic. Epilog miał się wkrótce rozegrać.

Nieodłącznym finałem jej wypraw do Polski było pedantyczne wypatroszenie jej walizki na Okęciu. Ponieważ wszystko wskazywało, że waaadza bardzo by chciała przyłapać ją na nielegalnym wywożeniu starodruków i innych starych książek, nietrudno zgadnąć, że inspiratorami tych hec byli znajomkowie od drogiej kielbasy, którzy zawsze jakoś zdołali się dowiedzieć, że przyjechała do Polski i daremnie starali się ją złapać „na rozmowę”. Dlatego tym razem dostarczony jej przez przyjaciół zbiorek druków KORu miał jechać nie w walizce, a przytwierdzony do jej gołych placów. Zwykły rytuał jednak się nie powtórzył. Wezwano ją imiennie przez głośnik, walizka spokojnie odjechała do bagażu, a jej właścicielkę rozdzielano do rosołu w ustronnej bokówce. Umundurowana Horypyna zdumiała się:

— Co też pani przylipló do pleców?

W ten sposób trafiła w objęcia smutnych panów. Czas płynął, panowie się zmieniali, jedni groźnie wrzeszczący, inni po ojcowsku zatroskani, wszyscy zaś pożerani ciekawością co do źródła „tego śmiecia”. Zależnie od okoliczności powtarzała, że w Sowietach widziała takie rzeczy, że teraz już trudno ją nastraszyć i że gazetki dali jej jacyś dwaj, którzy przysiedli się w Hortexie, na pewno prowokatorzy, jak teraz łatwo zgadnąć. Tak więc powrót do Londynu odwlokł się do następnego dnia, a był to dzień ingresu nowego papieża. Całe Okęcie tłoczyło się przed ogromnym ekranem TV i gdy przez tłum przebiegło westchnienie: — O Jezu, Wojtyła Wyszyńskiego bucha w mankiety! — znajomy głośnik znów wezwał ją na stronę, gdzie Horypyna zbadała stan pleców i udzieliła pożegnalnej lekcji patriotyzmu:

— Bo my, prawdziwi Polacy, to kochamy naszą ludową ojczyznę, a pani przyjaźni się z jej zdrajcami!

Po roku sprawa definitywnie się zamknęła, gdy p. Stankiewicz młodszy w przejeździe przez Londyn zaszedł do British Library i

doręczył jej zwitek gazetek:

— To dla pani od ojca, za tamte.

Dały one początek sporego zbioru tych wydawnictw, który powstał w British Library, chyba największy zbiór takich druków w posiadaniu angielskiej instytucji. Dalsze napływały z różnych stron, widnie jako dary od Instytutu Literackiego, i służyły do wystaw „Wydawnictwa Solidarności” w latach 1980-81 (z chwilą wprowadzenia stanu wojennego stały się sensacją i o każdej porze dnia jacyś ludzie wpatrywali się jak sroka w kość w te mało atrakcyjne dla oka eksponaty) i „Orwell w językach wschodniej Europy” w 1984. Ta wystawa stała się swego rodzaju rewelacją dla angielskich „orwellologów”, którzy nie mieli pojęcia o tym aspekcie przedmiotu, a trzy czwarte eksponatów stanowiły polskie wydania podziemne.

W grudniu 1990 Hanna Świdorska odeszła na „zasłużony odpoczynek”. Pozostawiła polskie zbiory szeroko rozbudowane i zaopatrzone w ważniejsze nowości za wszystkie lata swej „kadenccji”. Odeszła z wielką obawą o dalsze losy zbiorów zagrożonych coraz większymi „oszczędnościami” na gromadzeniu i personelu bibliotecznym, które już dawno przekroczyły granice absurdu, a ich widomym rezultatem są ogromne usypiska nieskatologowanych książek, w tym polskich, które w tych warunkach nigdy nie dotrą do katalogu. Odpowiedzialność za polski dział przejęła jej młodsza koleżanka, Janet Zmroczek, ale tam, gdzie decyduje ostry brak pieniędzy i nie ma personelu nie tylko do katalogowania, ale nawet do otwierania przychodzących paczek, jest to odpowiedzialność raczej teoretyczna. Fantastycznie kosztowna i nieprzemysłana komputeryzacja tej olbrzymiej biblioteki, eksplozja raka biurokracji i nieustanne reorganizacje spowodowały wielki chaos i trudno sobie wyobrazić kto, jak i czy w ogóle zdoła go opanować. W tej sytuacji los polskich zbiorów, drobnego odcinka wielkiej całości, co gorsza w „mało ważnym” języku używanym w ostatniej części Europy³, która leży między Niemcami i Rosją, każe widzieć przyszłość w czarnych kolorach. Jest o czym podumać podczas zasłużonego odpoczynku.

K.Z.

3. To oczywiście nie jest zdanie autora.

Książki

Dziedziczny arcy stolnik Królestwa Galicji i Lodomerii

1.

„Kostka powstał, bledszy jeszcze niż przed chwilą, wyprostował się i podnosząc kielich ku Beselerowi, rzekł uroczystym głosem:

— Ekszelencjo, piję na cześć Wisły, oby stała się znowu tem, czem była przed wieki, życiodajną arterią jednolitego obszaru gospodarczego.

— Niech to Bóg sprawić raczy — odparł poważnie Beseler”.

Potoczne słowa wzięłem z powieści Henryka Mortęskiego *Takiem jest życie*¹, jednakże jest to zakończenie rozmowy, rzeczywiście odbytej, jesienią 1916 r. w Belwederze pomiędzy generał-gubernatorem Warszawy, Hansem von Beselerem, a Stanisławem Łosiem, wyreklamowanym wówczas z wojska austriackiego doktorem praw, przydzielonym do c.k. generał-gubernatorstwa w Lublinie w stopniu służbowym, który warto może dla kolorytu lokalnego powtórzyć: *K.K. Statthaltereinkonzeptspraktikant auf Verwendungsdauer einem Leutnant gleichgestellt*. Wydana po latach pod pseudonimem powieściowa wersja wydarzeń jest — wedle własnych słów autora — zbeletryzowana „trochę, ale nie tak bardzo wiele”². Był Stanisław Łoś sekretarzem osobistym

1. Henryk Mortęski (Stanisław Łoś): *Takiem jest życie*, Warszawa 1931, s. 480. Nb. powieść dedykowana jest generałowi Mieczysławowi Bukowieckiemu — „Żołnierzowi bez trwogi i skazy (...) a czasu zwycięskiej wojny Szefowi Sztabu XIV-ej Poznańskiej Dywizji”. Pseudonim od strony genealogicznej — wybrany bardzo starannie.

2. Janusz Pajewski: *Stanisław Łoś (w:) Przeszłość z bliska. Wspomnienia*, Warszawa 1983, s. 141-2. Wykorzystuję cały ten szkic (s. 138-143), stąd więc na przykład w dalszym ciągu wiadomość o profesorze Oskarze Haleckim. Nb. cytata z *Takiem jest życie* (s. 139) chyba z pamięci: chodzi o scenę opowiadaną w powieści na s. 454-5.

Jerzego Madeyskiego (1872-1939) szefa Cywilnego Komisariatu Krajowego, wysyłanym często dla przeprowadzania rozmów informacyjnych³.

Nabrawszy zaufania do jego dokumentarnej wartości, sięgnijmy znów po utwór Mortęskiego-Łosia dla zacytowania innej relacji; oto zwierzchnik austriackiego wydziału wywiadu, major Hauswic:

„...wiedział, a raczej domyślał się na zasadzie niezbitych poszlak, że działalnością zespołów polskich urzędników i oficerów Guberni kierować musi jakaś organizacja, były chwile nawet, że zdawało mu się, iż może dokładnie oznaczyć poszczególnych jej członków, nie udało mu się jednak nigdy znaleźć choćby cienia rzeczowego dowodu. (...)

Major Hauswic milczał i czekał, i nie odzywał się, choć ni stąd ni zowąd wyrastały na terenie okupowanej Kongresówki instytucje jak Krajowa Rada Gospodarcza, która odebrała wojsku kontrolę nad obrotem ziemiopłodami i jak Komitet Techniczny, który uniemożliwił niszczenie polskich fabryk i deportację robotników. Organizacja zaś działała sprawnie i cicho, bezimiennie, oparta o zaufanie i bezpieczeństwa przywykłego do dyscypliny i bezimiennej pracy personelu⁴”.

I tak oto przekonujemy się, że Stanisław Łoś w jawnie autobiograficznej powieści odznacza się nie tak u nas częstą predylekcją do rzetelnego łączenia wątków literatury pięknej z ekonomią.

2.

*Starego dworu powieść rzewna,
Sielskiej tęsknoty mgła powiewna*

— które opiewał w jednym z wierszy młodzieńczych⁵, nie odciągnęły Stanisława Łosia od życia czynnego. Urodzony w Czyszkach pod Samborem 21.X.1890 r., wykształcony w domu i u Jezuitów w Chyrowie, doktoryzowany w Wiedniu (1913);

3. *Ib.*, s. 142 — Cf. życiorys Jerzego Madeyskiego w „Polskim Słowniku Biograficznym” XIX, 121-2. Autor, Czesław Lechicki, zasięgał informacji u Stanisława Łosia. Nb. tenże Czesław Lechicki recenzował był w nieprzyjemny sposób *Takiem jest życie* („rozwlekła kronikarska powieść ziemiańska z zabarwieniem filogalicyskim...”, „Przewodnik po beletryście”, Poznań 1935, s. 288; wiadomość zawdzięczam Ludwikowi B. Grzeniewskiemu).

4. *Takiem jest życie*, s. 569.

5. Cytuję za Pawłem Hertzem, *Zbiór poetów polskich XIX w.*, V, 644, z tomiku Stanisława Łosia *Wiersze ulotne* (1918).

przeszedł przez służbę wojskową i wojenną zaprawę nie tylko w armii austriackiej (1914-18), ale i w polskim wojsku (od 1919). Po kilku latach pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych powołany został do dyplomacji w naszym poselstwie w Londynie (1926-29) na życzenie Konstantego Skirmunta⁶.

Przeniesiono go w stan spoczynku w czterdziestym drugim zaledwie roku życia: była to swoista nagroda za powieść z kłuczem. *Talia vita* — dewiza to Ponińskich, z którymi Łosiowie blisko są spokrewnieni: portret przodka jest ważnym *leitmotivem*. Główny bohater zwie się Kostka, naturalnie więc, że jest herbu Dąbrowa, ale pieczętuje się Dąbrową, pod którą widnieje *Simplices sed audaces* — aluzja do zawołania rodu Łosiów aż nadto wyraźna! Mortęscy mają koligacje oczywiście z Kostkami. W *Takiem jest życie* występuje kilka postaci pod własnym nazwiskiem, jak profesor Kazimierz Władysław Kumaniecki⁷, jak późniejszy generał Bukowiecki, jak epizodycznie nawet i sam autor; inne są przejrzyste ukryte pod pseudonimami (Bobrzyński-Kunowski itd.), jeszcze inne — pod nazwiskami znaczącymi, gdyż utwór na niejednej ze swych ośmiuset stron ukazuje wytworny dowcip i niemałe satyryczne uzdolnienia piszącego. Liczne wątki — rodzinne, polityczno-społeczne, historyczne — prowadzone są wzorowo. Pozwala to mniemać, że strona romansowa jest w znacznej mierze umyślnym pastiszem stylu Sienkiewicza. Podobnie jak dobór historycznych rodów jest przemyślnym igraniem z Niesieckim.

Materialnie uniezależniony, gospodarujący w niewielkim majątku swej żony (Budnianki z domu) w Lubelskiem — mógł być postępować jak jego literacki *alter ego*:

„Godziny wolne, których mu wiele pozostawało, poświęcał badaniu ulubionych przedmiotów. Wcześniej bardzo wyspecjalizował się: pociągały go nauki historyczne, prawne, gospodarcze, literatury klasycznej i staropolska⁸”.

Nie stronił od publicystyki. Współpracował między innymi z *Drogą*, stosunkowo bliskie miał porozumienie z pokoleniem następnym, skupionym wokół *Buntu Młodych*. Marcin Król, tak dobrze z tą grupą obznajomiony, dodał mi wiadomość, że chciano Stanisława Łosia wybrać do sejmu. Byłby miał poparcie znacznej części Ukraińców, których sprawy blisko czuł i rozu-

6. Ryszard Bender: *Profesor Stanisław Łoś*, *Więź* 1974, nr 4, s. 145-149. Stamtąd i dalsze szczegóły życiorysu (prócz genealogicznych). Także wiadomość o Piłsudskim i Rydzu-Smigłym.

7. Cf. Kazimierz Władysław Kumaniecki: *Czasy lubelskie. Wspomnienia i dokumenty*. Kraków 1927, *passim*.

8. *Takiem jest życie*, s. 97.

niał; jest — wraz z Aleksandrem Bocheńskim i Włodzimierzem Bączkowskim — współautorem pracy *Problem polsko-ukraiński w Ziemi Czerwieńskiej* (1938). Krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej ogłosił swą głośną kiedyś książkę *Hellada na przelomie*, która miała dwa wydania (1938, 1939).

Lata okupacji spędził Stanisław Łoś szczęśliwym zbiegiem okoliczności na ogół u siebie w domu. Współdziałał z Delegaturą Rządu na Kraj i coraz mocniej się wgłębiał w swój starannie dobrany księgozbiór. Pozwoliło mu to już od razu w roku akademickim 1945/46 podjąć się obowiązków wykładowcy historii starożytnej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Był delegatem tej uczelni w wojewódzkim Komitecie Odbudowy Warszawy. Wszedł do rad naukowych dwu ministerstw: Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Odbudowy. W druku pojawiają się wówczas równoległe jego prace o sprawie agrarnej w Rzymie przed Chrystusem i o warunkach bytowania ludności polskiej na Ziemiach Odzyskanych.

Nie habilitował się, pozostał — jak lubił — uczonym prywatnym. Cenili go badacze najwybitniejsi — od Haleckiego do Taubenschlaga. Katedrę uzyskał w roku 1947, dziesięć lat później został obrany dziekanem Wydziału Humanistycznego. Na kilka miesięcy przed przejściem na emeryturę doczekał się zatwierdzenia swej profesury nadzwyczajnej (1961). Zajęcia prowadził jeszcze aż po rok akademicki 1970/71. Studenci za nim przepadali.

Sporo pisał i wiele tłumaczył z kilku języków. Z jego własnych książek najłatwiej dziś dostępne: *Sylwetki rzymskie* (1958), *Rzym na rozdrożu. Studium monograficzne o Katonie Starszym* (1960), i *Świat historyków starożytnych* (1968). Te portrety Herodota, Liwiusza, Tukidydesa, Polibiusza, Salustiusza, Tacyta są po prostu — ani przez chwilę nie waham się przy wyborze słowa — swego gatunku arcydziełem.

Był znany, ale rozgłosu, który towarzyszy tyłu autorom książek o wiele mierniejszych, nie zaznał. „Nie stojąc o zaszczyty, nie kłaniał się rodakom; oklaski są zapłatą historiona...” — pisał był kiedyś o Fabiuszu Kuntatorze, najpewniej tak też i myślał. Umiał się cieszyć małymi przyjemnościami. Pod schyłek życia prawdziwą mu na przykład uczyniło przyjemność, że Mirosław Żuławski w *Opowieściach mojej żony* wiernie opisał jego strony rodzinne i nawet Czyżki. Wiadomo, że ukończył fragment swoich wspomnień; i chociaż nie zdążył napisać zamierzonej całości — już i to, co pozostawił, będzie miało wartość dla zrozumienia wielu odchodzących w przeszłość spraw niezastąpioną⁹.

Zakończył życie 14.I.1974 r. i spoczywa w Lublinie.

9. Pani Krystyna Konarska-Łosiowa, bratowa Stanisława Łosia, zeżche przyjąć podziękowanie za łaskawe udostępnienie mi korespondencji swego

3.

Zabarwienie filogalicyskie powieści Mortęskiego — jak się to łatwo powiedziało recenzentowi — jest w istocie czymś zupełnie, ale to zupełnie innym. Z ową Łosia galicyjskością rzecz się ma dokładnie tak, jak gdybyśmy orzekli, że najtypowszym przedstawicielem Galicji był Wojciech Dzieduszycki (1848-1909). Porównanie tym bardziej usprawiedliwione, że Łoś Dzieduszyckiego — swego zresztą krewnego — nie dość, że znał i perorowań jego miał jeszcze sposobność słuchać¹⁰, ale co ważniejsze, pilnie przeczytał jego książki — nie tylko słynne *Ateny* czy *Listy ze wsi*, lecz także *Dokąd nam iść wypada*. Temat byłby to osobny i wcale nie blahy.

Grunt powieści Stanisława Łosia jest zgoła inny. Autor *Takim jest życie* tak oto mówi o rodzinie głównego bohatera:

„Kostkowie przybyli na Ruś Czerwoną z Mazowsza i nigdy nie byli wyznawcami wschodniego obrządku, ale na ziemi nowego osiedlenia nie pozostali obcymi kolonistami, przyjęli z krwią bojarów i kniaziów ruskich także miejscowy obyczaj i strzegli go wiernie przez czterysta lat. Służyli Rzeczypospolitej takiej, jaką była od morza do morza, złożona z mnogich narodów i wielojęzyczna. Przdowali ludowi w jej dzielnicach nie rozróżniając między obrządkami, uważali się za należących do obu narodowości, z których składał się w ich pojęciu naród polski na Kresach¹¹”.

Nieco zaś wcześniej pisze o swoich stronach:

„Ziemia to była czerwona od krwi nigdy nie obsychającej, (...) piastunka hetmanów jak Żółkiewscy, Sieniawscy, Jabłonowscy, rodzicielka Sobieskich, Herburtów, Fredrów, Krasickich, Drohojowskich, Dzieduszyckich. Nie wyliczyć ich, bo trzeba by iść od dworu do dworu i nazwę każdej wsi, każdej rodziny wymieniać, wszystkie zapisane są w księgach narodu w sławie i zasłudze.

(...) Życie sąsiedzkie tętniało w pełni, pociągając urokiem gościnności, ponętą atmosfery, właściwej tylko polskiemu towarzystwu.

Życie to było swoiste, własne, wolne od wpływów austriackich, dworskich czy urzędowych, którymi coraz silniej

szwagra z lat 1972-73. Stąd m.in. wiadomość o Mirosławie Żuławskim: „Jego Ojciec i Stryj, a także Dziadek, bywali w Czyżkach...” (22.III.1973).

10. Bardzo wyrazisty portrecik Wojciecha Dzieduszyckiego znajdzie czytelnik *Takim jest życie* na s. 133-39.

11. *Ib.*, s. 63-4.

zarażała się Galicja Zachodnia, a od których stron i szlachta ziem ruskich, spoglądając z pobłażliwą ironią na order i klucze szambelańskie sypiące się z wiedeńskiego rogu obfitości na dzielnicę krakowską. Niedarmo bowiem właśnie w Bienkowskiej Wiszni napisał nieśmiertelny twórca *Zemsty* i *Ślubów paniieńskich* swą słynną bajkę o ośle, co dał sobie złocić nie tylko uszy, lecz i brzuch — a pan się śmiał¹²”.

Tytuły — heraldyczne czy dworskie — bywały oczywiście przyjmowane, lecz w rodzinach przynajmniej senatorskich niezbyt się nimi przejmowano, traktując je użytkowo i niejednokrotnie z przymrużeniem oka. Przykład tego filuterny znaleźć można w scenie, do której w powieści Łoś wprowadza samego siebie:

„— A jeżeli Hauswic właśnie tych telefonów się czepi i zażąda od ciebie wyjaśnień?

— To i na to mam sposób — odparł niedbale Łoś — zrobię mu scenę, że dziedzicznemu arcystolnikowi Królestwa Galicji i Lodomerii nie daję tytułu Ekscelecncji i napiszę na niego skargę do Wielkiego Ochmistra Dworu. Jeżeli się z tej protokolarnej kwestii wypłacze przed upływem sześciu miesięcy, to da dowód, że jest mądrzejszy niż myślimy¹³...”.

W dzisiejszych czasach popierających zanikanie form do tego stopnia się tą historyjką zachwyciłem, że zacząłem moje rozpytywania o osobę, nie tylko o ulubionego autora *Hellady na przelomie*. Nie mogłem pominąć jego znamienego oddania sprawom ruskim. Tak za łaskawą radą pana Jerzego Giedroycia trafiłem do bardzo miarodajnego źródła. Pan Ivan Kedryn-Rudnytsky zechciał mi listem z Jersey City, datowanym 12.X.1989, opowiedzieć między innymi, co następuje:

„Hr. Stanisław Łoś był jednym z tych nielicznych 'białych kruków', którzy nie solidaryzowali się z polityką asymilacji narodowej, stosowaną przez wszystkie rządy Rzeczypospolitej w latach 1919-1939. Łoś był radcą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Oburzał się szczególnie na zlikwidowanie wszystkich istniejących w Austrii, ukraińskich katedr i docentur w uniwersytecie we Lwowie (razem 14), złamanie własnej ustawy z dnia 26 września 1922 o tzw. autonomii trzech południowowschodnich województw i założenie na

12. *Ib.*, s. 28-9

13. *Ib.*, s. 575-76.

terenie jednego z nich uniwersytetu ukraińskiego. (...) Polska nie dotrzymała ani jednej obietnicy i do końca istnienia w r. 1939 nie przyznano Ukraińcom nawet katedry literatury ukraińskiej. Argument, że Ukraińcy nie mają wykwalifikowanych kandydatów odpadł, gdy uniwersytety w Krakowie i Warszawie powołały szereg ukraińskich uczonych na swe katedry. Łosia oburzało to i z własnej dobrej woli zaktywizował się początkowo w akcji pogodzenia Rządu polskiego z rządem zagranicznym d-ra Eugeniusza Petruszewicza Ukraińskiej Republiki Zachodniej, który z Wiednia prowadził na terenie międzynarodowym proces o przynależność państwową Galicji Wschodniej. Na podstawie §42 traktatu w Saint Germain sprawa ta była jeszcze nie rozstrzygnięta: Łoś namówił ówczesnego ministra spraw zagranicznych Konstantyna (!) Skirmunta i razem z nim, i z księdzem mitratem Wojnarowskim z kapituły św. Jura we Lwowie — jako pośrednikiem — przybyli do Wiednia. Nie pamiętam już dokładnej daty: w roku 1921 czy 1922. Lecz dr Petruszewicz nie chciał spotykać się z ministrem Konstantynem Skirmuntem i natomiast wysłał do hotelu Bristol w Wiedniu kapitana (sotnyka) Machała Fedytnyka, który obrzucił Skirmunta jajami. Był to smutny dowód dyplomacji i społeczeństwo ukraińskie napiętnowało to. Byłem wówczas w Wiedniu, gdzie — już po odbyciu służby wojskowej w armii austriackiej i następnie ukraińskiej — studiowałem w Uniwersytecie Wiedeńskim historię.

Stanisław Łoś nie zraził się. Zaprzestał mieszać się do polityki, lecz niejako za swój punkt honoru powziął sprawę utworzenia uniwersytetu ukraińskiego. W latach 30-tych przybył do Lwowa razem z profesorem Romanem Smał Stockim z Uniwersytetu Warszawskiego i naradzali się z gronem uczonych z T-wa naukowego im. Szewczenki. Rząd warszawski podobno — twierdził Łoś — godził się na otwarcie uniwersytetu, lecz nie we Lwowie, a w Stanisławowie. Uczeń ukraiński odrzucił taką koncepcję wskazując na niedogodność dostępu do dużej biblioteki i archiwów: we Lwowie było T-wo im. Szewczenki i Ossolineum — obydwie instytucje posiadały biblioteki po kilkaset tysięcy dzieł. Po przewrocie majowym roku 1926 profesor Antoni Sujkowski w *interview* dla dziennika ukraińskiego „Diło” we Lwowie oświadczył, że ruszy z martwego punktu sprawę uniwersytetu ukraińskiego. Ja byłem przedstawicielem „Diła” w Klubie Sprawozdawców Parlamentarnych i przeprowadzałem tę rozmowę. Gdy ona ukazała się w „Dile”, na najbliższym posiedzeniu Sejmu wyrażono Sujkowskiemu votum nieufności. Wkrótce potem Sujkowski, także jeden z 'bia-

łych kruków’, dziękował mi, że mimowoli pomogłem mu wydostać się z przykłej atmosfery panującej w Rządzie i Sejmie¹⁴.

Wykorzystując tutaj ten list, mniej odbiegam od tematu omawianej powieści Stanisława Łosia niż się to by mogło wydawać. Kiedy „Lwów padł ofiarą z góry widać ukartowanego zamachu, Lwów wołał o pomoc” — formuje się „drobny ochotniczy, a właściwie partyzancki oddział”, którym dowodzi porucznik Kostka; tak się składa, że Polacy biorą siedmiu jeńców i tu dopiero kłopot: nie ma ich dokąd odesłać! Toteż:

„Kostka stał przez chwilę bezradny, nie wiedząc, co począć. Rozkaz usunięcia jeńców, tak niepotrzebnie pojmany, nie mógł mu przejść przez gardło. Co innego było spieszyć z partyzanckim oddziałem na odsiecz oblężonego Lwowa, co innego zaś postąpić z dziećmi jednej ziemi z równą bezwzględnością jak z każdym innym wrogiem. Zbyt wiele szlachetnej krwi ruskiej płynęło w jego żyłach, by mógł walkę z Rusinami uważać za co innego jak najcięższy i najwstrętniejszy z obowiązków”.

Na szczęście (w powieści łatwe) — jeńcy okazują się swojakami spod Sambora, więc dostają rozkaz: „marsz jeden po drugim do chałupy i siedź tam cicho, żebym więcej o żadnym nie słyszał¹⁵”.

Scena, nie myślę przeczyć, jak ze starej gawędy szlacheckiej. Ale to także prawda historyczna, nie z samej tylko bajki wysnuta. Teraz, kiedy taka zapanowała moda na literaturę Kresów, zapomnienie książki Mortęskiego-Łosia byłoby sporym przeoczeniem.

4.

Jedenasty listopada 1918 roku prócz zrozumiałej radości przyniósł narratorowi wiele niepokoju o los zmartwychwstającej Polski:

„Szczątki porozbiorowych partii i odłamów stawały do walki między sobą, do walki o prawo rozdawania swym członkom państwowych posiad. Inteligentny proletariats był głodny, pragnął jada i przyodziewku, których nie mogły dostarczyć zniszczone fabryki Kongresowego Królestwa...”

14. Fragment cytowanego listu przepisuję dosłownie, zachowując formę imion i nazwisk używaną przez Nadawcę. Cf. jego artykuł *Białe kruki* w paryskiej *Kulturze* 1977, nr 10, s. 75 nn.

15. *Takim jest życie*, s. 585 i 594.

— czytamy z miejsca. I wkrótce, w jednym z licznych powieściowych dialogów, pojawia się wyjaśnienie:

„Warstwą rządzącą u nas, i w innych krajach słowiańskich, jest pewna kategoria proletariatu, proletariat tak zwany *lucus a non lucendo* inteligentny. Warstwa ta istnieje i poza Polską na zachodzie, tam jednak ma przeciwwagę w tem, że społeczeństwa są bogatsze niż u nas i — co za tem idzie — skłonne do rozwarstwiania się wedle pewnego majątkowego cenzusu. Poza tym kościec tradycji, hierarchii społecznej i państwowej jest tam bardzo silny, tak że w rezultacie czytany niedouk napotyka na bardzo silne opory ram społecznych, w których *volens nolens* poruszać się musi”.

Kasta wyższych urzędników? — Minister rolnictwa w żaden się sposób nie może połąpać, dlaczego przywódca chłopskiego stronnictwa mu nie ufa. Przecież „element urzędniczy, jako bezstronny, jest jedynym, który może kierować się wyłącznie względami na dobro ogółu”. A Piękoś tymczasem bruździ jemu, takty:

„Taki piękny program miał ułożony: cała Polska sparcelowana pod ścisłą kontrolą urzędników, złączona przez kooperatywy pod ścisłą kontrolą urzędników, zabudowana wedle najbardziej drobiazgowych przepisów pod ścisłą kontrolą urzędników, stosownie do najstaranniej wypracowanych wzorów (miał już cały oparat gotowy w biurku) — i na nic, na nic. I taka grubiańska odprawa, i co gorzej czuć było najwyraźniej ze słów Piękosia, że tkwi on głęboko, duszą całą, w idei własności prywatnej dziedzicznej, że chętnie by pewną ilość morgów większej własności urwał, ale nie drogą reformy, nie pod egidą dobroczynnego życzliwego państwa, nie rękami bezstronnych urzędników, nie, po prostu przedawnioną metodą kontraktową kupna i sprzedaży. Jak zaco-fany jest chłop polski!”

Warstwy oświecone nie kryją swego sceptycyzmu. Jeden z bliskich znajomych Kostki, niebawale bogaty, przyjeżdża właśnie zza granicy i wieść adwokacka niesie, że przywiózł ze sobą „całą Golkondę”. Ale jednak:

„Nie przywiozłem i nie przywiozę... do czasu. Kapitał będzie jeszcze długo bardzo ostrożny zanim tu napływać zacznie.

— A ty się nie wyłamiesz spod reguły?

— Na pewno nie! Nasze rządy przez szereg lat ku ogromnemu aplauzowi społeczeństwa będą marnować resztki narodowego majątku; poczekam aż się ta zabawa znudzi, co — boję się — nieprędko nastąpi i dopiero gdy kredyt będzie w Polsce pewny a własność bezpieczna, zacznę w Polsce inwestować. Każde inne postępowanie to po prostu marnotrawstwo”.

I jeszcze, już na zakończenie tych tu ekscerptów — pogląd, który na temat dawnej i obecnej Polski wypowiada powieściowy profesor amerykański, bardzo nam zresztą przyjazny:

„Jak w XVIII wieku jesteście wciąż jeszcze narodem jednowarstwowym, rolniczym, o ustroju skrajnie demokratycznym, o bardzo zacofanej psychice. Jak w XVIII wieku czynnikiem decydującym w państwie jest masa wiejska o kulturze wybitnie apañstwowej; to że wtedy nazywała się ona szlachtą, a dziś nazywa się ludem — nie zmienia istoty rzeczy. Jak w XVIII wieku wreszcie macie wśród siebie cienką warstwę niepraktycznie myślącej inteligencji, która chcąc wykazać swą europejskość i dwudziestowieczność bezkrytycznie pragnie przeszczepić w kraj zacofany pod względem kulturalnym, a pod względem gospodarczym niedokapitalizowany, poglądy wyrosłe wśród społeczeństw przy-cywilizowanych i przekapitalizowanych”.

Takie myśli, uwagi, takie współczesne przestrogi dla Polski spisał akurat w połowie międzywojennego dwudziestolecia jeden z wszechstronnej wykształconych jej karmazynów¹⁶.

5.

A uczynił to w formie popularnego romansu, łatwego w czytaniu. *Takiem jest życie* zawiera *in nuce* prawie wszystko z tego, co w kilka lat później — poprzedzone częściowym pierwodrukiem w *Przeglądzie Współczesnym* — znajdzie się w historyozoficznym traktacie *Hellada na przelomie*. Powieść przeczytało wielu zwłaszcza... piśsudczyków, mocno z niej niezadowolonych (mimo, że Marszałek podobno żalu do autora nie miał — i słusznie!); niejedno wskazuje, że właśnie z powodu tej beletryzacji dziejów najnowszych musiał się być Stanisław Łoś rozstać ze służbą dyplomatyczną. Z traktatem — mądrym, groźnym w swej wytworności — było inaczej: wzbudził zaciekawienie polskiej elity umysłowej, lecz Edward Rydz-Śmigły, któremu rzecz w trosce o przyszłość kraju została przypisana, nigdy i w żaden

16. *Ib.*, kolejno strony: 580, 610-11, 627, 682, 685.

spół nie dał po sobie znać, czy się z tą książką zapoznał!
 O *Helladzie na przełomie* jak również o przesłicznych aluzjach do współczesności, których nie skąpi *Świat historyków starożytnych*, zamierzam napisać innym razem. Trzeba też będzie wspomnieć i wstęp, którym Łoś poprzedził swój piękny przekład Katońskiego *O gospodarstwie wiejskim*¹⁷.

Na razie chciałem — gdy oto minęło sto lat od jego urodzin — przypomnieć pokrótce pisarza i człowieka mawiającego o sobie, że jako członek pokolenia, co doszło do lat męskich przed wybuchem pierwszej wojny światowej, „miał dzięki Opatrzności życie, które nie pozwoliło mu się stać fachowcem i specjalistą”¹⁸.

Andrzej BIERNACKI

17. Marcius Porcius Cato: *O gospodarstwie wiejskim*. Przełożył i opracował Stanisław Łoś, Wrocław-Kraków 1956. Już pierwsze zdanie tego przekładu, przypominające słowo staropolskie, ukazuje styl tłumacza: „Korzystniej byłoby nieraz dorabiać się majątku kupią, gdyby to nie było tak niepewne; także dorabiać się lichwą, gdyby tylko to było uczciwe”.

18. Ze wstępu do *Hellady na przełomie*, s. 8.

Akta Towarzystwa Hist.-Literackiego w Paryżu*

Wydany ostatnio tom „Akt” otwiera nowy rozdział w historii dorobku Biblioteki Polskiej w Paryżu i Tow. Historyczno-Literackiego, którego Biblioteka jest własnością. Słowo wstępne określa cele nowej serii jako kontynuowanie „służby wolnej nauce i narodowi polskiemu” i udział w „wymianie i współpracy naukowej między krajem a emigracją”. Wczytanie się w już opublikowane teksty pozwala na sprecyzowanie zamierzeń wydawców.

Tom dzieli się na dwie części. Pierwszą wypełniają „materiały i teksty”, oparte zasadniczo na zbiorach biblioteki paryskiej, w dwu jednak wypadkach występują ślady poszukiwań przeprowadzonych równolegle w Bibliotece XX. Czartoryskich w Krakowie, co świadczy że w praktyce realizowany jest postulat „współpracy naukowej między krajem a emigracją”. W wypadku przyczynków autorstwa J. Pezdy są to dalsze ciągi prac już opublikowanych, a wymagających

* Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, t. I. (Red. Marek P. Prokop), Paryż 1991, nakł. Biblioteki Polskiej, s. 302, (6), druk. Narodowa w Krakowie, nakład 600 egz. Nr opublikowany dzięki pomocy finansowej p. Claude Handelsman i mec. Marc de Montforta.

uzupełnień i sprostowań. Charakter uzupełnień mają także opublikowane z rzeczowym komentarzem Marka P. Prokopa listy Lelewela do Seweryna Gałęzowskiego, nie objęte monumentalnym wydaniem H. Więckowskiej i suplementem Krystyny Korzon. Na szczególną uwagę zasługują uzupełnienia „Polskich dróg emigracyjnych” B. Konarskiej w opracowaniu J. Pezdy, gdyż są one czymś więcej, a więc także suplementem do „Spisu Polaków zmarłych w Emigracji” Jana Bartkowskiego, ogłoszonego z rękopisu stanowiącego własność Biblioteki Polskiej w Paryżu w t. VII/VIII „Materiałów do biografii, genealogii i heraldyki polskiej” (Rzym 1985) a jednocześnie konfrontują wykazy emigrantów z tzw. „Tekami emigrantów” w Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie. Dzięki opracowaniom tego typu zbliżamy się do ogarnięcia jednym słownikiem ogółu XX-wiecznych emigrantów. Potrzebę takiego wydawnictwa odczuwają nie tylko historycy, ale i bibliotekarze zasypywani kwerendami o dane biograficzne przodków przez sfrancuziałych ich potomków.

Przyczynek Krzysztofa Rutkowskiego pt. „List Ludwika Królikowskiego do Adama Mickiewicza w sprawie utworzenia 'Zakonu dzieci polskich' (1833)” przynosi tekst listu/memoriału/apelu, w którym autor listu znany jako wydawca „Polski Chrystusowej” kreśli projekt utopijnej organizacji mającej zjednoczyć i uszlachetnić emigrantów polistopadowych. „Rząd francuski” — sądził Królikowski — można by nakłonić, „by za darmo oddał zakonowi jaki stary klasztor lub zamek z kawałkiem gruntu, a gdyby się to nie udało, wypadłoby jaką włość w okolicy gdzie ziemia jest tania zakupić”, załatwiając jednak skrupulatnie formalności „żeby później lada minister nie wypędził zakonu z kraju”. Nie pierwszy to i nie jedyny projekt utopijnej wspólnoty wygnańców. Wczesna data (1833) i zbieżność w czasie z patronowanym przez Mickiewicza Domkiem Jańskiego każą widzieć w ogłoszonym przez Rutkowskiego tekście pierwsze ogniwo koncepcji bliskich ruchom ikaryjskim Cabet’a, Zmartwychwstańcom i Kołu Sprawy Bożej Towiańskiego.

Dalszym mickiewiczianum jest pełna wersja relacji Ildefonsa Kosiłowskiego o śmierci Mickiewicza zestawiona z inną tegoż pióra w liście do Ignacego Jackowskiego, przechowywaną w Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie.

Znakomitym pomysłem jest publikowanie w „Aktach” opracowań powstałych w okresie korzystania ze specjalnych stypendiów. Odnosi się to m.in. do otwierającego tom artykułu o „Książkach Mickiewicza w drodze do zaboru rosyjskiego, 1831–1855” Krzysztofa Kopczyńskiego. Artykuł stanowi *pendant* do „Cenzorów i policjantów pruskich” Jarosława Maciejewskiego, a także do przeoczonej i w kraju i na emigracji książki Zdzisława Szeląga „Literatura zabroniona, 1832–1862” (Kielce 1989). Łączna ich lektura nasuwa ponury wniosek, że jednak historia powtarza się, a techniki przemytu i konfiskat lekko tylko zmodernizowały się, urozmaiciły i zaostrzyły.

Część pierwszą „Akt” zamykają notatka Danuty Płygawko o adresie irlandzkim w sprawie dzieci wielkopolskich, wysłanym w

1908 i robocza wersja katalogu Archiwum Gierszyńskich w opracowaniu Elżbiety Morawskiej.

Część drugą wypełniają wykaz członków Tow. Historyczno-Literackiego i materiały sprawozdawcze. Otwiera je przemówienie prezesa, prof. Andrzeja Folkierskiego, informujące o wymianie korespondencji z min. Aleksandrem Hallem i kontaktach z Polską Akademią Umiejętności, wznawiającą obecnie działalność. Prezes poinformował ponadto, że Biblioteka otrzymała od p. Romana Zaleskiego 200.000 fr.fr. na uruchomienie Fundacji im. prof. Zygmunta Lubicz Zaleskiego, której zadaniem jest wspieranie Biblioteki. Dary pani Claude Handelsman i mec. Marc de Montfort umożliwiły wydanie „Akt”. Zasadniczym źródłem utrzymania Biblioteki jest subsyduum Fundacji Lanckorońskich, pokrywające 80% kosztów utrzymania Biblioteki.

20.VIII.1991

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- WYRWA (Józef). *Pamiętniki partyzanta*. str. 628 i fotografie. (Wyd. OPiM, wyd. II, Londyn 1991).
- WÓJCIK (Jan), KIERKLO (Mieczysław). *Z dziejów żołnierza-emigranta. History of a Soldier-Emigrant. Historia „Haller Post” w New Britain*. Wyd. dwujęzyczne polsko-angielskie. Str. 152. (Wyd. Placówka 111 Stow. Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, New Britain CT, 1991).
- PANKOWSKI (Marian). *Powrót białych nietoperzy*. Str. 122 u 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1991).
- LISICKI (Tadeusz). *As pikowy i inne opowiadania*. Str. 171 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1990).
- WICIAK-SUCHNICKA (Anna). *Opary nad rzeką Dźwiną*. Str. 93 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1991).
- ZIEJA (Jan, ks.). *Życie Ewangelii*. Spisane przez Jacka Moskwę. Str. 275 i 1 nlb. (Wyd. Editions du
- Dialogue w serii „Świadkowie XX wieku”, Paryż 1991).
- Etos i arcyzm. *Rzecz o Herlingu-Grudzińskim*. Pod redakcją Seweryny Wysłouch i Ryszarda K. Przybylskiego. Str. 256. (Wyd. Wydawnictwo a5, Poznań 1991).
- NOWAK (Felicja). *Moja gwiazda*. Str. 203 i 13 nlb. (Wyd. Versus, Białystok 1991).
- VINCENZ (Stanisław). *Dialogi z Sowietami*. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- KŁOCZOWSKI (Jerzy). *Chrześcijaństwo i historia. Wokół nurtów reformy chrześcijańskiej VIII-XX w.* Str. 317 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- TRZNADEL (Jacek). *Podróże darmowe. Wiersze i elegie*. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. TEST, Lublin 1991).
- Sprawa Galileusza*. Wybór i redakcja Józef Zyciński. Str. 216. (Wyd. Znak, Kraków 1991).

- MALEWSKI (Jerzy; Włodzimierz Bolecki). *Ptasznik z Wilna. O Józefie Mackiewicz*. Str. 519 i 3 nlb. (Wyd. Arka, Kraków 1991).
- THEISS (Wiesław). *Dzieci syberyjskie. Dzieje polskich dzieci repatriowanych z Syberii i Mandżurii w latach 1919-1923*. Str. 250 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytet Warszawski, wydział pedagogiczny, 1991).
- PRZYBYLSKI (Ryszard Kazimierz). *Być i pisać. O prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Str. 148 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo a5, Poznań 1991).
- LEWANDOWSKI (Janusz). *Neoliberalizm wobec współczesności*. Str. 253 i 5 nlb. (Wyd. Atext, Gdynia 1991).
- SALAMON (Joanna). *Latarka Gombrowicza albo żurawie i kolibry. U źródeł ukrytego nurtu w literaturze polskiej*. Str. 252 i 2 nlb. (Wyd. „Rubikon”, Wrocław 1991).
- REALE (Eugenio). *Raporty. Polska 1945-1946*. Przeł. z włoskiego Paweł Zdziechowski. Str. 322 i 2 nlb. (Wyd. PIW, Warszawa 1991).
- SIERADZKI (Makary). *Życie bez chorób*. Str. 309 i 3 nlb. (Wyd. Centrala Usługowo-Wytwórcza „Różdżkarz”, Poznań 1990).
- BULHAKOW (Michał). *Powieść teatralna*. Przeł. Ziemowit Fedeki. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Atext, Gdynia 1991).
- PACZKOWSKI (Andrzej). *Stanisław Mikołajczyk czyli kłeska realisty (zarys biografii politycznej)*. Str. 282 i 2 nlb. (Wyd. Agencja Omnipress, Warszawa 1991).
- TERLECKI (Ryszard). *Dyktatura zdrady. Polska w 1947 roku*. Str. 164 (Wyd. Arka, Kraków 1991).
- Kolekcja sztuki XX w. Muzeum Sztuki w Łodzi*. Str. 292 i 4 nlb. Album. (Wyd. Wydawnictwo Galerii „Zachęta”, Warszawa 1991).
- DJILAS (Milovan). *Rozmowy ze Stalinem*. Przeł. Adam Ciołkosz. Str. 172. (Wyd. Iskry, Warszawa 1991).
- BOLECKI (Włodzimierz). *Ciemny Staw. Trzy szkice do portretu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Str. 88 i 2 nlb. (Wyd. Plejada, 1991).
- Kraków — dialog tradycji. Red. Zbigniew Baran. Str. 156. (Wyd. Znak i Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 1991).
- PEACOCKE (Arthur R.). *Teologia i nauki przyrodnicze*. Przeł. Leszek M. Sokółowski. Str. 272. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- WIADERNY (Bernard). *Paweł Jasienica, fragment biografii, wrzesień 1939 — brygada Łupaszki 1945*. Str. 170. (Wyd. Wydawnictwo Antyk, Komorów 1991).
- DICKINSON (Emily). *Sto wierszy*. Wybór, przekład i wstęp Stanisława Barańczaka. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Arka, Kraków 1991).
- Męczennicy*. Str. 572. (Wyd. Znak w serii „Ojcowie żywi”, opr. Ewa Wipszycka i ks. Marek Starowiejski. Kraków 1991).
- ZAWADZKA (Anna), ROSSMAN (Jan). *Tadeusz Zawadzki „Zośka”*. Str. 285 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, Warszawa 1991).
- ZAGÓRSKI (Wacław). *Wicher wolności. Dziennik powstańca*. Str. 318 i 2 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1991).
- STARZEŃSKI (Paweł). *Trzy lata z Beckiem*. Str. 169 i 5 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1991).
- NEY-KRWAWICZ (Marek). *Komenda Główna Armii Krajowej 1939-1945*. Str. 521 i 3 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1990).
- TUCHOLSKI (Jędrzej). *Mord w Katyniu. Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk. Lista ofiar*. Str. 988. (Wyd. PAX, Warszawa 1991).
- Przegląd lekarski nr1/1990. Zeszyt poświęcony zagadnieniom lekarskim okresu okupacji Polski: Oświęcim*. Str. 204. (Wyd. Towarzystwo Lekarskie Krakowskie, Hamburgska Fundacja Popierania Nauki i Kultury

- oraz Urząd m. Krakowa).
- LEVINAS (Emmanuel). *Trudna wolność. Eseje o judaizmie*. Tłum. Agnieszka Kuryś przy współpracy Jacka Migasińskiego. Str. 329 i 7 nlb. (Wyd. „Atext”, Gdynia 1991).
- LILPOP KRANCE (Felicja). *Powroty*. Str. 311 i 37 nlb. fotografii. (Wyd. Versus, Białystok 1991).
- MAŁECKI (Jan M.). *Zarys dziejów Polski 1864-1939*. Str. 416. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- DELAPERRIERE (Marie). *Les avant-gardes polonaises et la poésie européenne*. Str. 320. (Wyd. Institut d'études slaves, Paryż 1991).
- RYLSKI (Eustachy). *Le colonel Stankiewicz*. Przetłoczyli z polskiego Robert Bourgeois i Małgorzata Zamojska-Sabater. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1991).
- HANKISS (Elemer). *Hongrie. Diagnostics. Essai en pathologie sociale*. Z węgierskiego przetłoczyła Ana Köböl. Str. 258. (Wyd. Georg Editeur, Genewa 1990).
- FRANCHET-GUZAL (Halina). *L'édition polonaise en France*. Str. 158 i aneks. (Praca uniwersytecka, wyd. Direction des projets culturels médiathèques publiques, 1990).
- LABA (Roman). *The Roots of Solidarity. A Political Sociology of Poland's Working-Class Democratization*. Str. 247 i 3 nlb. (Wyd. Princeton University Press, 1991).
- BATEROWICZ (Marek). *A Manuscript from Amalfi*. Przetłoczyła Maria Arranz. Str. 94. (Wyd. Rocks Press, Sydney 1991).
- MICHAJŁÓW (A.), PACŁAWSKI (W.). *Literary Galicia from Post-War to Post-Modern. A Local Guide to the Global Imagination*. Przetłoczyli Renata Śliwińska, Roman Czarny i Tomasz Bieroń. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1991).
- SOŁŻENICYN (Aleksander). *Krasnoje koleso. Uziel IV i V*. Stron odpowiednio 596 i 6 nlb. oraz 564 i 138. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1991).
- Antologia ruskiej poezji. Wzroźdzenie XX-go wieku*. Opracował Nikita Struve. Wydanie dwujęzyczne rosyjsko-francuskie. Str. 253 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1991).
- SCHUTZ (I.I.). *Dziennik „wielkiego piereloma” (mart 1928-awgust 1931)*. Str. 325 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1991).
- ABARINOW (Władimir). *Katyński labyrinth*. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Nowosti, Moskwa 1991).
- SZTURMAN (Dora), TIKTIN (Sergiej). *Ekonomika katastrof*. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- EISENSZTAT (Jakow). *Zapiski sekretaria wojennego tribunala*. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1991).
- HELLER (Michaił). *Siedmój sekretar. Blesk i niszczeta Michaiła Gorbaczowa*. Str. 456. (Wyd. OPI, Londyn 1991).

Wolna trybuna

Wątpliwości wokół programu energetycznego

W majowym numerze *Kultury* ukazał się został artykuł pana Roberta Kaczmarka „warunki powodzenia programu energetycznego”.

Jest rzeczą ważną, iż pismo rangi *Kultury* zamieściło wypowiedź na temat przyszłości polskiej energetyki, być może stanie się ona początkiem szerszej, jakże potrzebnej dyskusji.

Nie mam dostępu do niezbędnych danych statystycznych, nie posiadam także wystarczającego wykształcenia ekonomicznego, aby móc przesądzać, która z opcji programu energetycznego jest najkorzystniejsza dla przyszłości naszego kraju. Wybór jaki zostanie dokonany w chwili obecnej zdecydowanie przeciwieństwo historii Polski na co najmniej dziesięciolecie, powinien on zatem zostać oparty na głębokiej analizie naszych możliwości, potrzeb, a także czynników ekonomicznych, politycznych i ekologicznych.

Konieczność zróżnicowania źródeł energii sprawia, że żadna z możliwości jej wytwarzania nie może być w takich rozważaniach pominięta. Moje uwagi i zastrzeżenia proszę potraktować jako głos w dyskusji, a także jako polemikę z niektórymi tezami artykułu pana Roberta Kaczmarka.

Wytwarzać czy oszczędzać

Energię, podobnie jak wszystkie inne dobra, wytwarzamy aby zaspokoić nasze potrzeby, po ich określeniu należy zatem rozważyć, czy konieczne jest zwiększenie jej produkcji a także w jakim stopniu racjonalizacja zużycia może zastąpić wytwarzanie. W krajach byłego bloku sowieckiego istnieją ogromne możliwości ograniczenia konsumpcji energetycznej. Wg biuletynu ONZ z 1988 roku straty energetyczne na poziomie wytwarzania (zużycie własne centrali i transport) wynosiły 22% przy 10% na Zachodzie, na poziomie produkcji przemysłowej dla wytworzenia identycznego produktu zużywano 2-3

razy więcej energii niż np. w USA. Analiza Niemieckiego Instytutu Ekonomicznego pokazuje, iż w momencie zjednoczenia mieszkańców NRD zużywał o 25% więcej energii przy konsumpcji dóbr nie osiągając nawet 75% standardu zachodniego. Dla samego ZSSR możliwości oszczędzania energii do 2000 roku ocenia się jako równoważnik 250 mln ton ropy naftowej, czyli wartości około 120 reaktorów. Aby jeszcze lepiej zobrazować skuteczność podobnych działań, należy przedstawić rezultaty analizy przeprowadzonej przez Institut d'Evaluation de Strategie d'Energie Européenne, wg której zbudowanie w ZSSR jednej fabryki żarówek niskiej konsumpcji prądu w ciągu dwóch lat zaoszczędziłoby pracę dwóch central nuklearnych.

Pomimo zauroczenia Zachodem, jakie panuje w Polsce, jakże mało uwagi poświęca się ogromnemu postępowi, jaki nastąpił w tej części świata właśnie w dziedzinie oszczędności energii. Dla ogrzania budynku zbudowanego w 1990 roku potrzeba we Francji o 60% mniej energii, niż dla budynku o identycznym standardzie zbudowanym w latach siedemdziesiątych. Pierwszy kryzys naftowy spowodował powstanie całkowicie nowych zawodów, takich jak choćby specjalista od diagnostyki termicznej. Można zaryzykować twierdzenie, że od kilku już lat wzrost poziomu życia przestał być wprost proporcjonalny do ilości konsumowanej energii.

Mit Zachodu

Ze względu na charakterystyczne dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej idealizowanie rzeczywistości zachodnio-europejskiej konieczne jest przypomnienie, że nigdzie jak dotychczas nie znaleziono ostatecznego, doskonałego rozwiązania problemu energetycznego. Należy także pamiętać, że nie wszystkie zachodnie przedsięwzięcia ekonomiczne zakończone są sukcesem. Program ekonomicznej pomocy dla Polski ma jako cel wyciągnięcie naszego kraju z głębokiego kryzysu, a nie ratowanie nieudolnych zachodnich bankrutów, którzy nie mogą poradzić sobie w gospodarce wolnorynkowej (pomimo zagwarantowanej pomocy państwa) szukają rozwiązania swoich problemów w międzynarodowych programach pomocy dla krajów Europy Wschodniej i Trzeciego Świata. Powtarzam, nie jestem ekonomistą, niemniej dziwny wydaje mi się wybór znanego z fatalnego zarządzania EDF-u, z jego wielomiliardowym deficytem (*nota bene* powracającego do koncepcji central termicznych — *l'Usine Nouvelle* nr 2321) jako wzoru i ewentualnego partnera przy wyborze opcji programu energetycznego dla Polski.

Energetyka atomowa

Podjęając jakiegokolwiek działanie, musimy sobie zdawać sprawę z ryzyka z nim związanego i możliwości jego uniknięcia. Ryzyka zwią-

zanego z funkcjonowaniem centrali nuklearnej nie można porównywać z ryzykiem związanym z jakąkolwiek inną działalnością człowieka (wystarczy zestawić konsekwencje katastrofy czarnobylskiej z największą w historii katastrofą w przemyśle chemicznym w Bhopalu).

Argumentu o równoważności niebezpieczeństwa nuklearnego i innych zagrożeń przemysłowych używała głównie propaganda sowiecka, aby dezinformować własne społeczeństwo i uzasadnić niskie płace w cywilnym przemyśle atomowym.

Konkurencja technologiczna dotycząca kryteriów bezpieczeństwa reaktora nie rozpoczęła się w rezultacie katastrofy czarnobylskiej, lecz trwa już przeszło czterdzieści lat. Nie wolno zapominać o tym, że pomijając element ludzki tzn. możliwość pomyłki, nieostrożności (zainteresowanych odsyłam do statystyki polskich wypadków przy pracy) czy sabotażu, w przypadku energetyki nuklearnej ciągle mamy do czynienia z procesami nie w pełni poznanymi, nie posiadającymi weryfikacji przemysłowej. Nieznajomość procesów zachodzących w sercu reaktora (amerykański model bezpieczeństwa) jak i w przypadku drugiego obiegu wody i wydostania się na zewnątrz mieszaniny radioaktywnej cieczy i pary (europejski system bezpieczeństwa) uniemożliwiają jak dotychczas zbudowanie reaktora o akceptowalnym stopniu ryzyka. W 1974 roku w USA Atomic Energy Commission sporządziła tzw. raport Ramussena, w którym prawdopodobieństwo fuzji reaktora oceniano jako możliwe raz na 20 tysięcy lat. W niespełna pięć lat później podobny wypadek zdarzył się na Three Mile Island. Do momentu eksplozji reaktora w Idaho w USA uważano, że katastrofa tego typu jest w ogóle niemożliwa.

Historia energetyki atomowej wyznaczona jest awariami i katastrofami (było ich już kilkadziesiąt), konsekwencje niektórych z nich zaczynają być znane dopiero kilkadziesiąt lat później. Tak było w przypadku drastycznego wzrostu chorób nowotworowych po wypadku w brytyjskiej centrali Windscale w 1957 (raport Union of Concerned Scientist w 1979).

Ryzyko związane jest nie tylko z pracą centrali czy reaktora, ale także z transportem i magazynowaniem odpadów radioaktywnych (eksplozja magazynów plutonowych śmieci była przyczyną największej w historii katastrofy nuklearnej w Kiszyniu).

Być może w Polsce zabrakło zorganizowanej akcji „nuklearnego lobby” (jeśli nie liczyć administracyjno-SDRP-owskich niedobitków). We wszystkich krajach posiadających centrale atomowe istnieje grupa ludzi związanych interesem z rozwojem tego typu energetyki. Jej znaczenie osiągnęło absurdalne rozmiary w ZSSR, gdzie jakiegokolwiek krytyka atomistyki przez lata była niedopuszczalna, cenzurowano także wszelkie informacje na temat zachodnich problemów bezpieczeństwa. Obrona własnych interesów i arogancja sowieckiego lobby nuklearnego doprowadziły do awarii czarnobylskiej, a następnie opóźniły i utrudniały akcję ratowniczą. Na Zachodzie natomiast wystarczy przypomnieć takie zdarzenia jak nagonka prasowa przeciwko Jauresowi Miedwiediewowi po ujaw-

nieniu eksplozji na Uralu (prezes United Kingdom Atomic Energy Authority John Hill określił możliwość podobnej katastrofy jako czystą *science fiction*) czy negowanie możliwości eksplozji reaktora już po wybuchu w Idaho, czy nieujawnianie statystyk sanitarnych dla miejsc zlokalizowanych w pobliżu brytyjskich centrali, czy wreszcie trudności, jakie towarzyszą procesom mieszkańców St George w Utah z władzami federalnymi (w mieście tym zachorowalność na raka wzrosła o 40%, a przeszło 30% dzieci urodzonych w okresie prób atomowych cechuje upośledzenie umysłowe i fizyczne). Nie zapominajmy także o celowym minimalizowaniu konsekwencji Czarnobyla przez sporą część zachodnich mediów.

Obliczając koszt energii, trzeba pamiętać o koszcie budowy centrali, zakupu wzbogaconej rudy uranu, kosztach likwidacji (czas życia centrali oblicza się na 15-30 lat), transporcie i magazynowaniu odpadów, kosztach kontroli medycznej i w końcu o cenie ewentualnej katastrofy. Francuski EDF, oparty w przeszło 70% na energetyce nuklearnej, jest zadłużony na około 232 mld franków, a rok 1989 przyniósł kolejne 2,5 miliarda strat. Jedną z głównych przyczyn zarzucenia amerykańskiego programu nuklearnego była jego nierentowność. Jako anegdotę można opowiadać, że pani Thatcher po objęciu władzy, wprowadzając radykalny system prywatyzacyjny, który objął także brytyjską energetykę, nie zdołała zainteresować centralami nuklearnymi ani jednego z wielkich przedsiębiorstw energetycznych i zmuszona została w końcu do zaakceptowania państwowej własności atomowych molochów.

Mobilizacja społeczna

Żadnego programu, a zwłaszcza energetycznego, nie można realizować wbrew własnemu społeczeństwu. W Polsce niechęć do energii atomowej będzie się zwiększać wraz z odchodzeniem części państw Zachodu od koncepcji central nuklearnych (USA, Szwecja, Austria, Szwajcaria, Włochy), a także wraz ze wzrostem naszej wiedzy na temat skutków Czarnobyla. Wątpię, czy może wzbudzić entuzjazm kontynuacja budowy jeszcze jednej nierentownej i niebezpiecznej postsocjalistycznej piramidy Cheopsa, jaką jest Żarnowiec.

Wszystkie moje dotychczasowe uwagi odnosiły się do krajów mających kilkudziesięcioletnie doświadczenie nuklearne. Jak wyglądałaby realizacja podobnej budowy w Polsce, gdzie dziennikarze uważają za sukces technologiczny uruchomienie produkcji piwa puszкового? Jak wreszcie mają reagować ludzie wobec atomowego zagrożenia, wiedząc, że w okolicznym szpitalu nawojuje się ich do przychodzenia z własnymi strzykawkami? Może łatwiej byłoby zmobilizować opinię społeczną wokół programu typu „duńskiego” tzn. budowy wielu zdecentralizowanych niedużych centrali różnego typu w połączeniu ze zwiększaniem nacisku na oszczędność energii?

Jest oczywiste, że gospodarowanie energią musi ulec zmianie,

tak aby stymulować jej produkcję. Trudno jednak uznać, że cena ogrzewania węglem i gazem mieszkania w kamienicy (przed 110% podwyżką) wynosząca 300-320 tys. złotych, czyli połowę minimalnej pensji i 25% średniego uposażenia, była zbyt niska. Nie zapominałmy, że właśnie w takich mieszkaniach żyje najmniej uprzywilejowana część społeczeństwa, tzn. ludzie starzy, rodziny wielopokoleniowe i wreszcie ci, którzy nie posiadali w PRL przywileju spółdzielczego mieszkania. Ceny energii nie mogą także stać się hamulcem rozwoju, a już dzisiaj w województwie warszawskim 60% fabryk nie jest w stanie zapłacić rachunków za elektryczność.

Suwerenność a program energetyczny

Produkcja energii nie może być zdeterminowana jedynie względami ekonomicznymi. W krajach Europy Środkowo-Wschodniej konieczne jest przecież prowadzenie polityki energetycznej gwarantującej utrzymanie odzyskanej niepodległości. Czy energia nuklearna jest jej gwarantem? Przy braku własnych źródeł uranu, przy konieczności zakupu całości technologii za granicą, a także wzbogacania rud uranu poza Polską (koszt budowy fabryki wzbogacania uranu jest większy od kosztu samej centrali) jakże łatwo znajdziemy się w „kredytowej pułapce”, nie znajdując np. rynków zbytu na nasz prąd (przypadek EDF). Co stanie się, jeżeli najtańszym serwisem i najłatwiej dostępną rudą uranu dysponować będzie ZSSR? Jak duża będzie możliwość energetycznego szantażu wobec Polski w przypadku porozumienia Związku Sowieckiego z Zachodem (nie jest to wcale takie nieprawdopodobne, popatrzmy na politykę „Wolnego Świata” wobec krajów bałtyckich)?

Racjonalne zużycie, wybór którejs z nienuklearnych opcji rozwoju pozwoli na zminimalizowanie ewentualnego importu. Jeżeli konieczny jest zakup niewielkiej ilości energii, w sytuacji ostatecznej można ją kupić nawet za cenę wyższą od rynkowej.

Największą polską bolączką energetyczną nie jest przecież brak energii elektrycznej (a tylko taką można produkować dla celów praktycznych w centrali nuklearnej) lecz zależność od dostaw sowieckiej ropy naftowej. Zależność tym bardziej niepokojąca, iż strona sowiecka zupełnie oficjalnie przewiduje używanie naftowego straszaka dla utrzymania *status quo* w Europie Środkowej (memoriał Walentina Falina, kierownika wydziału zagranicznego KC).

Uniezależnienie się przez rozbudowę portów przeładunkowych, poszukiwanie zastępczych źródeł paliw (synteza węgla, rozwój biotechnologii itp.) powinny być priorytetem polskiej polityki energetycznej. Także ten aspekt musi być brany pod uwagę przy wyborze opcji programu energetycznego.

Piotr DASZKIEWICZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10.6.91

Zmarł w Warszawie w wieku 92 lat płk Stefan Jellenta, jeden z niewielu żyjących legionistów.

17.7.91

Na zapytanie p. Marii Leśnikowskiej z *Kuriera Polskiego*, kto finansuje Komitety Obywatelskie i z czego się je utrzymuje — odmówiono odpowiedzi.

21.7.91

W 1990 r. oraz w pierwszym kwartale br. prokuratorzy w całym kraju skierowali do sądów 528 pozwów, których przedmiotem była sprzedaż majątku narodowego na szkodę Skarbu Państwa. Do chwili obecnej nie zapadł jeszcze ani jeden wyrok. Nie została dotąd uchwalona ustawa o Skarbie Państwa jak również o Prokuraturii.

25.7.91

Krakowski *Czas* podaje, że od nowego roku szkolnego zaczną funkcjonować pierwsza w Przemysłu i w ogóle w tej części Polski szkoła podstawowa z językiem ukraińskim jako wykładowym. Napływały podania o przyjęcie do pracy w tej szkole od nauczycieli z Ukrainy, ale musiano odpowiedzieć odmownie z powodu braku mieszkań.

1.8.91

Tygodnik *Bestseller* podaje, że w Polsce założono 222 fundacje kulturalne, w tym 57 regionalnych, 22 plastyczne, 27 literackich, 12 teatralnych i filmowych, 45 muzealnych i zabytków oraz 17 muzycznych. Jak dotąd są to fikcje, ponieważ sponsorom nie opłaca się ich wspieranie. ■ W Polsce jest około pół tysiąca firm wydawniczych, a w tym: 84 wydawnictwa stare, duże, które przeżywają poważne kłopoty finansowe, 130 firm nowych, niewielkich, 39 firm przy uniwersytetach i szkołach wyższych, 150 przy instytucjach, stowarzyszeniach, fundacjach, muzeach i bibliotekach, 75 wydawnictw przy spółkach i różnych przedsiębiorstwach. ■ W Polsce jest 30 wydawnictw chrześcijańskich katolickich, największe z nich to: PAX (Warszawa) — 100 tytułów rocznie, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK (Kraków) — 35 tytułów rocznie, redakcja Wydawnictw KUL (Lublin), Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej (Warszawa) — 25 tytułów, Wydawnictwo Księży Werbistów „Verbum” — 15 tytułów.

5.8.91

Znany reżyser filmowy Jerzy Skolimowski rozpoczyna filmowanie „Ferdurke” Witolda Gombrowicza. Scenarzystami filmu są: John Yorik — 20 lat, Joseph Kay — lat 21 (z Los Angeles), oprawę muzyczną przygotowuje Stanisław Syrewicz — lat 23 (Paryż).

22.8.91

Szereg obywateli Związku Sowieckiego, których moskiewska próba przewrotu zastała w Polsce, znalazło się w trudnej sytuacji finansowej. Zwrócili się oni do polskich instytucji charytatywnych. Do tej pory tą sprawą zajął się tylko

Polski Czerwony Krzyż. Najbardziej potrzebujący, jak matki z dziećmi, osoby kalekie itp. mają zapewniony nocleg i wyżywienie w specjalnym ośrodku w Świdrach Wielkich pod Warszawą. PCK dysponuje jednak bardzo skromnymi środkami, gdyż do tej pory bardzo niewiele osób zadeklarowało pomoc.

25.8.91

W związku z czerwcową wizytą Papieża w Polsce rząd RP zakupił w Stanach Zjednoczonych za 13 mln dolarów dwa belle (śmigłowce) 412 SP, dwa belle 206 B-trzy jet ranger, zamiast zakupienia polskich śmigłowców Sokół WSK PZL Świdnik. Dla porównania para „Sokołów” kosztowałaby maksymalnie 30 mld złotych. Przypomina to aferę z drukiem paszportów. Wytwórnia Papierów Wartościowych w Warszawie została specjalnie wyposażona w odpowiedni sprzęt, natomiast druk powierzono jednej z firm angielskich. Ma się rozumieć nikt za to nie został pociągnięty do odpowiedzialności. ■ *Tygodnik Gdański* w artykule pt. „Kup pan czołg” podaje, że sprzedaż tysiąca czołgów T 72 M1 do Iranu została anulowana przez gabinet Prezesa Rady Ministrów pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, które są przeciwnie eksportowi broni do krajów Zatoki Perskiej. Czołgi sprzedała Czechosłowacja, gdyż prezydent Havel uważa, że raczej gospodarze są ważniejsze od deklaracji politycznych. Z tym stanowiskiem Stany Zjednoczone pogodziły się. Ostatnio zrezygnowano z dostaw części zamiennych do sprzętu wojskowego dla Jugosławii. Ciekawe pod czym, tym razem, naciskiem?

5.9.91

W Muzeum Narodowym we Wrocławiu odbył się wernisaż wystawy Joanny Wierusz-Kowalskiej, „Rysunek 1982-1989”. Wystawa trwać będzie do 6 października. ■ Polacy na Litwie. Rada rejonowa obwodu sołecznickiego usunęła przewodniczącego Wiesława Wysockiego i wiceprzewodniczącego Adama Monkiewicza za poparcie puczu konserwatystów. Na ich miejsce powołano Edmunda Wasilewskiego i Zdzisława Palewicza.

10.9.91

Zmarł w Krakowie w wieku 65 lat Jan Józef Lipski, żołnierz Armii Krajowej pułku „Baszta”, uczestnik Powstania Warszawskiego, historyk literatury, publicysta, krytyk, współtwórca KOR i KSS „KOR”, przewodniczący Rady Naczelnej PPS, senator RP.

25.9.91

Staraniem Instytutu Filologii Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Jana Kochanowskiego odbyła się w Kielcach trzydniowa sesja naukowa poświęcona twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Referaty wygłosili Jan Orłowski (Lublin), Marian Stępień (Kraków), Bogdan Zeler (Katowice), Mirosław Wójcik (Kraków), Irena Furnal (Kielce), Mirosława Ołdakowska-Kufłowa (Lublin), Marzena Zabierzewska-Kucharska (Opole), Jan Paclawski (Kielce), Aleksander Lipatow (Moskwa), Anna Świrak (Zielona Góra), Jadwiga Worobiej (Słupsk), Stanisław Żak (Kielce), Alina Kochańczyk (Lublin), Stanisław Podobiński (Częstochowa), Iwona Gondek (Kielce), Zdzisław Kudelski (Lublin), Iwona Paprocka (Lublin), Mieczysław Jankowiak (Bydgoszcz).

ZACHÓD — EMIGRACJA

18.5.91

Na posiedzeniu jury nagrody *Wiadomości* im. Mieczysława Grydzewskiego postanowiono, że nagroda ta przestanie istnieć z tym ostatnim zebraniem i ostatnim laureatem, tj. Zbigniewem Herbertem.

27.7.91

W Klubie Niezależnej Myśli Politycznej im. Juliusza Mieroszewskiego w Monachium odbył się odczyt dr Zofii Kowalskiej z Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Wybitni Żydzi w polskiej historii i kulturze”.

31.7.91

W zarządzie Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich nastąpiły zasadnicze zmiany. Na zebraniu zarządu wybrano prezesa w osobie Tomasza Arciszewskiego, profesora na Wayne State University. Prof. Andrzej Targowski z Western Michigan University został przewodniczącym komitetu planowania. Zdecydowano, że wydawanie *Studium Papers* zostało zakończone i uchwalono wydawanie rocznika Studium w języku polskim. ■ Jan Nowak-Jeziorański został przewodniczącym Komisji Spraw Polskich Kongresu Polonii Amerykańskiej. Kazimierz Łukomski, wiceprezes KPA, ustąpił z tego stanowiska nie zgadzając się z polityką prezesa KPA, p. Moskala.

9.8.91

Polski Instytut Nauki i Sztuki w Stanach Zjednoczonych uchwalił przedstawienie kandydatury wicepremiera Polski, Leszka Balcerowicza, do ekonomicznej nagrody Nobla. Ta niepoważna inicjatywa niepotrzebnie ośmiesza zarówno wnioskodawców jak i p. Balcerowicza.

23.8.91

W Londynie prezydent Edward Raczyński podpisał końcowe dokumenty Fundacji Rodziny Raczyńskich, przekazując pałac w Rogalinie wraz ze zbiorami dawnej galerii rodziny Raczyńskich. Został nadto powołany przez niego sześciuosobowy zarząd Fundacji. Poza samym fundatorem w skład zarządu weszła jego córka Katarzyna (bibliotekarka jednego z uniwersytetów angielskich), prof. Andrzej Rottermund, dyrektor Muzeum Narodowego w Poznaniu, prof. Konstanty Kalinowski — historyk, dr Andrzej Ciechanowiecki i kuzyn fundatora Zygmunt Tyszkiewicz. Pałac w Rogalinie jest zdewastowany i wiele jego pamiątek, a nawet skarbów jest już nie do odzyskania. Jest on remontowany ale minister Rottermund oświadczył, że ma wielkie trudności finansowe i remont pałacu może potrwać dwa lata.

8.09.91

W dniach od 6 do 8 września Szwedzi urządzili Sławomirowi Mrożkowi prawdziwy festiwal. Jednego dnia odbyły się cztery premiery jego sztuk: „Tango”, „Pieszo” i „Lisy” w Sztokholmie i „Tango” na prowincji. Przeprowadzono ponadto z Mrożkiem szereg wywiadów, które ukazały się w prasie i w telewizji.

9.9.91

Szwedzka Akademia Umiejętności i wydawnictwo Natur och Kulturs zorganizowały w Sztokholmie w dniach 9-11 września sympozjum nt. Czesława Miłosza. Z. Łapiński wygłosił referat pt. „Od francuszczyzny do angielszczyzny, czyli jak Miłosz zmienił orientację polskiej poezji”, R. Nycz — „Tęsknota za nieosiągalnym”, L. Kleberg — „Miłosz a Europa”, A. Fiut — „Wymiary 'Świata' Miłosza”, M. Zaleski — „Miłosza pieśni o niewinności i doświadczeniu”, W. Bolecki — „Melting Pot Czesława Miłosza”, R. Zimand — „Kilka uwag o wspomnieniach Miłosza”, P.A. Bodin — „Poemat Miłosza 'O aniołach’”, L. Neuger — „Poemat Miłosza 'Veni Creator’”.

12.9.91

Zmarł w Chicago w wieku 84 lat Feliks Konarski, Ref-Ren, autor „Czerwonych maków na Monte Cassino”, poeta, satyryk, aktor i kompozytor. Na jego pogrzeb przybyła z Londynu generałowa Andersowa.

16.9.91

Został otwarty X Uniwersytet Letni Wspólnoty francusko-polskiej przy współudziale Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Wykłady odbywały się w Bibliotece Polskiej w Paryżu i trwały do 21 września br.

19.9.91

W La Closerie des Lilas w Paryżu odbył się wernisaz wystawy Richarda Aidana — „Décollages de Pologne”.

20.7.91

W Centre du Dialogue księży pallotynów w Paryżu ks. Eugeniusz Dutkiewicz, pallotyn z Gdańska, delegat Konferencji Episkopatu Polski do spraw ruchu hospicyjnego, wygłosił odczyt „Godność umierania — wyzwanie dla Kościoła i medycyny współczesnej”. 27 września p. Ewa Berberysz wygłosiła odczyt na temat „O czym mówią Polacy jesienią 1991 r.”.

25.9.91

W Institut National des Langues Orientales w Paryżu (INALCO) odbyło się międzynarodowe kolokwium na temat „Conscience nationale et conscience européenne dans les littératures slaves, baltes, balkaniques et hongroises au XXe siècle”. M. in. Michał Masłowski (Université Nancy II) wygłosił referat na temat „La recherche romantique l'identité en Pologne”, Maria Delapierre (INALCO) mówiła na temat „L'Europe en Pologne ou la Pologne en Europe (réflexion sur la modèle de l'europeanité dans la littérature polonaise contemporaine)”, a Jan Błoński (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie) na temat „Identité et emprunt dans l'oeuvre de Mrozek”.

1.10.91

Polskie Towarzystwo Historyczne i Literackie urządziło w swojej siedzibie (6, Quai d'Orléans, Paryż) wernisaz wystawy malarza Jana Wacława Zawadowskiego („Zawado”), który żył i malował we Francji.

7.10.91

W Instytucie Polskim w Paryżu Jan Lityński, poseł do Sejmu RP i członek dyrekcji Unii Demokratycznej oraz p. Lech Dymarski z Komitetu Radia i Telewizji, kandydat Centrum w najbliższych wyborach, wygłoszą odczyt-dyskusję „Polska przed wyborami”, zaś 28 października br. odbędzie się wieczór poetycki Leszka Szarugi. Ponadto w Instytucie Polskim, 10 sierpnia br. miał miejsce wernisaz Adama Piotra Tepera (rysunki nt. *Enfant prodige Mozart*).

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

prowadzi na terenie Polski sprzedaż książek INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

Sprzedaż obejmuje pozycje z katalogu „BIBLIOTEKI KULTURY”.

Ceny książek w złotychkach w przeliczeniu FFr. 1,00 = zł. 500,00.

Adres FUNDACJI:

00-524 WARSZAWA

ul. Marszałkowska 74

tel. 21 70 75

FUNDACJA zamierza w najbliższym czasie otworzyć salon książki z pierwszym w Polsce firmowym stoiskiem INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Kwartalnik pod redakcją Jerzego Giedroycia wydawany od 1962 r. przez INSTYTUT LITERACKI w PARYŻU, przedrukowywany w drugim obiegu, nareszcie ukazuje się oficjalnie w Polsce. Wydawcą edycji krajowej ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH jest WYDAWNICTWO PoMOST, spółka z o.o.

Cena prenumeraty czterech numerów kwartalnika:

93/1990, 94/1990, 95/1991, 96/1991 wynosi zł. 50.000.

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Wydawnictwo PoMOST, spółka z o.o.

PBK III O. w Warszawie, nr 370015-973548-136

z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Listy do Redakcji

Calgary, 14.VIII.1991

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym wydaniu *Kultury* (br.) pan Ryszard Fijałkowski, b. ambasador R.P. we Francji a niegdyś szef polskiej delegacji do Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie, powiada w wywiadzie dla *Kultury*, że jakoby Polacy w tej Komisji uciążliwie wypełniali swoje obowiązki nadzorców rozejmu między Wietnamem Północnym i Południowym. Otóż tak się złożyło, że w 1977 r., w czasie prac geologicznych w Kanadzie, zetknąłem się z dwoma pilotami helikoptera, którzy wcześniej pracowali w Wietnamie jako członkowie delegacji kanadyjskiej. Ich zdanie na temat zachowania się i taktyki polskiej delegacji było nieco inne i najlepiej ilustruje to popularna tam wtedy anegdota:

Gdzieś na prowincji partyzanci Wietkongu ostrzeliwują z ciężkich armat jakąś wioskę, więc Kanadyjczyk pyta Polaka: — Słyszysz Pan? — Nic nie słyszysz — odpowiada Polak.

Następnie wyzwalają wioskę ciężkie czołgi (zapewne skonstruowane przez partyzantów w dżungli), więc Kanadyjczyk zapytuje ponownie: — Widzi Pan? — Nic nie widzę — pada natychmiastowa odpowiedź.

Zdenerwowany nie na żarty Kanadyjczyk udaje się wtedy do „neutralnej” strony w tej Komisji, do członka delegacji Indii, prosi go o jakąś interwencję, a Hindus na to: — Ależ panowie, no jakże można się tak kłócić, chodźmy się razem czegoś napić.

Anegdota ta pokazuje również, jak czasem w tamtych latach wyglądała „pokojowa współpraca” krajów o różnych systemach politycznych, ale to już jest osobny temat.

W wywiadzie tym pan Fijałkowski powiedział, że refleksje na temat jego postawy i działalności przychodziły później. W przypadku Wietnamu ciekawe, kiedy później? Czy wtedy, kiedy południowowietnamscy uchodźcy (*boat people*) tysiącami uciekali od swoich „wyzwolicieleń” z Północy, często padając ofiarą burzliwego morza czy tajlandzkich piratów? Czy też może dopiero wtedy, kiedy w Polsce ostatecznie zawałił się ten system, któremu pan Fijałkowski tak wiernie i przez tyle lat służył?

Dla zespołu *Kultury* przesyłam serdeczne pozdrowienia

Aleksander BAK

Sztokholm, sierpień 1991

Szanowny Panie,

Szkoda, że się Pan tak pośpieszył z artykułem „Bóg tak chce” w ostatniej *Kulturze*. Może gdyby Pan poczekał do przyjazdu Polaka-Papieża do Polski, który przypomniał 10 Przykazań Bożych, a więc i to — Nie zabijaj — nie dopuściłby się Pan rwać autorytet Kościoła w Polsce i zrozumiałby Pan lepiej naukę i rolę Kościoła dla ludzi. Żal mi Pana. Proszę Miłosiernego Boga aby zmitował się nad Pańską biedą i udzielił Panu łaski nawrócenia. Niech Pan Bóg błogostawi i umacnia w dobru!

Łączę serdeczne pozdrowienia

T. BORKOWSKA

Santa Barbara, 5.09.1991

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałabym tą drogą podziękować Panu za pomoc okazaną mi w spełnieniu woli śp. Wandy Podoskiej, która ufundowała stypendium im. Wiktora Podoskiego dla 4 artystów plastyków z Polski. Otrzymali je: Kinga Mazurek i Magdalena Jasny z Warszawy i, dzięki *Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne*, Stefan Ficner z Poznania oraz Jan Ryłke z Warszawy.

Łączę wyrazy szacunku.

Irena PLESZCZYŃSKA

LIST OTWARTY

Do
Przewodniczącego Senackiej Komisji Praw Człowieka
i Praworządności
Pana Dra Zbigniewa Romaszewskiego
za pośrednictwem
Biura Interwencji Senatu
we Wrocławiu

Wrocław, dnia 6 września 1991 roku

Szanowny Panie Przewodniczący,

Już osiem razy pisałem do Pana Prezydenta Lecha Wałęsy, iż sprawy strat i nadużyć na sumę *ca 160 milionów dolarów USA i 1.149 miliarda złotych* wciąż są bezkarni.

O stratach i nadużyciach popełnionych na budowach eksportowych piszę w swojej książce pt. „Prokuratura PRL w służbie mafii”, wydanej w 1989 r. staraniem Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, nakładem Polskiego Funduszu Praworządności. Na żaden list w tej sprawie do Pana Prezydenta — żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Ani od Szanownego Adresata, ani od Jego Kancelarii.

Jakie są przyczyny, że urząd prokuratorski nie wniósł do sądu aktu oskarżenia przeciwko złodziejom, marnotrawcom i oszustom na tak olbrzymią skalę?

Wydaje mi się, że odpowiedź jest prosta. Należy tylko uwagę zwrócić na niektóre fakty i okoliczności. Oto one:

1. Za czasów PRL. Gdy Władysław Siła-Nowicki poruszył z ministrem Czesławem Kiszczakiem sprawę nadużyć, wyżej wymienionych — to gen. Kiszczak powiedział Mu, że czuje się bezsilny, choć powiedział jednocześnie, że przyznaje mi rację. Dlaczego gen. Kiszczak, członek Biura Politycznego KC PZPR i minister spraw wewnętrznych PRL, czuł się bezsilny — można się domyślać. Na taki układ sił w PRL między organami ścigania a światem przestępczym uwagę zwraca Władysław Siła-Nowicki w korespondencji do mnie, datowanej 28.03 i 9.08.1991 r.

2. Po upadku PRL. Odpowiadając na moje zarzuty Rzecznik Praw Obywatelskich przedstawił w dniu 2.10.1989 r. Marszałkowi Sejmu prof. dr. hab. Mikołajowi Kozakiewiczowi trzydziestostronicowy dokument zawierający ocenę sprawy, umożliwiając Prezydium Sejmu skierowanie sprawy do właściwych organów.

3. Dnia 19 lutego 1990 r. Biuro Interwencji Senatu zwraca się do ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego RP „o podjęcie działań w celu zakończenia tzw. sprawy Demidowa”. Biuro Interwencji Senatu pisze: „(...) Opinia publiczna jest zbulwersowana następującymi faktami: — ludzie odpowiedzialni za nadużycia i marnotrawstwo nie ponieśli odpowiedzialności (niektórzy awansowali); — ludzie odpowiedzialni za zatuszowanie sprawy i powodujący bezkarność winnych nadal zajmują swoje stanowiska w Resorcie Sprawiedliwości”. Brak odpowiedzi.

4. Dnia 29 września 1990 r. została w Warszawie założona spółka „Telegraf”. Założycielami byli Jarosław Kaczyński — szef kancelarii Prezydenta, Jacek Maziarz — dzisiaj jest on przewodniczącym Z.G. Porozumienia Centrum, Lech Kaczyński — minister stanu i inni politycy. Tak się złożyło, że do spółki dysponującej małym kapitałem założycielskim 250 mln zł., przystąpiła centrala handlu zagranicznego „Budimex”, wnosząc udział 11 miliardów złotych. A zatem do spółki „Telegraf” dołączyła firma, która jest — obok PEBK „Dromex” i PP PKZ — sprawcą strat i nadużyć na sumę *ca 160 mln dol. USA i 1.149 mld zł.* Pytanie, czy istnieje związek przyczynowy między bezkarnością ludzi „Budimex”-u, a przekazaniem przez nich spółce „Telegraf” 11 miliardów złotych — wydaje się być retorycznym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ukazywanie miliardowych strat i nadużyć, a niekiedy mechanizmów kryminalnych w CHZB „Budimex” — co musiałoby nastąpić w procesie karnym — nie leży w interesie tych, którzy uznali tę firmę za swojego współnika, biorąc od niego pieniądze.

5. Dnia 4 czerwca 1991 r. doc. Mirosław Dakowski i prof. dr hab. Jerzy Przystawa złożyli ministrowi sprawiedliwości i prokuratorowi generalnemu „Powiadomienie o przestępstwie”. Na 289 stronach druku udokumentowali oni, że na terenie Polski oraz poza jej granicami działają grupy przestępcze dokonując systematycznie olbrzymich grabieży pieniędzy na szkodę Skarbu Państwa (podaje za miesięcznikiem *Sprawy i ludzie* nr 15 z 1991 r.)

— ta sprawa jest znana jako „afery FOZZ”. O tej aferze mówił prokurator Janusz Kalwas w wywiadzie telewizyjnym nadanym 5.09.br. A więc znowu KALWAS, prokurator niezwykle sprawny w rozlicznych technikach tuszowania wielkich afer. Dość tu przypomnieć, że ten prokurator nawet nie sprawdził moich informacji o popełnieniu 20 wielkich kradzieży, o zaginięciu 200-300 przesyłek z Polski do Libii i o innych nadużyciach. Te „zaniechania” prokurator Kalwas wyjaśnił, oświadczył, że: „(...) instytucje, do których się zwrócił o przeprowadzenie kontroli w tej sprawie, odmówiły przeprowadzenia kontroli”. To, co powiedział prokurator Kalwas w tym oświadczeniu, świadczy albo o braku kompetencji do wykonywania zawodu albo o nieuczciwości.

Panie Przewodniczący, jedynym efektem składania przeze mnie informacji o miliardowych nadużyciach było — i jest — pozbawienie mnie pracy. Już dwukrotnie próbowano zamachu na moje życie. To komentarza nie wymaga. To komentuje się samo.

Zbigniew DEMIDOW

Mój adres: Zbigniew Demidow, ul. Wita Stwosza 37 m. 17, 50-149 Wrocław.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętać, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

A.K., Francja; G.L. w Kraju; L.A., Australia; M.Sz., USA; A.Cz., Dania; J.M. w Kraju; T.Ś. w Kraju; J.S., Kanada; JKK Metro; W.P. w Kraju; P.L., RFN; P.S. w Kraju — Z wierszy nie skorzystamy.

M.K., Francja — Jeden wiersz wydrukujemy.

K.Z., USA — Wybraliśmy jeden wiersz.

A.P., Kanada — Tekst, który Pan z tytułował *Presepio*, jest przyjemny, gładko napisany, ale robi wrażenie prywatnego listu z podróży, nie zaś rzeczy przeznaczonej do druku.

L.G. w Kraju — Pana rozprawka o „hiszpańskim syndromie” Mickiewicza jest pomysłowa i solidnie opracowana, wydaje nam się jednak, że bardziej niż do *Kultury* nadaje się do czasopisma polonistycznego.

J.T. w Kraju — Nowelki nie nadają się do druku.

E.G. w Kraju — Wybrała Pani trudny gatunek pisarski — miniatury, — gdzie włos tylko dzieli związek od banalności. I, niestety, nie uniknęła Pani ciągłych ześlizgów w stronę banalnych obrazków.

J.K. w Kraju — Niewiele potrafił Pan powiedzieć o ostatnim przedstawieniu Kantora.

J.L., Kanada — Temat jest już tak oklepany, że trudno liczyć na powiedzenie tu czegoś nowego i oryginalnego. No i tytuł *Sąd idzie*, skopiowany z głośnego opowiadania Terca-Siniawskiego.

A.W. w Kraju — Nazwał Pan nadesłany utwór *Maszynopis nie nadający się do druku czyli świadectwo młodości*. Pierwsza część tytułu jest ścisła, druga nie odpowiada prawdzie.

T.T., USA — Myli się Pan. *Słownik emigranta* nie ma „cech eseju”, jest po prostu fragmentem powieści, za krótkim, by można było coś sensownego powiedzieć o projektowanej „większej całości”.

E.P., RFN — Przekład nie upowaznia do sądu, że w oryginale są to „zagubione perełki liryki”.

W.S. w Kraju — Pana długi list do Redaktora jest ciekawy, wnikliwy i miejscami trafny. Nie można tego niestety powiedzieć o dołączonym do niego artykule *Dekada*. Dziwne zjawisko: jakby cały temperament listu ustąpił nagle miejsca suchym schematom publicystycznym. Szkoda.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 454 — PAWEŁ SMOLEŃSKI (T. JERZ)

POKOLENIE KRYZYSU

Obraz współczesnego pokolenia młodych Polaków.

Str. 136.

Cena F. 75,00.

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Postowie*.

Str. 276.

Cena F. 145,00.

TOM 457

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4th trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 4386-1991

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1991			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifshes, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 346	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kreto-wicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Book-store, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.



TOM 466 — JAKUB KAPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury” należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu”, „Porcja wolności”, „Krótkie śpięcie”, „Płonie komitet”.

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: „Solidarność” przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: Policja i opozycja.

Str. 260.

Cena F. 80,00.



TOM 469 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

zawiera opracowania: Marek Zieliński: *Lekcja historii*; Bogusław Leitgeber: *Europejskie tło narodzin Akademii Krakowskiej*; Bernadeta Tendyra: *Władysław Sikorski w oczach Brytyjczyków*; Leszek Brzoza: *Piłsudczycy na emigracji*; P.R. Magocsi: *Ukraińcy Galicji pod rządami Habsburgów i Sowietów*; Adam Ciołkosz: *Raport z okupowanej Polski* (opr. Andrzej Friszke); Jerzy Polaczek: *Żołnierze AK w obozach Maryjskiej ASSR*; Józef Mirski: *Kościół katolicki na Białorusi*; Tadeusz Wyrwa: *Losy wywiadu polskiego we Francji*; Benedykt Heydenkorn: *Bractwo ukraińskich mesjanistów*; Andrzej Paczkowski: „*Izolacja*” Prymasa Wyszyńskiego; Witold Ptasznik: *Legia Oficerska. Z dziejów zapomnianego oddziału Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie*; Hubert Łaszewicz: *Polacy w Brześciu* oraz bogaty dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.